Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

DZIEŃ KOBIET

To nie jest gra **dla brzydkich kobiet** ▶16

Kiedyś kury domowe, **dziś trad wives** ▶19

WYSOKIE OBCASY

Kobiety, pieniądze i sociale

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Czy Zełenski był za ostry?

▶3 i 6

REUTERS/SVEN HOPPE

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 10>

Na zapleczu Pałacu Co piją nasi prezydenci ▶22

Czas zmienić WF, bo nasze dzieci tyją ▶34

Tak, byłam mężczyzną - mówi sławna polska genealożka ▶26

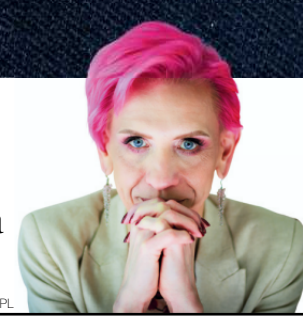

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Maria Skłodowska-Curie nie ufała zięciowi ▶44

Sobota–czwartek, 8-13 marca 2025 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 56.10853,1 Nakład 80 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 817e671fa2

Agnieszka Kublik

W Dzień Kobiet myślę o mężczyznach

Pamiętacie monolog feministyczny z filmu „Barbie" w reżyserii Grety Gerwig?

Nigdy nie wydawał mi się feministyczny. Raczej taki ludzki.

Gloria (America Ferrera), z firmy Mattel, tak monologowała do kobiet: „Musimy być wyjątkowe, ale wszystko zawsze robimy źle. Musisz być szczupła, ale nie za chuda. I nigdy nie możesz powiedzieć, że chcesz być szczupła – musisz powiedzieć, że chcesz być zdrowa, ale masz też być szczupła. Musisz mieć pieniądze, ale nie możesz o nie prosić, bo to bezczelne.

Musisz być szefową, ale nie możesz być złośliwa. Musisz przewodzić, ale nie możesz tłumić pomysłów innych ludzi. Powinnaś kochać bycie matką, ale nie mów cały czas o swoich dzieciach. Musisz być kobietą kariery, ale też zawsze uważać na innych ludzi.

Masz być ładna dla mężczyzn, ale nie na tyle, żeby ich kusić albo zagrażać innych kobietom

Musisz odpowiadać za złe zachowanie mężczyzn, co jest szalone, ale jeśli im to wytkniesz, zostaniesz oskarżona o narzekanie. Masz być ładna dla mężczyzn, ale nie na tyle, żeby ich kusić albo zagrażać innych kobietom, bo przecież trzeba być solidarną ze swoimi siostrami. Zawsze się wyróżniaj i bądź wdzięczna, ale nigdy nie zapominaj, że system jest fałszywy.

Nigdy nie możesz się starzeć, nie możesz być niegrzeczna, nie możesz się popisywać, nie możesz być samolubna, nie możesz upadać, nie możesz zawodzić, okazywać strachu czy wychodzić przed szereg. To wszystko jest zbyt trudne i zbyt sprzeczne ze sobą".

A teraz podmieńcie „kobieta" na „mężczyzna", „szefowa" na „szef", „matka" na „ojciec".

Te wszystkie wymagania, oczekiwania, ta presja dotyczy i nas, i mężczyzn – naszych ojców, braci, mężów, synów, szefów. Też ich to wykańcza.

Dlatego w Dzień Kobiet życzyłabym sobie, by ani kobiety, ani mężczyźni „nie byli zmęczeni patrzeniem, jak wiążemy się w supełki i chcemy, żeby ludzie nas polubili" (to z monologu feministycznego).

A ponieważ żyjemy w czasach przedwojennych najmocniej marzę, by nigdy nie przyszły wojenne. Byśmy się, kobiety i mężczyźni, obudzili w czasach popowojennych. I lepiej znosili swój los. ●

Rekord Guinessa
Schłódźmy głowy

FOT. REUTERS/David W Cerny

2461 morsów i morsek w ludzkiej skórze pobiło rekord Guinessa kąpiąc się razem w lodowatym jeziorze Most w Czechach. Wyszli zdrowsi i szczęśliwsi –morsowanie powoduje wyrzut substancji poprawiających nastrój – dopaminy, noradrenaliny, serotoniny. I podnosi odporność. 1 marca 2025 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

W poniedziałek w „Dużym Formacie"

Czułe dzikusy w męskich kręgach

Albo radość, albo złość. Idziemy albo w karierę, albo odlatujemy w duchowość. Jesteśmy tylko rodzinni albo tylko w pracy. Bywamy tylko wrażliwi albo tylko silni.

Z Michałem „Shootman" Majewskim, który prowadzi męskie kręgi, rozmawia Grzegorz Szymanik

www.nekrologi.wyborcza.pl/34364947

Pamięci

Paulinki Zysk

Naszej jedynej, ukochanej, najcudowniejszej Córeczki,

która 9 marca 2013 roku zginęła w wypadku, w drodze na turniej tańca.

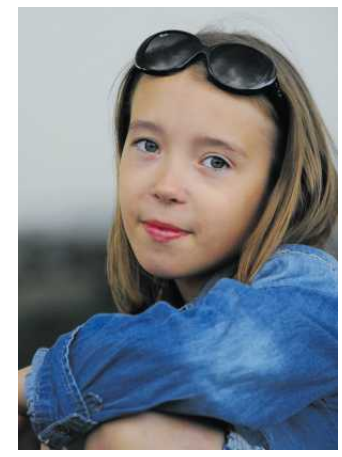

Córeńko, 12 lat temu skończył się świat.

Innego końca świata nie będzie...

Kochamy Cię najbardziej na świecie, kochamy do utraty tchu.

mama i tata

1 RP

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

12,7

TYS. ZŁ BRUTTO

– więcej zarabia co dziesiąty Polak, podał GUS. Najlepsze zarobki są w górnictwie i IT. Najgorsze – w hotelarstwie i gastronomii.

Szczegóły raportu na Wyborcza.biz

eprasa.pl 817e671fa2

Po awanturze w Gabinecie Owalnym

Tusk i Kaczyński mówią jednym głosem

Dla premiera priorytetem jest jak najściślejsze powiązanie naszej branży IT z amerykańskimi gigantami technologicznymi.

Wielowieyska

Administracja Donalda Trumpa wstrzymała we wtorek pomoc wojskową dla Ukrainy. To zła wiadomość dla Polski i Europy: Ameryka nie dotrzymuje swoich zobowiązań. Słowa premiera Donalda Tuska: „proszę zapiąć pasy, wchodzimy w sferę turbulencji”, nie oddają powagi sytuacji. Pojawiła się bowiem też informacja „Financial Times”, że USA przestały dzielić się z Ukrainą danymi wywiadowczymi.

Te decyzje mogą być interpretowane na dwa sposoby:

1. Trump chce wymóc na Ukrainie posłuszeństwo i wyciągnąć jak najwięcej korzyści finansowych z umowy o eksploatacji metali ziem rzadkich. Może też chcieć doprowadzić do zastąpienia Wołodymyra Zełenskiego politykiem sobie uległym. Nie chce też zobowiązać się do żadnych gwarancji bezpieczeństwa, np. obecności amerykańskich żołnierzy, którzy pilnowaliby porozumienia pokojowego. Zełenski tego się domaga, dlatego administracja USA postanowiła przycisnąć prezydenta Ukrainy do muru.

2. Trump już podjął decyzję o sprzedaniu Ukrainy i całkowitym resecie relacji z Rosją. Jest mu to potrzebne do realizacji innych celów, np. zapewnienia neutralności Rosji w razie starcia Izraela i Iranu. Albo w realizacji interesów lobby prorosyjskiego widzi inne korzyści: choćby uderzenie w Unię Europejską, którą od zawsze chciał rozmontować. W tym wariancie umowa o eksploatacji zasobów naturalnych Ukrainy nie ma większego znaczenia i nie da żadnej ochrony.

Pierwsza opcja jest fatalna, ale druga dla nas tragiczna, bo podważa siłę NATO i nasze gwarancje bezpieczeństwa.

Jak polska dyplomacja i politycy powinni odnosić się do wydarzeń z ostatniego piątku, gdy w Gabinecie Owalnym doszło do starcia Zełenskiego z Trumpem i wiceprezydentem J.D. Vancem?

•

Reakcją zgodną z polską racją stanu była wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego, który na konferencji prasowej odniósł się zarówno do wydarzeń w Gabinecie Owalnym, jak i niedzielnego szczytu liderów europejskich w Londynie:

– Nie chcę oceniać tego, co się wydarzyło w Białym Domu, na pewno stało się niedobrze. Trzeba przede wszystkim mówić o drogach wyjścia. To, co pociesza po tym spotkaniu [europejskich przywódców], to fakt, że chyba nikt nie miał wątpliwości, nawet Donald Tusk, że trzeba się porozumieć z USA. Stany Zjednoczone dysponują realną siłą, realną możliwością oddziaływania na państwa typu Rosja, która nie liczy się z żadnymi regułami prawa międzynarodowego.

Kaczyński stwierdził, że do pokoju muszą doprowadzić Stany Zjednoczone z udziałem Ukrainy. Nie chciał się wypowiadać na temat warunków umowy, ponieważ to „kwestia woli narodu ukraińskiego, który dziś reprezentuje Zełenski”.

Nie był to jedyny przebłysk zdrowego rozsądku prezesa PiS, bo w środę na sejmowym korytarzu powtórzył te tezy.

Jego słowa są zbieżne z tym, co przed wyjazdem do Londynu i już po zakończeniu szczytu, mówił premier Tusk. Europa musi zrobić wszystko, aby działać w sprawie ukraińskiej razem z administracją Trumpa.

Publicyści mogą krytykować arogancję J.D. Vanca, który opowiada, że Zełenski jest niewdzięczny, a sprawa jest bardzo prosta, bo Trump pokój załatwi drogą dyplomatyczną. Nie ma też wątpliwości, że to Zełenski miał rację, mówiąc, że Putin nie przestrzegał mnóstwa zobowiązań. Ale polscy politycy powinni zachować wstrzemięźliwość i nie zajmować się przepychankami słownymi.

•

Tę samą taktykę stosuje prezydent Andrzej Duda (pomijam niemądre sugestie o oddaniu polskiej miedzi USA) i wicepremier oraz szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Ten ostatni stawił czoła antyukraińskiej nagonce Konfederacji, która postuluje pozbawienie Ukrainy polskiej pomocy. Chce, niczym Trump, wyliczać wartość naszego wsparcia i żądać od Ukraińców rekompensaty. Konfederatom wydaje się, że Polska jest w takim samym położeniu jak Ameryka.

Kosiniak-Kamysz odpowiadał w Sejmie na wystąpienie Sławomira Mentzena (Konfederacja), który mówił, że po wysłaniu broń i amunicji Ukrainie „do tej pory nie odnowiliśmy rezerw, nie zbudowaliśmy fabryk broni, amunicji i bazy przemysłowej”. Mentzen stwierdził, że rząd doprowadził do tego, że „mamy amunicji na zaledwie kilka dni wojny” i apelował, by wreszcie wziął się do roboty i „pomyślał o naszym bezpieczeństwie”.

Kosiniak-Kamysz spokojnie tłumaczył, że są trzy kierunki, które należy podejmować, żeby zapewniać Polsce bezpieczeństwo.

Po pierwsze, „trzymać Rosję jak najdalej stąd. Każdy dzień pomocy dla walczącej Ukrainy, to jest trzymanie Rosji jak najdalej stąd, to jest zużywanie armii, która kiedyś może wystąpić przeciwko nam. To jest też czas, który musi mieć Europa, Polska, żeby jak najlepiej się przygotować” – tłumaczył szef MON.

Po drugie, dobre relacje europejsko-transatlantyckie: „to jest też gwarancja polskiego bezpieczeństwa. Relacje polsko-amerykańskie, europejsko-amerykańskie są potrzebne dla bezpieczeństwa Europy i świata”.

Po trzecie, konieczność mobilizacji Europy, „która się jednoczy, współdziała na rzecz bezpieczeństwa i przekierowuje strumień pieniędzy na rzecz przemysłu zbrojeniowego, niezależności produkcji, gwarancji łańcucha dostaw dla swoich potrzeb”.

Kosiniak-Kamysz, który przemawiał jeszcze przed spotkaniem unijnych liderów, chwalił zapowiedź decyzji szczytu o zwiększeniu wydatków na obronność i niewliczaniu ich do deficytu budżetowego: „Europa musi być latarnią dla świata w tym względzie, a nie zostać gdzieś z tyłu” – podkreślił szef MON.

Nic dodać, nic ująć.

•

W tym czasie politycy PiS mówili rzeczy skandaliczne. Przemysław Czarnek nazwał Zełenskiego „głupkiem”. Karol Nawrocki w Radiu Zet stwierdził, że prezydent Ukrainy „zachowuje się w sposób nieprzyzwoity do swoich sojuszników, także do Polski”. Kandydat PiS na prezydenta razem ze swoim sztabem tak wielbił Trumpa, że teraz musi nadal w to brnąć. Wyborcy PiS mogą mieć dysonans poznawczy: taki fajny ten Trump, a sprzedał Putinowi Ukrainę?

Tusk nie krytykuje Trumpa, a jedynie kwestionowanie faktu, że to Rosja napadła na Ukrainę. Ubrał to jednak w historyczny kostium, zamieszczając wpis na temat Katynia

Nawrocki uznał, że trzeba zwalić winę na Zełenskiego: – To brak wdzięczności do tych wielkich sojuszników, jakimi są USA, ale także do tych bliższych, swoich sąsiadów, mówię tu o Polsce, doprowadził do tej sytuacji, w której się znaleźliśmy – oskarżał. I pytał: – Czy prezydent niemocarstwa, czyli Wołodymyr Zełenski może pozwolić sobie na to, aby ulegać presji antyamerykańskiej rebelii w UE, w której bierze także udział premier naszego państwa, czyli Donald Tusk? Ja uznaję, że nie.

Głoszenie, że Polska bierze udział w rebelii z UE przeciwko USA (powtarza to też Mateusz Morawiecki) jest kłamstwem, w dodatku skrajnie szkodliwym dla Polski. Europa w rzeczywistości spełnia dziś żądania Trumpa, zwiększając wydatki na zbrojenia. Kraje UE, a także Wielka Brytania, konsolidują się w obliczu zagrożenia rosyjskiego.

Nadal nie wiemy jaki scenariusz realizuje Trump. Wprawdzie we wtorkowym przemówieniu stwierdził, że docenia list Zełenskiego, który zapowiedział, że chce jak najszybciej „zasiąść do stołu negocjacyjnego, aby przybliżyć osiągnięcie trwałego pokoju” i podpisać umowę o minerałach. Ale jednocześnie stwierdził, że prowadzi poważne rozmowy z Rosją, od której otrzymał silne sygnały, że jest gotowa na pokój. „Czyż to nie byłoby piękne?” – pytał amerykański prezydent.

Dopóki pomoc dla Ukrainy nie zostanie odblokowana, te słowa niewiele znaczą.

•

Tusk nie krytykuje Trumpa, a jedynie kwestionowanie faktu, że to Rosja napadła na Ukrainę. Ubrał to jednak w historyczny kostium, zamieszczając wpis na temat Katynia.

Zarzuty PiS, że Polska nie organizuje szczytu USA-UE są absurdalne. Dziś szansę na załagodzenie napięcia mają przede wszystkim politycy zachodni: premierka Włoch Georgia Meloni, prezydent Francji Emmanuel Macron i premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer. To te kraje, a nie Polska, muszą wziąć odpowiedzialność za przestrzeganie ewentualnego porozumienia pokojowego. My musimy się zbroić i trzymać żołnierzy w kraju.

Trump nie lubi Tuska, a osobiste relacje w jego przypadku mają znaczenie. Partnerem do rozmów dla niego jest prezydent Duda, który jednak kończy kadencję i niewiele już zrobi, choć działa zgodnie z polską racją stanu. Nową grę można rozpocząć, gdy zostanie wybrany nowy prezydent.

Rząd wystawia na pierwszą linię rozmów z Amerykanami Kosiniaka-Kamysza, żeby utrzymać jak najlepsze relacje z Pentagonem. Szef MSZ Radosław Sikorski utrzymuje dobre relacje z sekretarzem stanu Marco Rubio. Jednak Rubio – krytyczny wobec Putina – nie jest w pierwszym garniturze doradców Trumpa.

Donald Tusk próbuje budować dobre, mocne relacje inną drogą – za pomocą Big Techów. W lutym wraz ze swymi ludźmi odbył serię spotkań z szefami amerykańskich gigantów cyfrowych, a także z polską branżą IT. Co ciekawe, obok Tuska nie było wicepremiera i ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego, lecz minister finansów Andrzej Domański. Gdy Trump zmierzał do przejęcia władzy, pisaliśmy, że PiS nie ma dla niego i jego administracji znaczenia, bo nie rządzi. Prezydent USA nie lubi Tuska, ale liczą się interesy.

Kontrakty miały przepływać przez Gawkowskiego (BIG Techy) i Kosiniaka-Kamysza (zbrojeniowe). I Tusk zostawił sprawy sprzętu wojskowego szefowi MON, ponieważ obecna ekipa w Pentagonie to trumpiści. Ale w branży IT jest inaczej i premier postanowił tu być osobiście aktywny. Tym bardziej że w Lewicy kiełkował pomysł podatku cyfrowego. Tusk postanowił go jak najszybciej uciąć, bo uważa, że dziś nie czas i miejsce na takie manewry.

Priorytetem jest jak najściślejsze powiązanie naszej branży IT z amerykańskimi gigantami. Im więcej więzi gospodarczych z USA na różnych polach, tym lepiej i Tusk, obok Kosiniaka-Kamysza, ma być realizatorem tej strategii. To, że sam szef rządu zaangażował się w budowę tych relacji, ma dać sygnał amerykańskim menedżerom, że sprawa jest traktowana bardzo poważnie. ●

Dominika Wielowieyska

eprasa.pl 817e671fa2

WAŻNY TEMAT

KONIEC ZŁOTEGO NAWIASU

Mam nadzieję, że przeżyję putinowski reżim.

Z PISARZEM **JONATHANEM LITTELLEM** ROZMAWIA WIKTORIA BIELIASZYN

WIKTORIA BIELIASZYN: Czym jest miejsce „kłopotliwe”? Tak na polski przetłumaczony został tytuł pana najnowszej książki.

JONATHAN LITTELL: – Wie pani, Babi Jar to miejsce, w którym czuje się śmierć, ale wszyscy zdają się tego nie dostrzegać. Spędziłem tam dużo czasu. Piękny park, mnóstwo pomników, metro, domy mieszkalne. To wszystko zbudowane jest w miejscu, gdzie podczas II wojny światowej doszło do masowego mordu Żydów, gdzie nadal, podczas prac budowlanych, odnajdywane są skupiska ludzkich kości. Obok tego pięknego parku znajdują się inne, mało przyjemne miejsca, jak szpital psychiatryczny, kostnica. Wszystko to wzięte razem tworzy dziwną przestrzeń, w której pełna tajemnic przeszłość spotyka się z teraźniejszością, która bywa nie mniej zagadkowa.

Podobny kontrast dostrzegł pan w Buczy.
– Bucza to urokliwe miejsce, fajne do życia. Jezioro, dacze, małe drewniane domki. Przed inwazją ludzie osiedlali się tu ze względu na świeże powietrze, bliskość lasu i jeziora, możliwość spędzania czasu z dziećmi na łonie przyrody.

I w pewnym momencie to urokliwe miejsce stało się strefą masakr, gdzie za wyjście z psem do sklepu można było dostać kulą w głowę, a na ulicach porozrzucane były ciała zamordowanych mieszkańców. W Buczy ślady po tych wydarzeniach też szybko zniknęły. To robi wrażenie. Swoisty urok tych miejsc z atmosferą horroru, kiedy ma się świadomość, że się tu rozegrał, czyni je „kłopotliwymi”.

Kiedy mówimy o „niewygodnych” miejscach obciążonych trudną historią na myśl przychodzą symbole, które widać w ukraińskich miastach. Flagi UPA, pomniki Bandery. Pan w książce poświęca im wiele uwagi.
– W Babim Jarze jest pomnik ukraińskich nacjonalistów, nie sposób było uniknąć tego tematu. Starałem się podejść do niego w sposób jak najbardziej historycznie dokładny i obiektywny. Bo jak tylko mówimy o ukraińskim radykalnym nacjonalizmie, o współpracy z nazistowskimi Niemcami i zbrodniach, to natychmiast wchodzimy na poletko, na którym zadomowiła się rosyjska propaganda, która dziś wmawia ludziom, że Ukraińcy są nazistami.

Dla mnie mówić, że Ukraińcy są nazistami z powodu Bandery, Szuchewycza itd. to tak, jakby mówić, że Francuzi są nazistami z powodu Pétaina, Vichy i wszystkiego, co wydarzyło się 80 lat temu.

Nawiasem mówiąc, duża różnica między Francją a Ukrainą polega na tym, że we Francji prezydent, premier, policja – wszyscy oni oficjalnie współpracowali z Niemcami, oddając całą maszynerię państwową na ich usługi. Między innymi wysyłali Żydów do obozów koncentracyjnych.

W Ukrainie natomiast były to grupy bojówkarzy, które nie reprezentowały nikogo poza sobą. 200 tysięcy fanatyków. Większość z nich nie była nawet fanatykami, ale idiotami kierowanymi przez fanatyków. I to na tle pięciu milionów Ukraińców, którzy walczyli w Armii Czerwonej.

Starałem się przedstawić kontekst i pokazać, że ekstremistyczny nacjonalizm Ukraińców był podczas II wojny światowej, ale i jest dzisiaj, zjawiskiem mniejszościowym. Ukraińscy nacjonaliści, w szczytowym momencie w 2011 r., weszli do parlamentu z mniej niż 10 proc. poparcia, a teraz spadli w sondażach tak nisko, że w ogóle nie ma ich w rządzie.

Porównajmy to do skali poparcia dla Zjednoczenia Narodowego we Francji czy AfD w Niemczech. Nie ukrywam, że zastanawia mnie też siła skrajnej prawicy w Polsce. O tym trzeba dzisiaj mówić, żeby zrozumieć ukraiński krajobraz polityczny i nie ulegać rosyjskiej propagandzie.

Co z symbolami?
– Obecne pokolenie Ukraińców dorastało bez dostępu do prawdziwych informacji na ten temat, bo nie były one omawiane ani w podręcznikach szkolnych, ani w innym dyskursie. I to od lat. Najpierw za sprawą radzieckiej propagandy, ale też później, po 1991 r., ta kwestia została pominięta. Niektórzy ludzie nie wiedzą, jak bardzo te grupy były antysemickie i że mor-

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

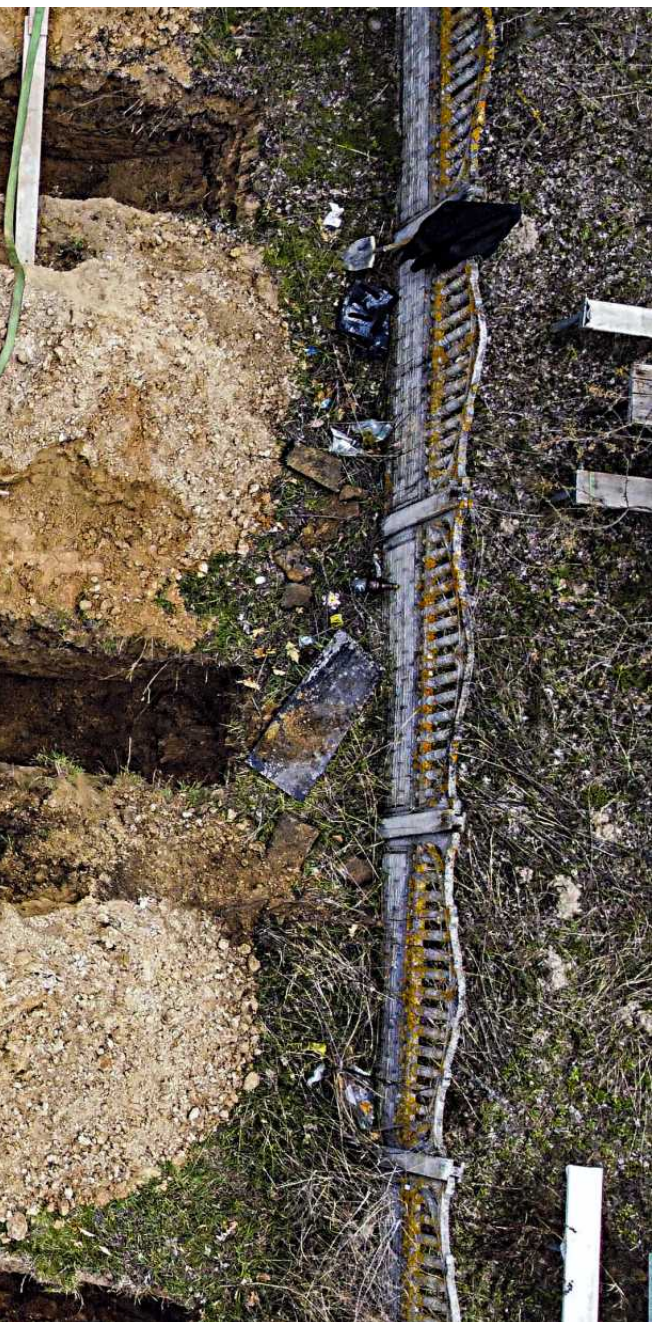

• **Pogrzeb mieszkańców Buczy zabitych przez rosyjskich żołnierzy. Kijów, 20 kwietnia 2022 rok**
FOT. ANADOLU/GETTY IMAGES

dowały ukraińskich Żydów. Nie znają historii o kolaboracji z nazistami. Postrzegają ich jako bohaterów walczących przeciwko Rosji o wolność. Takich symboli i mitów Ukraińcy dzisiaj potrzebują, one dają im moralną i psychiczną siłę do prowadzenia wojny obronnej.

Na ostatniej Paradzie Równości w Kijowie, przed inwazją, spotkałem żołnierkę z czerwono-czarną flagą. Zapytałem ją, kogo reprezentuje i o co chodzi z tą flagą. Odpowiedziała, że przedstawia osoby LGBT w ukraińskich siłach zbrojnych. I że niesie tę flagę, bo dla niej to wyraz patriotyzmu jako wojskowej i osoby LGBT. Ta i podobne sytuacje potwierdzają moje przekonanie o absolutnej pustce tego symbolu.

I oczywiście, że z czasem dyskusja wokół pamięci historycznej będzie musiała się odbyć. Mówią o tym zresztą też moi ukraińscy rozmówcy. Ale nie teraz. Musi poczekać do zakończenia wojny.

Nie wszyscy podzielają tę opinię.
– Tak, wybrzmiewa to wyraźnie w starciach i debatach dotyczących Wołynia, które odbywają się między Polską a Ukrainą. Niektórzy wasi politycy uważają, że ta kwestia musi zostać natychmiast wyjaśniona i rozwiązana. Widzę, że Ukraińcy odpowiadają coś w stylu: „słuchajcie, mamy teraz inne pilne sprawy, chcielibyśmy się tym zająć, ale może zróbmy to później".

Mam głębokie poczucie, że polscy politycy, którzy dzisiaj próbują zmusić stronę ukraińską do natychmiastowego działania w gruncie rzeczy kierują się jedynie polityką wewnętrzną. Że nie chodzi tu w ogóle o Ukrainę, która ma dzisiaj wystarczająco dużo świeżych, zbiorowych mogił do zbadania.

Ukraińska prokuratura prowadzi tysiące śledztw dotyczących zbrodni wojennych popełnianych przez rosyjską armię. Jeśli dodać teraz do listy zadań, którym ukraińscy śledczy i prokuratura muszą sprostać, jeszcze mogiły sprzed osiemdziesięciu lat, zwyczajnie zabraknie ludzi do pracy.

Tymczasem ekshumacje i Wołyń to dzisiaj jeden z najchętniej podejmowanych tematów, zwłaszcza przez polską prawicę.
– Obecna debata nie bierze pod uwagę dziesięcioleci pracy między Polakami a stroną ukraińską. Wspomnijmy chociaż Petra Poroszenkę, który przyjechał do Warszawy na początku swojej prezydentury i oddał hołd ofiarom Wołynia. Nie jest tak, że strona ukraińska nie podjęła żadnych wysiłków. Oczywiście zawsze może być więcej, ale dziś trzeba dokonać starannego rozróżnienia między tym, co jest niezbędną pamięcią i historyczną koniecznością, a tym, co służy do realizacji celów politycznych. Mówiąc delikatnie, nie jest to dobry pomysł, aby przekształcać Ukrainę w narzędzie walki politycznej i sporów między konkurencyjnymi partiami.

Jak pana zdaniem zmieni się ukraińska polityka pamięci?
– To jest jeden z paradoksów tej wojny. Przed wybuchem pełnowymiarowej inwazji Ukraina miała wielkie podziały w kwestii pamięci między Zachodem a Wschodem. Na Zachodzie ludzie pamiętali tzw. opór, walkę z Sowietami i UPA. A na Wschodzie większość miała jakichś przodków, którzy służyli w armii i walczyli z nazistami.

Rosyjska inwazja na pełną skalę w znacznym stopniu zatarła te różnice. Cały kraj jest dzisiaj zjednoczony wokół jednego wydarzenia, Ukraińcy mówiący po ukraińsku, Ukraińcy mówiący po rosyjsku, chłopi, miastowi, chrześcijanie, niewierzący – wszystkie grupy społeczne zjednoczyło doświadczenie, jakim było znalezienie się pod rosyjskim ostrzałem. Rozmiary cmentarzy pokazują, że odległość od frontu nie jest żadną ochroną, jeśli chodzi o zasięg rosyjskiej agresji. I to całkowicie zmienia charakter debaty. Po wojnie rozpoczną się kolejne. Też o Babim Jarze.

Trudno sobie wyobrazić podobne debaty w Rosji.
– Oczywiście, przecież deformacja historii odbywa się tam na niesamowitą skalę. Nie można tam omawiać paktu Ribbentrop-Mołotow, bo za wygłaszanie opinii innych, niż oficjalna grozi więzienie.

A Ukraina jest społeczeństwem otwartym. Możesz tam napisać i opublikować wszystko, co chcesz. Wystarczy otworzyć Ukraińską Prawdę, która znana jest z ostrej krytyki rządu. Można w niej też znaleźć artykuły o eksterminacji Żydów w Ukrainie. Kilka z nich sam napisałem. Chcę powiedzieć, że w Ukrainie to nie jest problem. Każde społeczeństwo kładzie również nacisk na to, jakie debaty i sprawy są mniej lub bardziej ważne w danym czasie.

Dlaczego Rosjanie ich nie prowadzą? Wiem, że kiedy pracował pan w Czeczenii podczas II wojny czeczeńskiej i chciał dzielić się z przyjaciółmi w Moskwie opowieściami o niej, często reagowali brakiem zainteresowania albo niechęcią.
– Nie mam dzisiaj przyjaciół w Rosji. Jest tam jeszcze kilka osób, które znam, ale wszyscy bliscy mi Rosjanie żyją dzisiaj na emigracji i są proukraińscy.

Trzeba też wiedzieć, że represje w Rosji są dotkliwe. Za publiczne rozmawianie na te tematy można trafić do więzienia na długi czas. Ludzie siedzą w Rosji np. za przekazanie na rzecz ukraińskich organizacji humanitarnych 50 dolarów. Albo za to, że stanęli na ulicy z transparentem czy plakatem, który nie spodobał się władzom. Czyli właściwie za samo bycie przeciwko wojnie grozi tam więzienie.

Większość Rosjan, którzy pozostali w kraju, tak jak ich przodkowie w czasach sowieckich, szukają schronienia na „wewnętrznej emigracji". Skupiają się na przyjaciołach, rodzinie, swoim psie i po prostu milczą. To bardzo rosyjska cecha, a właściwie – radziecka. Tak ludzie żyli przez lata w ZSRR. Rosjanie kierują się tym wyuczonym odruchem.

Ale Ukraińcy też żyli w ZSRR.
– Jasne, ale Ukraińcy są inni. Mają inną historię, tradycję, mentalność. I są świadomi tej odmienności.

Kiedy jesteś częścią imperium, to nieuchronnie jesteś albo częścią, która odpowiada za kolonizację, albo tą skolonizowaną. Skolonizowana część imperium nie ma luksusu ignorowania wszystkiego, co robi kolonizator. Dotyczy to każdego imperium, nie tylko radzieckiego, ale też francuskiego czy brytyjskiego.

Podam prosty przykład. Ilu ludzi, aż do lat 70. XX wieku w Australii, zwracało jakąkolwiek uwagę na ludobójstwo rdzennej ludności i roszczenia niewielu ocalałych? Zero. Przywilejem kolonizatora jest ignorowanie trudnych pytań.

Kolonizowani, którzy byli represjonowani, nie mieli tego luksusu. Myślę więc, że w Ukrainie zawsze było dużo bardziej krytyczne podejście do ZSRR. Podobnie było w Państwach Bałtyckich czy w Polsce, choć to oczywiście nieco inne historie, ale zmierzam do tego, że społeczeństwa podbijane przez ZSRR nie miały w tym czasie, w odróżnieniu od Rosjan, powodu do jakiegoś samozadowolenia.

A Putin ma dzisiaj powód do zadowolenia? W wywiadzie udzielonym niezależnym rosyjskim mediom w 2022 r. mówił pan, że „ta wojna będzie końcem Putina". Dzisiaj myśli pan tak samo?
– Dzisiaj nie wiem. Wtedy w to wierzyłem. Jestem też przekonany, że gdyby administracja Bidena podjęła bardziej zdecydowane działania, putinowski reżim by upadł. Uważam, że ówczesne władze USA miały tę świadomość, ale tego nie chciały.

A teraz rosyjski reżim ma w Białym Domu najlepszego przyjaciela i to zupełnie zmienia sytuację.

Ale kondycja rosyjskiego reżimu nie poprawiła się drastycznie w ciągu półtora miesiąca od inauguracji Trumpa.
– Oczywiście. Rosyjski reżim jest słaby, jest w znacznie bardziej katastrofalnym stanie, niż twierdzą eksperci. Widać to po poziomie inflacji, po stopach procentowych, które gwałtownie rosną. Widzę to po upadku firm, które nie mają powiązań z sektorem wojskowym.

Dlatego Putin chce teraz zawieszenia broni równie desperacko, co Ukraińcy. Jemu też kończą się ludzie, sprzęt, broń. Straty rosyjskiej artylerii były w 2024 r. dwukrotnie wyższe niż w 2023 roku.

FOT. OLEG NIKISHIN/GETTY IMAGES

Rosja wysyła żołnierzy do Korei Północnej na terapię, bo nie ma na to zasobów we własnym kraju

I gdyby zachodnia presja na reżim była kontynuowana w taki sposób, jak przez ostatnie dwa lata, nawet bez nacisku na zwycięstwo, Rosja znalazłaby się w poważnych tarapatach za rok czy dwa. Czynnik Trumpa zmienia to wszystko. To będzie ogromny zastrzyk tlenu dla reżimu.

Biorąc pod uwagę obecny romans między Trumpem a Putinem, Putin może utrzymać się u władzy jeszcze wiele lat.

Jak w tym wszystkim ma odnaleźć się prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, który coraz bardziej przypomina postać szekspirowską?
– Nie mam pojęcia. Nikt nie rozumie Trumpa. Pojawiają się niezliczone teorie na temat stanu jego psychiki i osobowości, ale wiemy jedynie, że podchodzi do polityki i życia czysto transakcyjnie. I że ten facet nie ma jednego spójnego pomysłu czy idei, którymi się kieruje. Jednego dnia jest zakochany w Putinie, a następnego, być może, Zełenski, Starmer i Macron będą w stanie zmienić jego zdanie. A może nie.

Pana zdaniem to możliwe? Wspominał pan, że ludzie tacy jak Putin, a zdaniem ekspertów Trump postrzega kwestie geopolityczne w podobny sposób, traktują dzisiaj Europę jako słabego gracza. Pan zresztą też porównał Europę do „chłopca, który utył przez dietę z coca-coli".
– To prawda, jeśli chodzi o front wojskowy czy techniczny. Podam przykład: kilka miesięcy temu szef Sił Zbrojnych Francji oświadczył przed parlamentem, że w przypadku pełnej inwazji Rosji na Europę Wschodnią, Francji amunicji starczyłoby na dwa tygodnie. Więc tak, Europa jest słaba.

Ale są też inne sygnały. Spójrzmy na premiera Wielkiej Brytanii, na władze Francji, na obecny rząd Polski i na pana Mertza w Niemczech. Ich deklaracje i działania dają szansę, że – być może – w końcu będziemy mieli konfigurację głównych mocarstw Europy, która pozwoli na zbudowanie silnego kompleksu obronnego. Pan Mertz w pierwszym przemówieniu przed wyborami wyraźnie mówił, że sytuacja Europy ma teraz wymiar egzystencjalny.

Ostatnie tabu, którego europejscy liderzy wciąż nie chcą złamać, dotyczy zamrożonych w Europie rosyjskich aktywów, które szacuje się na ok. 300 miliardów euro. Myślę, że jednak do tego dojdzie. Sytuacja jest i będzie bardzo, bardzo napięta. I wszyscy w Europie zdają sobie sprawę z jej powagi. Może z wyjątkiem Włoch, które mają swoje osobliwości, i oczy-

eprasa.pl 817e671fa2

wiście z wyłączeniem Węgier, ale nie są one najważniejsze.

Europejscy liderzy mają świadomość, że jeśli dojdzie do zawieszenia broni w Ukrainie, a Putin odbuduje swoje siły, to bardzo możliwe, że w ciągu najbliższych trzech lat kraje bałtyckie i Polska będą bezpośrednim celem jego ataków. I że obecny poziom obrony, zwłaszcza, jeśli Ameryka wycofa swój wkład, będzie całkowicie niewystarczający, aby stawić mu czoła.

Wielu ekspertów gwałtownie by zaprzeczyło – często słyszę, że Rosja nie ośmieliłaby się zaatakować państwa NATO.
– Marzeniem Putina jest zniszczenie NATO. Oczywiste jest, że atak na NATO, którego pełnoprawnym członkiem jest gotowa do walki Ameryka, to dla Putina niemożliwy do zrealizowania scenariusz. Ale już NATO, o którym Ameryka mówi, że to nie jej problem, to zupełnie inna kwestia.

Jest jeszcze jeden czynnik, bardzo ważny: Putin całkowicie przestawił gospodarkę na „wojenne tory" co oznacza, że jedynym motorem rozwoju gospodarczego Rosji jest armia.

Chyba ciągle jeszcze nie jedynym...
– Istnieją pewne możliwości eksportu gazu i ropy, ale Europa rozprawia się z tzw. „flotą cieni". Nie zapomnijmy też o sankcjach, o braku dostępu dla Rosji do rynków europejskich. Rosja będzie więc rozwijać gospodarkę wojenną, będzie kontynuować produkcję. Przez pierwszy rok lub dwa będą uzupełnić straty, ale później pojawi się nadmiar. Jedynym logicznym rozwiązaniem, by pozbyć się nadmiaru, jest albo sprzedanie go, jak robi to Korea Południowa, która nieustannie produkuje, bo pozostaje w stanie ciągłej gotowości do ewentualnej wojny z Koreą Północną, albo wykorzystanie. Dla Europy, ze strony Rosji, pojawi się więc naturalne, mechaniczne zagrożenie.

Gdyby administracja Bidena podjęła bardziej zdecydowane działania, putinowski reżim by upadł

Jeśli sankcje nie zostaną zniesione i jeśli między Rosją a Ukrainą dojdzie do zawieszenia ognia, Putin nie będzie chciał ponownie zaatakować Ukrainy, która przecież też będzie się zbroić i uzupełniać braki. Logiczne będzie dla niego zaatakowanie miękkich celów, a takimi są przygraniczne kraje NATO, jeśli USA wstrzymają lub wycofa ochronę. To naprawdę jest dla Putina realny plan.

Pan mówi z dużą pewnością o jedności i solidarności Europy, ale nastroje wewnątrz krajów członkowskich bywają coraz bardziej niejednoznaczne.
– Istnieją napięcia, zgadzam się, ale jednak jedynymi otwarcie prorosyjskimi krajami w Europie są dwa małe i niezbyt istotne: Węgry i Słowacja. Wszystkie inne stawiają rosyjskiej narracji opór. Widzimy na przykład, co dzieje się w Rumunii, którą usiłowano ostatnio przeistoczyć w państwo z prorosyjskimi władzami. Ten plan się całkowicie nie powiódł.

Wzrost popularności partii skrajnie prawicowych, z których wiele jeszcze niedawno znanych było z co najmniej „niejednoznacznych" ocen Putina pana nie martwi?
– Martwi. Wzrost poparcia dla AfD, jest oczywiście bardzo niepokojące, ale oni nie są u władzy. Chociaż to skrajna prawica, to wyraźnie nie jest to prorosyjska skrajna prawica i na razie pozostają zgodni z NATO oraz zachodnioeuropejskimi stanowiskami wobec Rosji – i dzięki Bogu. Europa zawsze była napędzana przez pewne „motory". Przez wiele dekad był to motor francusko-niemiecki. Myślę, że on powróci, ale z udziałem Polski. Powstanie więc francusko-niemiecko-polski blok w zakresie obronności i bezpieczeństwa, który popchnie Europę naprzód.

No i Skandynawowie, z którymi Polacy są w bliskim kontakcie. Są bezpośrednio zaangażowani, ponieważ sąsiadują z Rosją Myślę więc, że Europa sobie poradzi – jak zawsze z ogromną ilością sporów. Najważniejsze pytanie dotyczy jednak tempa, tego, jak szybko można ustalić równowagę sił, by powstrzymać Putina przed dalszą agresją.

Rozmawiamy o wojnie. Pana artykuły i powieści dotyczą głównie jej, przemocy, zbrodni wojennych. Tłumaczył pan kiedyś, że pisze o tym, by zrozumieć przestępcę. Udało się panu?
– Jedyną odpowiedzią, jaką mam, są moje książki. Jedno, co wiem na pewno, i nie chodzi tu o przemoc jako taką, ale o specyficzny charakter reżimów, to że są one jak gigantyczne góry lodowe. Wydają się masywne i stabilne, ale upadają błyskawicznie.

Dwa tygodnie przed upadkiem wszyscy myśleli, że Baszszar jest na zawsze, a potem nagle reżim przestał istnieć. Takie systemy władzy są w rzeczywistości niezwykle kruche. Utrzymują się dzięki przemocy i przymusowi, ale nie mają mechanizmów przekazywania władzy, funkcjonują na bardzo wąskiej bazie poparcia. Dlatego każda destabilizacja jest dla nich śmiertelnym zagrożeniem – i dlatego Putin tak się boi.

Dlatego nie ogłasza powszechnej mobilizacji – bo wie, że to mogłoby obrócić ludzi przeciwko niemu. Liczy na to, że większość społeczeństwa pozostanie bierna. Ale zdaje sobie sprawę, jak krucha jest jego władza – wystarczy niewielki wstrząs, by cały system się zawalił. Mam nadzieję, że przeżyję putinowski reżim.

Bohater pana powieści „Łaskawe" wraca po wojnie do Francji, gdzie wiedzie normalne życie z rodziną. Nad „resocjalizacją" Niemców czuwali jednak alianci. Jak te powroty ludzi popełniających zbrodnie będą wyglądać dzisiaj?
– W przypadku Rosji poziom traumy i przemocy wewnątrz armii jest niewyobrażalnie wysoki. Do tego dochodzi alkoholizm i inne czynniki, które sprawiają, że ogromna liczba tych ludzi nie jest w stanie wrócić do normalnego życia – są kompletnie wyniszczeni. A w Rosji nie istnieją żadne struktury, które mogłyby zająć się ich leczeniem psychologicznym. Rosja wysyła żołnierzy do Korei Północnej na terapię, bo nie ma na to zasobów we własnym kraju.

Tak jak po poprzednich wojnach pojawiły się ogromne problemy społeczne związane z weteranami – teraz będzie ich coraz więcej. Obawiam się morderstw, przemocy, pijaństwa. Ale wielu z tych mniej straumatyzowanych po prostu wróci do normalnego życia, niezależnie od tego, jakich zbrodni się dopuścili. Bo taka jest ludzka natura.

Czego jeszcze się pan o niej dowiedział?
– Ludzie zawsze mieli w sobie dobro i zło. Skorzystaliśmy z historycznie niezwykłych 80 lat pokoju w Europie. Ale jeśli spojrzymy na całą historię ludzkości, to był to jedynie „złoty nawias". A to, co dzieje się teraz – załamanie porządku światowego i wzrost konfliktów – jest raczej normą w historii ludzkości. Różnica polega na tym, że kiedy robili to Rzymianie, nie mieli możliwości zniszczenia klimatu ani unicestwienia świata bronią nuklearną. My mamy obie te rzeczy.

Jeśli jestem pesymistyczny w jakiejś kwestii, to nie dlatego, że ludzie walczą ze sobą – to jest niezmienne. Bardziej martwi mnie to, że system ekonomiczny, jakim jest kapitalizm, może całkowicie zniszczyć powietrze, wodę i ziemię – czyli podstawy życia.

Pod koniec XXI wieku możliwości przetrwania mogą być bardzo ograniczone. To jest prawdziwy problem, o który powinniśmy się martwić. A wszystkie te wojny i konflikty? To tylko odwracanie uwagi od tego, co najważniejsze. ●

Vance zepsuł plan Trumpa

Zełenski wlał mnóstwo otuchy do serc i umysłów Ukraińców. Jego notowania wzrosły

Mirosław Czech

W domu wisielca nie mówi się o sznurze, ale parę słów o USA w czasie drugiej kadencji Trumpa powiedzieć trzeba. Gdy Republikanie zrozumieli, że władzę gwarantuje im rewolucja kulturowa spod znaku Make America Great Again, wolność, demokracja, rządy prawa i zaufanie do instytucji przestały być spoiwem, na których trzyma się Ameryka. Już za dwa lata się okaże, czy siły broniące ładu będą wystarczająco sprawne i zmobilizowane, by wygrać „midterms", wybory połówkowe do Kongresu.

Zaufanie do wiodącej roli Ameryki w Wolnym Świecie prysło, bo dla amerykańskiego prezydenta, jego akolitów i wyznawców to Wolny Świat jest ideologicznym przeciwnikiem, a nie Rosja czy Chiny. O czym z tupetem zakomunikował w połowie lutego wiceprezydent J.D. Vance podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, a parę dni po nim jego szef („UE została utworzona, aby oszukać USA"). Wszystko stało się już zupełnie jasne po skandalu z łajaniem i wyproszeniem prezydenta Ukrainy z Białego Domu i po wstrzymaniu dostaw amerykańskiej broni – jednostronnym i bez powiadomienia partnerów z Europy. W Polsce słychać opinie, że chodzi o podważenie „koalicji chętnych" do pomagania Ukrainie, czyli skupiającej 54 państwa Grupy Ramstein. To lekceważenie powagi sytuacji.

Podczas szczytu NATO w Waszyngtonie w lipcu zeszłego roku podjęto decyzje w sprawie: utworzenia sojuszniczego dowództwa, które zamiast Grupy Ramstein będzie koordynować pomoc dla Ukrainy (NATO Security Assistance and Training for Ukraine – NSATU), które rozpoczęło działalność w grudniu w Wiesbaden; uruchomienia Połączonego Centrum Analiz Szkolenia i Edukacji NATO-Ukraina w Bydgoszczy; zagwarantowania ukraińskiej armii co najmniej 40 mld euro. Wstrzymanie dostaw broni unieważnia te decyzje, podważając zdolność Sojuszu do działania. Państwu, któremu dopiero co obiecano członkostwo – „nieodwracalną drogę – właśnie wypowiedziano tę obietnicę i wszelkie wsparcie. Czy sami członkowie mogą się czuć bezpieczni i pewni obowiązywania artykułu 5 Traktatu Waszyngtońskiego? Absolutna większość stolic w Europie odpowiedziała: „nie".

Ważne zatem, że po informacji o faktycznym wstrzymaniu dostaw amerykańskiego sprzętu, Zełenski polecił ministerstwu obrony wyjaśnienie, czy rzeczywiście taka decyzja zapadła, kto ją wydał i na jakiej podstawie? Nie chodzi o kwestie formalne czy godnościowe, lecz o ustalenie, czy NATO jeszcze działa.

●

Wobec takich faktów zasadnicze znaczenie ma przywództwo polityczne. Na szczęście w Europie nie zabrakło polityków, którzy stanęli na wysokości zadania, dając UE i NATO szansę na pokonanie kryzysu. Czego świadectwem stało się 2 marca spotkanie w Londynie „koalicji nieustraszonych" – jak nazwano spotkanie przywódców 11 państw (w tym Polski), szefów Komisji Europejskiej i Rady Europejskiej oraz sekretarza generalnego NATO.

W poniedziałek we francuskim Zgromadzeniu Narodowym odbyła się dyskusja na temat dalszej pomocy Ukrainie i bezpieczeństwa europejskiego. Premier François Bayrou tak komentował spotkanie Zełenskiego z Trumpem i J.D. Vance'em: prezydenta Ukrainy „starano się brutalnie poniżyć przed kamerami mediów światowych, żeby skapitulował przed Federacją Rosyjską. Wszystko sprowadzało się do jednego zdania: albo zawieracie umowę z Putinem, albo pozostawiamy was samych sobie. W imię godności, płynącej z demokratycznej odpowiedzialności, w imię godności Ukrainy i w imię godności Europy prezydent Zełenski nie uległ. Sądzę, że za to powinniśmy być mu wdzięczni". Deputowani odpowiedzieli oklaskami, co oddaje nastrój, jaki zapanował w większości państw europejskich.

Po ustanowieniu kanałów kontaktów komunikacji z Putinem (za sprawy biznesowe odpowiadają Steve Witkoff i Kirił Dmitrijew) oraz wyznaczeniu Europy jako celu ataku współdziałanie Rosji i USA ruszyło z kopyta. W sprawie Ukrainy Trump dobił targu 12 lutego przez telefon, określając zasadnicze punkty „porozumienia": układ zawierają we dwóch (pierwsza runda już odbyła się w Rijadzie), Ameryka uznaje status Rosji jako mocarstwa (symbol to jej powrót do grupy G7) i pośredniczenie między USA a Iranem w sprawie jego programu nuklearnego.

Scenariusz niemal „wspaniały" (ulubione słowo Trumpa w komunikacji z Putinem), gdyby nie trzy punkty. Osobowość Zełenskiego, który amerykańskiemu prezydentowi wydaje się „marnym komikiem", lecz to twardy orzech do zgryzienia. Świadomość Ukraińców – większości społeczeństwa, władzy i opozycji – że pokój na modłę Trumpa to kapitulacja, unicestwienie ich państwa i narodu. I świadomość Europejczyków, że narzucany im przez Trumpa deal „wy finansujcie Ukraińców i wyślijcie tam żołnierzy, a my przypilnujemy warunków przestrzegania porozumienia i Putina" jest oszukańczy. Bo zagraża im nie tylko Moskwa, ale i Waszyngton.

●

Zełenski wlał mnóstwo otuchy do serc i umysłów rodaków. Jego notowania wzrosły, choć odbiór wydarzeń w Białym Domu nie jest jednoznaczny. Część ludzi uważa, że nie powinien dać się sprowokować i „na pewno mógł się inaczej ubrać" – jak podpowiadają dyplomaci odwołujący się do zasad protokołu dyplomatycznego. Jakby nie byli świadomi, że dla Ukrainy wojna się nie skończyła, o czym właśnie przypomina strój ich prezydenta.

Większość Ukraińców stanęła murem za Zełenskim. Żołnierzy – większość absolutna. Ich sposób myślenia oddaje wpis Oksany Zabużko. Na Facebooku wybit-

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

FOT. REUTERS/ISABEL INFANTES

„Nie masz kart” - rzucił Trump Zełenskiemu podczas spotkania prezydentów w Waszyngtonie. Odpowiedź londyńczyków, demonstrujących poparcie dla Ukraińców: „Nie gramy w karty. Chwała Ukrainie”

na pisarka reprezentująca Ukrainę na świecie napisała, że Ukraińcy muszą się rozstać z mitem o „dobrym wujku Samie”, tak jak się rozstali z mitem „wielkiej” i „bratniej” Rosji. Nie mogą ulec myśleniu, że wszystko stracone. Najważniejsze, by właściwie zdefiniować to, czego byli świadkami. Zaproponowała proste ćwiczenie. „Zamknijcie się w łazience, patrzcie w lustro i wymawiajcie na głos (koniecznie na głos!): prezydentem Stanów Zjednoczonych został wspólnik Chujła [Putina] (mówią, że jest nawet agentem KGB), jego zadaniem jest uratowanie Rosji przed rozpadem. I powtórzcie kilka razy. I dopiero po tym (wyłącznie po tym!) powiedzcie sobie – tak samo na głos, wyprostowując ramiona: Ukraina nie podpisała kapitulacji. Ukraina nie stała się Czechosłowacją – 1938”.

Patetyczne? Może. Ale gdy w Polsce słyszę pytania, jakie nastroje panują w Ukrainie, odpowiadam, że właśnie takie.

•

Teraz o samym Zełenskim. Gen. Keith Kellog jest specjalnym wysłannikiem Trumpa do Rosji i Ukrainy, lecz jego rolę sprowadzono niemal do zera, gdy ruszyły rozmowy Trumpa z Putinem. Mimo to stara się robić, co może. Pod koniec lutego w Kijowie spotkał się z prezydentem, jego doradcami i dowództwem wojskowym. Zastanawiał się, jak można złagodzić zaproponowaną Zełenskiemu kolonialną umowę o minerałach i metalach ziem rzadkich, upewniał, że armia ukraińska nie jest w tak złym stanie, jak o tym opowiadają w Białym Domu. I radził, świadom nastroju i celów swojego szefa, żeby umowę o minerałach podpisać w Kijowie, a nie w Waszyngtonie.

Zełenski jednak zdecydował, że do USA poleci, by się przekonać Trumpa do potrzeby amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa. Wiedział, że będzie trudno, choć – jak mówią świadkowie – nie oczekiwał, że spotka się z frontalnym atakiem. Postanowił, że będzie twardy, bo styl prowadzenia negocjacji administracji republikańskiej poznał 12 lutego w czasie rozmowy z sekretarzem skarbu Scottem Bessentem i trzy dni później, rozmawiając z J.D. Vance’em, sekretarzem stanu Marco Rubio i doradcą do spraw bezpieczeństwa Timem Waltzem. Wtedy Ukraińcy huknęli „nie” i zachowanie Amerykanów odmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różki: przestali szantażować podniesionym tonem, zaczęli merytorycznie dyskutować.

Po spotkaniu w Białym Domu Zełenski opowiedział, że już na początku części otwartej dla mediów zorientował się, że główny adresat widowiska siedzi na Kremlu. I że wynik spotkania był z góry przesądzony. Gdy politycy zostali za zamkniętymi drzwiami, Ukraińcy „ze łzami w oczach” zaczęli prosić Amerykanów o kontynuowanie rozmów. Na próżno. Rubio i Walz poprosili Zełenskiego, by opuścił Biały Dom. Amerykanie nie planowali podpisania czegokolwiek, chcieli upokorzenia i kapitulacji.

Zełenski zareagował bystro: prosto z Białego Domu pojechał do telewizji Fox News, głównej stacji trumpistów. Gdzie spokojnie tłumaczył, że chciał porozumienia i kontynuowania współpracy z USA, dziękował Amerykanom i Trumpowi za wsparcie, opowiadał o kosztach rosyjskiej agresji. Akolici Trumpa, by zniwelować ten efekt, ruszyli do personalnego ataku, wzywając ukraińskiego prezydenta do odejścia.

Płyta okazała się zgrana. W Kijowie od kilku tygodni krążą opowieści o warunkach odejścia ze stanowiska, jakie Zełenski ma negocjować z Amerykanami w zamian za bezpieczeństwo dla siebie i kilkudziesięciu współpracowników. Wszystko miało być już dogadane. Jeśli tak, to spektaklem w Waszyngtonie Trump z Vance’em sami strzelili sobie w stopy. Teraz ukraiński prezydent doskonale wie, że Amerykanie nie mogą mu niczego gwarantować, pomimo zapewnień Elona Muska, że azyl może uzyskać w jakimś „neutralnym kraju”. Zełenski odpowiedział więc miliarderowi, że swoje odejście może wymienić jedynie na członkostwo Ukrainy w NATO. A wszyscy wiedzą, że to jest tak samo prawdopodobne przy prezydencie Trumpie, jak to, że jest on osobą prawdomówną i dobrze życzy Ukraińcom. Musk próbował odgryźć się, zapowiadając, że ujawni „ogromną korupcję” w otoczeniu Zełenskiego i dostawach broni na Ukrainę.

•

Brutalny szantaż potwierdził, że administracja republikańska nie wypracowała żadnego „planu pokojowego” dla Ukrainy. Bo ów sprowadza się do oczekiwania, że Ukraina przyjmie warunki kapitulacji, jakie Putin ogłosił przed atakiem 24 lutego 2022 roku i ponowił miesiąc później w trakcie rokowań w Stambule. Najważniejsze punkty to uznanie aneksji terytoriów okupowanych, radykalne zmniejszenie armii, rezygnacja ze starań o NATO i status języka rosyjskiego jako drugiego urzędowego. Słowem, Ukraina trwale podporządkowana Rosji z możliwością jej rozbioru wspólnie z zachodnimi sąsiadami (Węgrami, Rumunią i Polską), nad czym od lat pracują rosyjskie służby.

13 lutego Rosyjskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało okrągły stół „Od Charkowa do Użgorodu: historia konfliktów

Dwie trzecie Francuzów opowiada się za dalszą pomocą Ukrainie. Taki sam odsetek zgadza się na wysłanie francuskiego kontyngentu do Ukrainy

i kompromisów terytorialnych”. Cel to określenie „historycznych podstaw” dla zmiany zachodnich granic Ukrainy, co może być wykorzystane „przy opracowaniu decyzji prawnych na arenie międzynarodowej”. Ktoś zapyta – jakie znaczenie ma debata akademików z jednego z wielu stowarzyszeń naukowych? Ano takie, że Siergiej Naryszkin, przewodniczący Towarzystwa, to również dyrektor Służby Wywiadu Zagranicznego, czyli cywilnego wywiadu Rosji, oraz członek rosyjskiej grupy do rozmów z Amerykanami.

Zwierzchnik rosyjskich szpiegów przedstawił plan podporządkowania Rosji państw Europy Środkowo-Wschodniej z pomocą zaspokojenia ich rewizjonizmu terytorialnego, zgłaszanego otwarcie (Węgry) lub na razie potencjalnego (Polska i Rumunia). Wobec takiego faktu w Waszyngtonie powinny zapalić się wszystkie czerwone lampki – gdyby nowa administracja zwracała uwagę na Ukrainę i jej niepodległość.

•

Plan Amerykanów i Rosjan utrudnia to, że dziś kondycja armii ukraińskiej, przemysłu obronnego, organizacji państwa i determinacji sojuszników są nieporównanie lepsze, niż trzy lata temu, na początku pełnoskalowej wojny. Rosyjscy stratedzy wpadli więc na pomysł rozsadzenia Ukrainy od wewnątrz poprzez wybory prezydenckie w październiku, czyli politycznie natychmiast. Warunkiem ich organizacji miałoby być „wstrzymanie ognia”, gwarantowane przez Rosję. I dopiero nowemu prezydentowi Ukrainy pozwolono by dostąpić zaszczytu zakomunikowania mu amerykańsko-rosyjskich warunków pokoju – kapitulacji.

A w międzyczasie Rosja uruchomiłaby wszystkie mechanizmy mentalnej i cybernetycznej wojny hybrydowej i dezinformacji, jakie przetestowała podczas amerykańskich wyborów 2016 roku, przed Brexitem, a ostatnio w trakcie wyborów prezydenckich w Rumunii. Oczywiście walcząca Ukraina, która długie lata przed pełnoskalową wojną zmagała się z rosyjskimi trollami, fake newsami, agentami wpływu, cyberatakami i przekupstwem, to co innego. Ukraińskie służby poznały na wylot metody wroga i pracują na najwyższych obrotach, a obywatele są czujni. Ale co byłoby w warunkach nieuniknionego rozprężenia stanu przejściowego?

•

Wstrzymanie dostaw broni zamówionej i opłaconej w czasie prezydentury Joe Bidena jest ceną, jaką Trump wstawił Ukraińcom za to, że Zełenski się nie ugiął. I za to, że podczas wtorkowego przemówienia o stanie państwa w Kongresie Trump nie mógł opowiadać o tym, na czym jego ego najbardziej zależało – o „wspaniałym pokoju”, do jakiego doprowadził. Musiał zadowolić się cytowaniem listu – a w istocie wpisu na platformie X – od Zełenskiego, w którym ukraiński prezydent wyraził ubolewanie z powodu wydarzeń w Gabinecie Owalnym i gotowość do pracy nad „trwałym” pokojem „pod silnym przywództwem prezydenta Trumpa”.

Zadziałało. Mike Waltz właśnie obwieścił, że uzgodnił z Ukraińcami miejsce negocjacji dla „zbliżenia stanowisk obydwu stron”, wypracowania wspólnej propozycji i przedłożenia jej Rosji. Żeby się przekonać, że jest ona w ogóle zainteresowana pokojem. Zabrzmiało niemal jak wyznanie wierności sojuszniczej, w czym walny udział ma Europa.

Przytoczone na wstępie słowa francuskiego premiera są świadectwem niebywałej zmiany w polityce Francji, która od końca XIX wieku niemal zawsze była prorosyjska, a potem prosowiecka. Francuzi z trudem odnajdywali Ukrainę na swojej mentalnej mapie jako osobny naród i osobne państwo. Ale w ostatnich dekadach ta sympatia i zrozumienie dla Moskwy miały istotny kontekst: Paryż od czasów Charlesa de Gaulle’a – nawet w czasie II wojny światowej – cechował brak zaufania do Amerykanów.

Ta emocja złagodniała po zakończeniu zimnej wojny, lecz obecnie wybuchła z nową siłą – i tym razem ze szkodą dla Kremla. Ponad 70 proc. Francuzów uważa, że NATO już nie jest gwarancją ich bezpieczeństwa ze względu na politykę Trumpa. Dwie trzecie opowiada się za dalszą pomocą Ukrainie. Taki sam odsetek zgadza się na wysłanie francuskiego kontyngentu do Ukrainy po nastaniu pokoju.

Macron ma zatem przyzwolenie na swoją politykę wsparcia Ukrainy i budowy „strategicznej autonomii” Europy. Bo dziś może powtarzać: „A nie mówiłem?” I poza europejskimi trumpistami nikt mu nie przeczy.

Osobnym przypadkiem jest Wielka Brytania, do której Trump czuje respekt i swoiste zauroczenie. Stąd nieskrywana radość, gdy premier Keir Starmer wręczył mu list od króla Karola III z zaproszeniem do złożenia drugiej wizyty państwowej. Wyjątkowej w dziejach brytyjskiej monarchii – jak podkreślił Starmer.

•

Paryż wart jest mszy, a splendor dla Trumpa potrzebny, by utrzymać jedność euroatlantycką oraz zapewnić udział Europy w ewentualnych negocjacjach pokojowych na podstawie planu, który wypracował brytyjsko-francuski tandem z udziałem pozostałych członków „koalicji nieustraszonych” i który zaakceptowała Ukraina.

Na froncie tymczasem wojska ukraińskie zaczęły odzyskiwać teren pod Pokrowskiem, wyzwoliły część Torecka i mocno się trzymają w Czasowym Jarze, pod Kupiańskiem i Wielką Nowosiłką, a także w obwodzie kurskim. Na razie wstrzymanie amerykańskiej pomocy nie odbije się na działaniach ukraińskich żołnierzy, podobnie rzecz się ma z uderzeniami w głąb Rosji. – Z tym sobie poradzimy – ocenili ukraińscy eksperci.

Na koniec o odwadze, solidarności i politycznej mądrości. Matka oficera walczącego pod Pokrowskiem poprosiła mnie o podziękowanie w imieniu jego, innych oficerów i żołnierzy prezydentom Lechowi Wałęsie i Bronisławowi Komorowskiemu oraz pozostałym sygnatariuszom listu do Trumpa. Za wyrażenie również ich emocji i wsparcie, jakie dzięki temu listowi otrzymali. ●

eprasa.pl 817e671fa2

W MUNDURZE EUROPIE DO TWARZY

Francuzi są gotowi umierać i za Gdańsk, i za Kijów. A my?

FOT. NATO

• **Desant na jedną z wysp w pobliżu Goteborga. Ćwiczenia marynarki wojennej Szwecji - najnowszego członka NATO**

Bartosz T. Wieliński

– To nie powinno być trudne, a dzięki temu wysłalibyśmy mocny sygnał – słowa anonimowego francuskiego wojskowego, które pod koniec lutego przytoczył „The Telegraph", dziennik brytyjskich konserwatystów, wywołały w Europie spore poruszenie. Mowa była o przebazowaniu z Francji do Niemiec kilku myśliwców typu Rafale.

Te wymuskane maszyny kosztujące grubo ponad 100 mln euro za sztukę są wszechstronne: mogą zwalczać samoloty przeciwnika, wspierać własne siły lądowe, prowadzić rozpoznanie. I mogą odpalać pociski manewrujące typu ASMP-A, które na odległość 600 km przenoszą głowicę jądrową o mocy 300 kiloton, czyli 16 razy większej niż bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę.

Taka broń odpalona znad wschodniej granicy Polski może razić cele na rosyjsko-białoruskim pograniczu. Odpalona znad Łotwy doleci na przedmieścia Moskwy.

Francja do baz w Niemczech chce przenieść Rafale z właśnie takim uzbrojeniem. Właśnie dlatego jest to pomysł bez precedensu.

Emmanuel Macron często sięga po mocną retorykę. Wiosną zeszłego roku ogłosił na przykład, że nie można wykluczyć wysłania wojsk NATO do walczącej z rosyjską inwazją Ukrainy. Jedno zdanie wystarczyło, by doprowadzić do drgawek zarówno Rosję, jak i Zachód.

Chciał zwrócić na siebie uwagę? Pokazać wyborcom, że nie wymięka? Nastraszyć Rosjan, którzy po nieudanej ukraińskiej kontrofensywie odzyskiwali inicjatywę na froncie? Wszystko na raz?

Macron od początku swoich rządów wyznaje zasadę, że pod pewne tematy trzeba podchodzić z różnych kierunków. A nuż któryś okaże się skuteczną drogą. Jednak sugestie o wysyłaniu wojska rok temu były jeszcze przedwczesne, prezydent Francji ze swoich słów zaczął szybko się wycofywać, a Zachód, jak to Zachód, odetchnął z ulgą i zapomniał o sprawie.

Ale hasło przebazowania samolotów z bronią jądrową do sąsiedniego kraju przedwczesne bynajmniej nie jest.

•

Dwa tygodnie temu żyliśmy wizytą prezydenta Andrzeja Dudy na CPAC, ważnym kongresie konserwatystów pod Waszyngtonem.

Duda chciał być pierwszym europejskim prezydentem, który spotkał się z Trumpem po zaprzysiężeniu. I mogło mu się udać – dostał aż pół godziny w kuluarach. Ale Trump przybył mocno spóźniony, spotkanie skróciło się do ośmiu minut, w tym na pamiątkowe zdjęcia.

Duda przekonywał, że dostał zapewnienie, że wojska USA pozostaną w Polsce, bo Polska to ważny sojusznik Ameryki.

Lecz to Macron spotkał się z Trumpem po bożemu, w Białym Domu. I co z tego, że jako drugi, skoro rozmawiał z Trumpem bez opóźnień, bez pośpiechu i – choć Francuz nie ukrywał, że na kwestie wojny i pokoju w Ukrainie patrzy inaczej – bez awantury.

Ale też inna była wiadomość, jaką przywiózł. O wiele mniej optymistyczna. – Trump powiedział mu, że nie widzi potrzeby, by w Europie stacjonowały amerykańskie siły zbrojne – mówi nam wysokiej rangi unijny dyplomata. Macron podzielił się tą wiedzą z przywódcami UE podczas telekonferencji.

•

– Czytajcie wpisy Trumpa juniora – radzi dyplomata, z którym rozmawiamy. – To w nich zawiera się kwintesencja tego, o czym rozmawia się w najbliższym kręgu amerykańskiego prezydenta.

Donald Trump junior, lat 48, pierworodny, syn The Dona i jego pierwszej żony Ivany, który obecnie zarządza Trump Corporation, nie gryzie się w język. Publicznie kpił z Zełenskiego, zapowiadając, że straci „kieszonkowe". I tak się stało. Ojciec upokorzył ukraińskiego prezydenta i odciął go od wsparcia.

Junior domagał się negocjacji z Rosją – a teraz ekipa Trumpa nie tylko rozmawia z ludźmi Putina w sprawie Ukrainy, ale chce, by Kreml mediował między USA i Iranem.

I tak się składa, że gdy Trump jeszcze jako prezydent elekt pod koniec grudnia wywołał pierwszy międzynarodowy i dyplomatyczny szok, oznajmiając, że Ameryka potrzebuje Grenlandii i nie wyklucza użycia siły, by ją przyłączyć, parę dni później Donald Jr. wybrał się firmowym odrzutowcem na Grenlandię. „Prywatnie" i bez związku z inicjatywą ojca, jak oświadczył – ale podczas spotkania z mieszkańcami przekonywał, że Amerykanie będą ich „dobrze traktować". I oskarżał – czego trudno nie odczytać jako kreowania atmosfery dla aneksji – Duńczyków o złe traktowanie miejscowych oraz „rasizm" wobec rdzennej ludności.

•

Inspirowany przez syna czy nie, Trump konsekwentnie robi to, co zapowiedział. I bardziej wierzyłbym w relacje Macrona po standardowym spotkaniu w Białym Domu niż w relacje Dudy, który z Trumpem widział się kilka minut przy okazji robienia zdjęć.

Jeśli więc w Europie ma nie być Amerykanów, co zostanie z NATO? Elon Musk, miliarder, wizjoner i ekscentryk z narcystycznym rysem, który został jego przybocznym, publicznie wyznał, że jest za wyjściem Ameryki z Sojuszu, czym zdobył poklask amerykańskiego izolacjonistycznego alt-rightu. Zadziwiające, jak bardzo w sprawie NATO poglądy ruchu MAGA, Make America Great Again, są zbieżne z przekazami rosyjskiej propagandy.

Prezydent Joe Biden zabezpieczył się na taką okoliczność. W zeszłorocznej ustawie budżetowej dla departamentu obrony zaszyto przepis, w myśl którego prezydent nie może samodzielnie wypowiedzieć Traktatu Waszyngtońskiego. Potrzebuje do tego większości dwóch trzecich głosów w Senacie lub ustawy uchwalonej przez obydwie izby. A Partia Republikańska nie ma w Kongresie potrzebnej większości, zaś część jej polityków sprzeciwiłaby się rozwalaniu przez Trumpa NATO.

Nie ma też społecznego poparcia. Z przeprowadzonego w lutym sondażu Gallupa wynika, że za pozostaniem w Sojuszu jest trzy czwarte Amerykanów. Ten współczynnik nie zmienił się od 2019 r.

Skoro NATO nie da się rozwiązać, można je zmarginalizować. – Uczynić z niego taką Radę Europy. Bezzębny klub dyskusyjny – mówi unijny dyplomata.

I można wyjść z NATO, formalnie nie wychodząc – po prostu wycofując wojska z Europy. A bez rozlokowanych na wschodniej flance oddziałów, które miały wziąć na siebie pierwszy ciężar rosyjskiego uderzenia oraz poprzez sieć baz lotniczych koordynować przerzucanie sił z Ameryki, gwarancje bezpieczeństwa będą wyglądały zupełnie inaczej niż dotąd.

•

Słynny artykuł 5. Traktatu Waszyngtońskiego mówi wprawdzie, że atak na jednego z sojuszników stanowi atak na wszystkich. Ale zakłada też, że w odpowiedzi kraje NATO podejmą takie działania, jakie uznają za konieczne. Co będzie, jeśli po czerwcowym szczycie NATO Trump ogłosi światu, że zwija wojsko w Europie i nie przyśle go z powrotem, nawet jeśli rosyjskie i białoruskie dywizje dojdą do linii Wisły?

To wcale nie jest scenariusz teoretyczny. W zeszły piątek w Białym Domu, zanim J.D. Vance zaczął upokarzać Zełenskiego, padło pytanie o państwa bałtyckie, najbardziej narażone na rosyjski atak. Trump wcale nie potwierdził ich bezpieczeństwa. A w kampanii wyborczej mówił, ze wręcz będzie zachęcał Putina do atakowania tych krajów NATO, które nie będą płacić wystarczająco na obronę.

Macron już w 2019 r. zszokował Zachód radykalną diagnozą związaną z obronnością. Orzekł, że NATO jest w stanie śmierci mózgowej. Bardzo prawdopodobne, że to właśnie nas czeka.

Wysłanie kilku francuskich myśliwców i pocisków z głowicami jądrowymi do kilku krajów NATO może załatać dziurę, która

eprasa.pl 817e671fa2

powstanie, jeśli Amerykanie zwinął „Nuclear Sharing”. To program zakładający przechowywanie w kilku bazach w Zachodniej Europie bomb jądrowych typu B-61, po które w wypadku wojny może sięgnąć lotnictwo Holandii, Niemiec, Belgii czy Turcji.

Brzmi dobrze, ale jest problem: we francuskim arsenale strategicznym znajduje się około 50 sztuk pocisków ASMP-A. O połowę mniej niż liczba amerykańskich bomb jądrowych w Europie. A w nuklearnym odstraszaniu liczby mają znaczenie.

•

Historia się nie powtarza, tylko rymuje, i to w zaskakujący sposób. Ćwierć wieku temu w gabinetach w Berlinie i Paryżu również dyskutowano, jak zapewnić kontynentowi bezpieczeństwo bez Amerykanów. Tylko wtedy amerykańskich żołnierzy i bomb atomowych chcieli pozbyć się Niemcy i Francuzi, stanowiący wówczas motor Unii Europejskiej.

Unia przechodziła wówczas kolejną poważną transformację: narodowe waluty zastępowało euro, Konwent w Sprawie Przyszłości Europy spisywał europejską konstytucję. Stworzenie nowego systemu bezpieczeństwa w Europie wydawało się logiczną konsekwencją.

Tym bardziej że nad Europą jasno świeciło słońce. Gdy 11 września 2001 r. porwane przez terrorystów Al-Kaidy samoloty uderzyły wieże World Trade Center i Pentagon, a USA po raz pierwszy w historii NATO sięgnęły po artykuł 5., Stary Świat solidarnie udzielił amerykańskim sojusznikom wsparcia i wysłał kontyngenty do Afganistanu. To był realny trud i realne poświęcenie – zginęło ponad 900 żołnierzy, w tym 40 Polaków.

Gdy rządzona przez George’a W. Busha Ameryka wzięła na cel Irak, oskarżany na podstawie fałszywych dowodów o współpracę z Al-Kaidą i produkcję broni masowego rażenia, Europa podzieliła się na „starą” i „nową”. Nowa, w tym Polska, stanęła po stronie USA, wzięła udział w inwazji, a potem w okupacji kraju. Stara Europa, czyli Francja i Niemcy, bezskutecznie starała się do amerykańskiej inwazji nie dopuścić i współpracowała w tym celu z Rosją.

„Starzy” do „nowych” mieli pogardliwy stosunek. – Stracili okazję, by siedzieć cicho – tak w 2003 r. francuski prezydent Jacques Chirac karcił przywódców Polski, Czech i Węgier, gdy poparli USA.

To wtedy krystalizował się projekt ułożenia na dnie Bałtyku rurociągów łączących Rosję i Niemcy, którymi na Zachód z pominięciem Ukrainy i Polski płynąłby tani gaz. To wówczas Rosjanie zaczęli suflować koncepcje wspólnej strefy bezpieczeństwa od Lizbony po Władywostok, za którą odpowiedzialność wzięliby Europejczycy, więc Amerykanie nie byliby potrzebni. Jednocześnie odżywała idea stworzenia europejskiej armii niezależnej od NATO.

Patrzeliśmy w Warszawie na te procesy z bezsilnością. Przestróg, że Rosja miesza Francuzom i Niemcom w głowach, że ich korumpuje, a jednocześnie szykuje się do siłowej odbudowy imperium, nikt nie chciał brać na poważnie. Polska miała zbyt krótki staż w Unii, a obecność Amerykanów wielu zachodnich polityków kłuła w oczy. Uważali ją za relikt zimnej wojny.

Ale potem neokona z imperialnymi zakusami – choć opakowanymi w misję krzewienia demokracji i zachodnich wartości – George’a W. Busha zastąpił uwielbiany w Europie postępowy liberał Barack Obama i temat przestał być aktualny.

•

Koncepcję zbudowania europejskiej armii jako pierwszy, przemawiając latem 1950 r. przed Radą Europy, zgłosił Winston Churchill, sławny brytyjski premier z czasu dopiero co zakończonej wojny.

Kilka miesięcy później premier Francji René Pleven przekuł tę ideę w konkretny plan. Zachodni świat brał wówczas pierwszy poważny zakręt. W latach 1948-49 Sowieci blokowali zachodni Berlin, chcąc wymusić porzucenie miasta przez USA, Wielką Brytanię i Francję. W 1949 r. ZSRR przeprowadził pierwszą próbę atomową. Rok później za ich wiedzą i z ich wsparciem zaczęła się wojna w Korei.

Choć kolejny konflikt w Europie wydawał się coraz bardziej prawdopodobny, pełna uwaga Amerykanów przeniosła się na Daleki Wschód. A tzw. problem niemiecki pozostawał daleki od rozwiązania. Gdy Pleven wchodził na mównicę Zgromadzenia Narodowego, by przedstawić swój plan, istniały już dwa niemieckie państwa, oba bez prawa posiadania oficjalnych sił zbrojnych. Było jasne, że to tymczasowa sytuacja, lecz strach przed odrodzeniem niemieckiego militaryzmu był silny i na zachodzie, i na opanowanym przez Sowietów wschodzie Europy.

Pleven postanowił go okiełznać, rozpuszczając niemieckich żołnierzy w europejskiej armii, którą miał kierować europejski minister obrony. Niemcy bez swoich stahlhelmów i mundurów feldgrau nie byli już tacy straszni.

Europejskie Siły Obronne, w skład których mieli wchodzić żołnierze z Niemiec, krajów Beneluksu i Włoch – razem 30 dywizji, 300 tys. ludzi, a do tego 1,8 tys. samolotów – mieli stawić czoła sowieckiej inwazji, której na serio obawiano się w sytuacji, gdy Amerykanie byli związani wojną w Azji.

Plan Plevena zakładał, że bataliony i pułki zachowają narodowy charakter, a brygady, dywizje i korpusy będą mieszane. I że nie będą alternatywą dla NATO, tylko je uzupełnią. Mimo że – skąd to znamy – w latach 50. Amerykanie przeklinali wysokie koszty stacjonowania w Europie.

W tym czasie wśród euroatlantyckich instytucji gruntownie zmieniało się tylko NATO. Sojusz, który na początku wieku uważano za przestarzały, był w stanie szybko dostosować się do powrotu do zimnej wojny. Gdyby nie natowska wojskowa organizacja, udzielanie pomocy wojskowej i wywiadowczej dla Ukrainy nie przebiegałoby tak sprawnie. Dowodem na skuteczność NATO było rozszerzenie sojuszu o Finlandię i Szwecję.

NATO ma jednak jeden silny i zarazem słaby punkt: to Stany Zjednoczone.

•

W zamierzchłych spokojnych czasach, w 2019 r., niemiecka Fundacja Körbera zorganizowała grę strategiczną, na którą zaproszono dyplomatów i wojskowych z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Polski i USA.

Zadanie: zaplanować strategię swojego kraju w sytuacji, gdy Trump – scenariusz zakładał jego reelekcję w 2020 r. – wycofuje USA z NATO i z Europy, a Rosja wysyła „zielone ludziki”, by rozpoczęły rewoltę w Czarnogórze, po czym składa „ofertę nie do odrzucenia”: osłabione NATO ma wycofać z krajów bałtyckich siły, które po 2016 r. wysłały do ich obrony.

Ofercie towarzyszy argument siły: Rosja przeprowadza próbne odpalenia stacjonujących w obwodzie królewieckim pocisków Iskander, a na zachodzie kraju rozmieszcza pociski manewrujące nowego typu, które mają w zasięgu całą Europę. Putin – zakłada scenariusz gry – zamierza wykorzystać chaos, jaki zapanował po wyjściu Amerykanów, do odbudowania dawnej strefy wpływów.

Z przeprowadzonego w lutym sondażu Gallupa wynika, że za pozostaniem w NATO jest trzy czwarte Amerykanów

Niemcy na francuski pomysł zgodziły się od razu, jednak negocjacje trwały ponad dwa lata. Szefowie dyplomacji podpisali traktat tworzący Europejską Wspólnotę Obronne – i wtedy francuski parlament w 1954 r. ostatecznie odmówił ratyfikacji dokumentu. Sytuacja w Europie diametralnie się zmieniła, uprzedzenia wobec Niemiec osłabły, a wtopienie własnej armii w europejską strukturę Francuzi uznali za wyrzeczenie się suwerenności.

Projekt Wspólnoty Obronnej upadł, w jej miejsce powstała Unia Zachodnioeuropejska, sojusz wojskowy, ale już bez wspólnej armii. Lecz coś z idei Plevena przetrwało. W latach 90. kraje zachodniej Europy zaczęły tworzyć wspólne brygady. Najpierw Niemcy i Francuzi, potem dołączyli Holendrzy. Od 1999 r. polska, niemiecka i duńska dywizja piechoty zmechanizowanej tworzą – pod egidą NATO – wspólny korpus z kwaterą główną w Szczecinie. Unia Europejska powołała nawet swoje grupy bojowe, z których jak na razie nigdy nie skorzystała.

•

O tym, że Europa musi przebudzić się ze snu o „końcu historii”, eksperci zaczęli mówić już w 2007 r., gdy na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium Władimir Putin zaczął wymachiwać szabelką. Ale wizja zwrotu w rosyjskiej polityce zagranicznej okazała się zbyt straszna, by zachodni politycy wzięli ją na poważnie. Potem przyszła wojna w Gruzji, rozprawa z opozycją w Rosji, w końcu aneksja Krymu i oderwanie od Ukrainy części Donbasu. A także rozkręcenie wojny hybrydowej przeciwko Zachodowi, włącznie z ingerencją w amerykańskie wybory prezydenckie 2016 roku i w Brexit.

Czytam krótki raport sporządzony po tej symulacji. Europa już na starcie jest pęknięta. Brytyjscy brexiterzy jeszcze są w euforii po rozwodzie z Unią, Francuzi cieszą się pozbyciem brytyjskiego balastu i chcą urządzać Europę na nowo, Niemcy są jak zwykle niepewni, w Polsce rządzi PiS, więc bez oparcia w USA, na których polska prawica opiera bezpieczeństwo i rację stanu, panuje przerażenie.

A zza oceanu płyną sygnały, że mały konflikt z Rosją w zasadzie Amerykanów nie dotyczy. I że najchętniej zawarliby z państwami Europy dwustronne porozumienia o bezpieczeństwie. Oczywiście nie za darmo. I nikogo to nie dziwi. Zadanie – równie istotne, co rosyjskie groźby – polegało na tym, by kraje Unii nie dały się w tą pułapkę wpuścić.

Czytam ten dokument i myślę sobie, że już przed rosyjską inwazją na Ukrainę w Europie panowała jasność, czego można się po Trumpie spodziewać. A mimo to, nikt się na jego powrót nie przygotował.

•

Czy Plan Plevena można wyciągnąć z szuflady? Wiele zapisów umowy o Europejskiej Wspólnocie Obronnej w jakiejś formie znalazło się w późniejszych traktatach europejskich. Powstały i okrzepły między innymi postulowane w latach 50. wspólne instytucje.

Wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony nabiera kształtu, a w ostatnich latach rozpędza się. Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła plan gigantycznych inwestycji w obronność, które mają rozkręcić przemysł zbrojeniowy na kontynencie.

Zresztą obecna Unia jest w jakimś sensie wojskowym sojuszem. Art. 42 traktatu europejskiego przewiduje, że „w przypadku, gdy jakiekolwiek państwo członkowskie stanie się ofiarą zbrojnej agresji na jego terytorium, pozostałe państwa członkowskie mają w stosunku do niego obowiązek udzielenia pomocy i wsparcia przy zastosowaniu wszelkich dostępnych im środków”. Nie jest to tak mocne sformułowanie, jak zapisy Traktatu Waszyngtońskiego – w nim atak na jednego jest traktowany jak atak na wszystkich – ale jest.

Ale UE, choć ma swój Komitet Wojskowy, a nawet liczący ponad 200 osób wojskowy sztab oraz reprezentację w Kwaterze Głównej NATO, nie jest organizacją, która nadaje się do prowadzenia wojny. Kilka tysięcy żołnierzy, którzy w ramach unijnych misji służą w Azji czy Afryce, zajmuje się głównie stabilizacją, ochroną granic, pomocą rozwojową.

Organizacja, zbrojenia czy logistyka są do względnie szybkiego nadrobienia. Lecz główny problem Unii to mechanizm podejmowanie decyzji: w kwestiach polityki zagranicznej czy obronnej Rada musi być jednomyślna. Proputinowskie Węgry wykorzystują to od miesięcy, by blokować wsparcie dla Ukrainy.

Dlatego potrzeba nowego sojuszu, który funkcjonowałby równolegle wobec UE. Tak jak planowana 70 lat temu Europejska Wspólnota Obronna miała działać w ramach NATO, lecz gdyby sojusz doznał „śmierci mózgu”, poradziła by sobie samodzielne.

Te kraje członkowie, które nie byłyby zainteresowane uczestnictwem w tym bloku –jak Węgry czy również idąca proputinowskim kursem Słowacja – zostałyby za drzwiami. Za to do środka zaproszono by poważne siły: Wielką Brytanię, Norwegię, Kanadę, może Turcję.

•

Brzmi tyleż dobrze, co nierealnie? Właśnie w takiej formule obradowano w zeszłym tygodniu w Londynie. Nowy blok mógłby liczyć na francuski i brytyjski parasol atomowy. Macron właśnie zapowiedział, że jest gotowy udzielić gwarancji bezpieczeństwa europejskim sojusznikom. Rakiety międzykontynentalne, przenoszone przez cztery francuskie okręty podwodne, to jeszcze mocniejszy argument niż odpalane z samolotów pociski manewrujące.

Francja ma do dyspozycji 290 głowic. Wielka Brytania planuje szybko zwiększyć arsenał z 225 do 260. Do tego dołączmy siły konwencjonalne tych krajów oraz Szwecji, Finlandii, Polski, Niemiec, Hiszpanii i Włoch. Z kalkulacji wynika, że – oczywiście na papierze – armia europejska liczy w sumie 1,5 mln żołnierzy. Do tego dochodzi 200 tys. Turków i 68 tys. Kanadyjczyków.

Ale wojsko trzeba jeszcze rozlokować na wschodniej flance NATO, rozbudować system logistyczny, który będzie działał w czasie wojny, zintegrować dowodzenie. Pilnie brakuje nowoczesnych czołgów i bojowych wozów piechoty, transporterów, nowoczesnej obrony przeciwlotniczej, która chroniłaby obiekty strategiczne w całej wspólnocie.

Chmary dronów, które sieją spustoszenie na ukraińskim froncie dopiero powstają. Europejski przemysł zbrojeniowy wciąż się rozpędza, a przykład Ukrainy pokazuje, że uzależnienie od amerykańskiego sprzętu może mieć koszmarne konsekwencje. Bez danych amerykańskiego wywiadu przekazane Ukraińcom wyrzutnie pocisków ziemia-ziemia HIMARS stały się na froncie bezużyteczne.

Z opcją, że Amerykanie po prostu wyłączą kupiony u nich sprzęt, trzeba też się liczyć. A najlepiej wprowadzić własne, niezawodne zamienniki.

Po konferencji w Londynie premier Donald Tusk zapowiedział, że Europa się przebudziła. Tylko czy zdąży – i będzie w stanie – od razu, bez porannych rytuałów ciepłej kąpieli, croissanta, Brötchen, jajecznicy i kawy, wskoczyć w mundur? ●

eprasa.pl 817e671fa2

MUSK WIE, KIEDY SIĘ ZAMKNĄĆ

Trump wpada na pomysły. Szczegółami zajmują się inni.

Z **ALEKIEM ROSSEM***, BYŁYM DORADCĄ DEPARTAMENTU STANU, ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Czytałem w grudniu twoją książkę o „Wzburzonych latach 2020". Mam wrażenie, że od tego czasu minęło kilka lat, a nie kilka tygodni. Nie jestem pewien, czy wszystkie podstawowe pojęcia, którymi operujesz: państwo, władza, administracja – po niespełna dwóch miesiącach rządów Trumpa jeszcze obowiązują.

– Na to pytanie nie da się odpowiedzieć bez ustalenia, gdzie teraz znajdujemy się jako cywilizacja. Nie tylko na początku 2025 roku, ale patrząc na ostatnie kilka lat.

Przechodzimy teraz przez kolejną tzw. pauzę Engelsa. Czyli moment rewolucji technologicznej, podczas której rośnie bogactwo jej liderów, rosną wyniki makroekonomiczne i PKB, ale dobrobyt pracowników stoi w miejscu, zwykli ludzie wręcz czują, że żyje im się gorzej.

Tak, jak na przełomie XVIII i XIX wieku, kiedy nastąpiło przyspieszenie industrializacji w gospodarkach, wcześniej opartych głównie na rolnictwie?

– Mniej więcej. Przy czym skoncentrujmy się na wszystkich skutkach, nie tylko ekonomicznych. Gospodarki, zwłaszcza ta brytyjska, bardzo szybko urosły pod względem PKB i produktywności. Jednocześnie realne wynagrodzenia klasy pracującej albo stały w miejscu, albo spadały. Rezultatem były nie tylko materialne nierówności, ale też powstanie całej masy nowych ruchów intelektualnych – na przykład komunizmu.

Pamiętaj, że „Manifest Komunistyczny" opublikowano w 1848 r. To okres największych rewolucji intelektualnych w historii Europy. Kończy się tym, że praktycznie wszędzie umowa społeczna pomiędzy państwem i obywatelem zostaje napisana od nowa. W Wielkiej Brytanii, w Niemczech Bismarcka, dosłownie wszędzie powstaje system gwarantujący w jakimś stopniu równowagę między państwem, kapitałem i pracą.

Ta równowaga wciąż istnieje?

– Do tego zmierzam. Zmiany, przez które przechodzimy, zwłaszcza te technologiczne, powodują, że zmienia się natura całej naszej gospodarki. Przechodzimy z systemu zdominowanego przez produkcję przemysłową na system oparty na bogactwie technologicznym i wiedzy. Jednocześnie mamy umowę społeczną, której podstawy w wielu aspektach wywodzą się z architektury politycznej sprzed 200 lat. Spójrz na najbardziej fundamentalne elementy naszego życia. Na przykład weekend – coś takiego zaczęło się mniej więcej w latach 20. XIX wieku. Tak samo emerytury, zakaz pracy dzieci, powszechna edukacja.

Wszystko to skutki nowej umowy społecznej z XIX wieku, która była dopasowana do czasów industrializacji. Cały czas poruszamy się w obszarze tych samych pojęć, a przecież rzeczywistość zmieniła się diametralnie. Jesteśmy w fazie przejściowej, w której sporo elementów naszych relacji między państwem, kapitałem i pracą nie działa. Zastanawia mnie to, że próbowano wszystko naprawić, po prostu modyfikując niektóre aspekty starej rzeczywistości na potrzeby świata z XXI wiek.

To się dzieje tylko w obrębie relacji obywatel-państwo? Wewnątrz krajów? Ja mam wrażenie, że sypie się cały globalny system.

– Bo to wszystko naczynia połączone. W ujęciu międzynarodowym przechodzimy ze świata w porządku G20 do świata pod szyldem G0. Następuje systematyczne i strategiczne – czyli celowe – wycofywanie się z instytucji multilateralnych. Nasz system międzynarodowy trzęsie się w posadach, bo podważane są jego fundamenty – nie tylko instytucjonalne, ale też teoretyczne, etyczne.

Spójrz, Donald Trump za pomocą dekretu nakazał zawieszenie wszystkich śledztw i działań służb dotyczących łamania Foreign Corrupt Practices Act, czyli ustawy zakazującej amerykańskim firmom świadczenia korzyści majątkowych wobec przedstawicieli innych rządów. Innymi słowy, zezwolił naszemu biznesowi na wręczanie łapówek urzędnikom i politykom za granicą, żeby dostać kontrakt.

Ta ustawa istnieje od 1977 r. Dlaczego? Dlatego, że tam, gdzie pojawia się korupcja, zawsze osłabia system gospodarczy – w danym kraju, a przez to na całym świecie. FCAP wprowadzono, bo uznano, że gdy amerykańska firma kogoś korumpuje, to zyskuje coś krótkoterminowo, ale na dłuższą metę nikt nigdy na tym nie korzysta.

Korupcję uznawano za coś złego, bo sankcjonowała niewłaściwe praktyki. Jeśli biznesmen przyzwyczaił się za granicą, że dostaje zlecenia za łapówki, przeniesie taką mentalność do kraju. Jeśli rządy będą działać w ten sposób, ciężko będzie uznać je za wiarygodnych partnerów.

Stworzyliśmy więc system globalnej wymiany handlowej, który miał być oparty na powszechnych, przejrzystych zasadach – i działał w miarę poprawnie. Teraz otwarta korupcja nagle nikomu nie przeszkadza.

Połączmy te dwie rzeczy w całość. Przy osłabieniu systemu multilateralnego powstaje luka, którą w dużej mierze wypełnia wielki biznes. Z jednej strony to nie jest pierwszy taki przypadek w historii, bo mieliśmy już potężne globalne firmy, jak brytyjska Kompania Wschodnioindyjska czy Kompania Zatoki Hudsona. Z drugiej – obecna sytuacja jest całkowicie odmienna od czasów kolonializmu, bo eroduje moc państwa.

Ogon już macha psem? Firmy mogą więcej niż państwa?

– Tak, choć nie wszędzie. Zostańmy przy tej historycznej analogii. Te wielkie kompanie były kołem zamachowym sektora prywatnego, miały własne armie, administrację, kontrolowały znaczącą część światowego PKB. Ale mimo to były wciąż zależne od państwa. Działały pod parasolem prawnym Korony Brytyjskiej, a przede wszystkim ich strategia była spójna ze strategią władcy. Dzisiaj z jednej strony mamy firmy techno-

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

• **Elon Musk z czteroletnim synem X Æ A-12 z wizytą u prezydenta Trumpa (11.02.2025). Dziwaczne, pełne symboli imię chłopca wymawia się”X Ash A Twelwe” i np. Æ to elficka pisownia AI, oznacza miłość albo sztuczną inteligencję. Musk jest pronatalistą - ma już 14-cioro dzieci z czterema partnerkami.**

FOT. REUTERS/KEVIN LAMARQUE

W poprzedniej książce opisałem spotkanie, w którym uczestniczyłem w Moskwie. Obok mnie siedział Dmitrij Pieskow, dzisiaj rzecznik prezydenta, Putin był w sąsiednim pokoju. To było jeszcze przed ich pierwszym atakiem na Ukrainę w 2014 roku. Rozmawialiśmy o nowych technologiach i stało się dla mnie jasne, że udało się im tę część gospodarki przenieść pod kontrolę państwa. Firmy technologiczne po prostu realizowały strategię władz.

Czyli mamy do czynienia z erozją siły państwa – ale głównie w zachodnich demokracjach.

To pogadajmy o tym, jak ona przebiega w Stanach Zjednoczonych.
– Nierównomiernie. Przestrzegam przed traktowaniem amerykańskiego sektora technologicznego jako monolitu. Znam osobiście większość liderów tej branży od wielu lat – i wiem, że bardzo się różnią.

Owszem, masz Elona Muska, który zachowuje się teraz jak przywódca jakiegoś ekspansywnego XIX-wiecznego państwa, ignorując porządki prawne, granice suwerennych państw czy to, co danego dnia zechce zignorować zaraz po wstaniu z łóżka. Mark Zuckerberg też coraz częściej przyjmuje taką pozę. Ale to nie jest powszechne wśród technologicznych prezesów i milionerów. To bardzo zróżnicowana grupa.

Umiesz narysować jej mapę?
– Łatwo i wygodnie jest założyć, że kierują się tymi samymi zasadami. Zwłaszcza wtedy, kiedy rzeczywistość wrzuca ich do jednego worka, czasem dosłownie. Jak na inauguracji Trumpa – wszyscy usiedli obok siebie, zmieścili się w kadrze, wyszło z tego dość wymowne zdjęcie. Jednak zakładanie, że wszyscy idą po to samo, w tym samym kierunku, to intelektualne lenistwo. Każdy z nich ma inny modus operandi, stosunek do zarządzania firmą, do relacji z rządem. I przede wszystkim różne cele.

Musk, którego znam od lat, to człowiek wybitnego intelektu, mający bardzo wyraziste poglądy na temat przyszłości świata i ludzi. One są dla niego najważniejsze i tym się wyróżnia na tle innych.

Zuckerberg to oportunista, który maksymalizuje zyski swojej firmy, nic więcej pod jego działaniami się nie kryje. Tak samo Jeff Bezos jest po prostu biznesmenem.

Sergey Brin, współzałożyciel Google’a, to z kolei fanatyk sztucznej inteligencji, który chce wygrać wyścig o stworzenie AGI – generalnej sztucznej inteligencji, równej bądź nadrzędnej wobec człowieka.

Ale te różnice, jeśli idzie o horyzonty, chyba nie umniejszają ich ambicji ani nie zmieniają faktu, że zachowują się jak wobec całych państw jak równorzędni uczestnicy stosunków międzynarodowych. Wysoki polski urzędnik państwowy powiedział mi niedawno, że nasze władze bardzo boją się telefonu od Muska – bo nie wiedzą, w jakiej roli będzie dzwonić. Jako przedstawiciel rządu USA? Prezes Tesli? Lobbysta we własnej sprawie? Mesjasz przenoszący ludzkość na Marsa? Wszystko naraz?
– Pamiętaj, że istnieje tylko jeden Elon Musk – i on akurat jest motywowany czymś więcej niż tylko pieniędzmi, a to rzadkość w tej grupie. Jeśli dzwoni do ciebie Zuckerberg, masz pewność, że rozmawiasz z prezesem Mety. Bezos? Główny udziałowiec Amazona, nic więcej. Bill Gates? Filantrop, który chce z tobą prawdopodobnie rozmawiać o szczepionkach. Mógłbym wymieniać ich wszystkich, jednego po drugim, i ich motywacje – ale schemat jest dość oczywisty. Wśród wszystkich technologicznych liderów z grubym portfelem jest tylko trzech, którzy mają głębsze przemyślenia i dążą do czegoś poza realizacją strategii biznesowej.

Musk?
– To już widać bardzo wyraźnie: jego celem jest transhumanizm, przeniesienie rodzaju ludzkiego na wyższy poziom, stworzenie z nas gatunku międzyplanetarnego. Elon nigdy się z tym specjalnie nie krył, ale też nie mówił o tym publicznie tak często jak teraz. Zresztą ten cel potwierdzają jego najważniejsze dzieła. SpaceX jest firmą budowaną całkowicie w służbie tej ideologii. Transhumanizm to dla Elona główne paliwo do działania.

Drugi to Peter Thiel, twórca PayPala. On dzisiaj jest bardziej w cieniu, ale niesłusznie. Thiel jest intelektualnym motorem bardzo wielu inicjatyw, które wyszły z Doliny Krzemowej. Młodsi szefowie firm technologicznych wspinają się po rusztowaniu intelektualnym, które zbudował właśnie Thiel. To on pierwszy zaczął mówić, że zakładając startup, należy dążyć za wszelką cenę do osiągnięcia monopolu. To on od lat twierdzi, że demokracja i wolność nie są już ze sobą kompatybilne. To on lansuje koncepcję „CEO State”, w której krajem rządzi prezes wybierany przez radę nadzorczą, a nie polityk z legitymizacją demokratyczną. Jest mocno krytyczny wobec tradycyjnej edukacji, uniwersytetów. Postuluje całkowitą reorganizację naszego porządku społecznego.

I on też, jak Musk, ma kilka ról. Jeśli on zadzwoni, to jako kto? Inwestor? Przedstawiciel jednej z kilku firm, które kontroluje? Czy jako intelektualista z Zachodniego Wybrzeża?

A trzeci?
– Trzecim jest Reid Hoffman, twórca LinkedIn i członek zarządu Microsoftu. Jeśli on do ciebie zadzwoni, też nie będziesz miał pewności, z kim tak naprawdę rozmawiasz.

Hoffman nie jest totalnym wolnościowcem, od lat wpłaca ogromne sumy na Partię Demokratyczną, ale za to jest zwolennikiem specyficznej odmiany techno-utopii, bardzo wierzy w zbawienny wpływ sztucznej inteligencji. A więc rozmawiając z nim, możesz mieć do czynienia z przedstawicielem Microsoftu, sympatykiem Demokratów albo lobbystą konkretnej firmy zajmującej się implementacją nowych technologii. Albo, znów, wszystkim naraz.

Wiem, że to bardzo długa odpowiedź na dość krótkie pytanie, ale im więcej wiesz na temat tych ludzi, tym mniej będziesz ich agregować w jedną całość.

Zuckerbergowi chodzi w życiu tylko o jedno – o jak najwyższą cenę akcji jego firmy. Bezos nie zadzwoni w ogóle, a jeśli już, to będzie chciał omówić coś w związku z Amazonem.

Można jeszcze dorzucić do tej wyliczanki Erica Schmidta, byłego prezesa Google’a. On jest teraz człowiekiem bez instytucji, ale ma swój fundusz rodzinny i gigantyczne własne zasoby finansowe. Można go porównać do Thiela – bo jeśli on zadzwoni, to nie zacznie rozmowy od biznesu, tylko od polityki. Schmidt jest zachodnim liberałem starego typu, trochę wyrwanym z czasów Obamy. Ma swoją strategię biznesową, ale zakorzenioną w konkretnej ideologii – tak jak u Thiela, tylko nie tak ekscentrycznej i radykalnej.

Więc widzisz – to bardzo złożona grupa.

A jaka w tym całym przesileniu jest rola Trumpa? On jest ewangelistą nowego porządku, katalizatorem zmian czy kimś kompletnie wtórnym, bo mimo możliwości chwilowego zakłócania porządku na poziomie wielkich procesów coraz mniej zależy od prezydenta USA?
– Nie lekceważ Trumpa. Od niego bardzo wiele zależy – i to w kilku aspektach jednocześnie. Po pierwsze, on początkowo był negatywnie nastawiony do sektora technologicznego. Nienawidził Doliny Krzemowej i zwalczał kryptowaluty. Jeśli porównać jego retorykę z poprzedniej kadencji z tym, co mówi teraz, widać, że musiał jeszcze przed wyborami zawrzeć jakąś umowę z ludźmi od kryptowalut.

W tym kontekście warto wspomnieć o jeszcze jednej osobie, o której nie mówi się tyle, co o Musku czy Bezosie, czyli o Marku Andreessenie.

Niesamowicie wpływowy inwestor, który stworzył „Manifest techno-optymistów”. Czytałem go wiele razy, brzmi jak neoliberalna utopia gospodarcza, Milton Friedman na sterydach. Technologia to samo dobro, a państwo – samo zło.
– Andreessen to ten typ faceta, który pewnie nigdy w życiu nie zagłosował w żadnych wyborach prezydenckich, bo nie było mu to do niczego potrzebne. A tym razem poparł Trumpa. Który to poparcie bardzo chętnie przyjął, prawdopodobnie za coś w rodzaju zgody na spuszczenie technologicznych psów z publicznej smyczy.

I zdołał to wpasować w pakiet ideowy MAGA, Make America Great Again: poluzowanie regulacji, wycofanie się państwa – niech rośnie krypto, a przy okazji zyska amerykańska gospodarka.

Czyli wiemy, co Trumpa łączy z sektorem technologicznym. A jak go postrzega?
– Ideologią, którą wyznaje Donald Trump, jest on sam. Trump jest dla siebie samego postacią religijną. Kieruje się instynktami – na przykład w kwestii rasizmu, gospodarki czy stosunków międzynarodowych. Jeśli chcesz wiedzieć, na czym naprawdę mu zależy, popatrz na jego instynktowne reakcje.

Natomiast we wszystkich innych sprawach on po prostu jest transakcyjny, zawiera umowy. I tak było z Big Techem, zawarł z nimi umowę – traktując ich jak grupę interesu, grupę przedsiębiorców, z którymi robi deal, w oderwaniu od gospodarki jako całości. Rzecz jasna, dając w ten sposób ogromną władzę grupie i tak już potężnych jednostek, dążących do bardzo konkretnych celów. Spójrz – niby wszyscy wiemy, ale nigdy dość powtarzać – na to, co Musk robi z kolejnymi instytucjami rządu federalnego, nawet z nietykalnym dotychczas Departamentem Sprawiedliwości.

Regulacje technologiczne? Za prawodawstwo odnośnie sztucznej inteligencji czy kryptowalut odpowiada David Sacks. Czyli kolejny miliarder w Białym Domu. To układ, w którym konkretni ludzie realizują bardzo konkretne interesy.

Ale to Trump decyduje o tym, czy je zrealizują. On naprawdę ma władzę. Jeśli oni wszyscy nie poparliby Trumpa, a on nie dałby im wszystkim tych stanowisk, dostępu do informacji, władzy wykonawczej, byliby po prostu zgrają bardzo bogatych faceci logiczne z USA, które są już całkowicie niezależne, często idą w poprzek interesów państwa. A z drugiej – są na świecie miejsca, w których świętość państwa narodowego jest wciąż nienaruszalna.

Na przykład?
– Chiny. Kilka lat temu Xi Jinping uderzył pięścią w stół i ograniczył swobodę działania gigantów chińskiego sektora prywatnego. Jack Ma, założyciel Alibaby, do której należy m.in. słynny Aliexpress, rywal eBaya i Amazona, usłyszał, że nie jest Elonem Muskiem czy Jeffem Bezosem i nie ma prawa wozić się po świecie jak przywódca osobnego państwa. Xi w ten sposób zaatakował własną gospodarkę, to kosztowało kilka punktów procentowych PKB, ale jego to nie obchodzi – bo żadna chińska spółka nie zdążyła wyrosnąć na większą od partii. W ten sposób ocalił aparat państwowy.

Swój sektor prywatny, zwłaszcza technologiczny ujarzmiła też Rosja. Aparat państwowy wcale nie stał się słabszy, jak w krajach Zachodu, z powodu rozwoju technologicznego. Wręcz przeciwnie, Kreml umocnił kontrolę nad tym obszarem.

W dniu, w którym Trump powie: „a nie, tego nie podpiszę, to jest nieamerykańskie”, cała moc sprawcza Elona zniknie w mgnieniu oka

eprasa.pl 817e671fa2

tów występujących w podcastach. Włącznie z Elonem. On czy Sachs spacerują sobie po korytarzach Białego Domu i rzeczy, które kiedyś wygadywaliby na YouTube, są oficjalnym stanowiskiem rządu USA, a nawet stają się prawem. Nie dlatego, że owinęli sobie Trumpa wokół palca, tylko dlatego, że Trump wyczuł w tym korzyść.

Pytanie, na jak długo.
– W tej chwili najciekawsze. Pamiętaj, że Elon nigdy dla nikogo nie pracował. Zawsze był swoim własnym szefem. Nie wiem, jak długo jest w stanie znosić kogoś, kto jest nad nim. Jak na razie całkiem nieźle temperuje swoje instynkty, przyjął pozę człowieka powściągliwego. Ale minęło tylko półtora miesiąca od początku tej administracji. Za jakiś czas może się okazać, że czegoś nie zrobili, nie dają rady, z czymś się ociągają, a na coś nie zwrócili uwagi. I pytanie, co wtedy. Czy ten bromans, jak szydzą różni komicy, skończy się trzaskaniem drzwiami i wielką awanturą na X, czy przeciwnie – Trump oznajmi, że to dlatego, że Elon miał za mało władzy. I wszystko zostanie przekazane pod zarząd Muska.

Jesteś w stanie sobie wyobrazić scenariusz, w którym to delegowanie nań zadań zajdzie tak daleko, że od Trumpa już nic nie będzie zależało? I Musk, jak na okładce „Time'a", stanie się królem Ameryki?
– Do pewnego stopnia już nim jest – tyle że za pozwoleniem samego Trumpa. Oni w wielu aspektach są całkowitymi przeciwieństwami. Trump nie jest inżynierem. Nie jest myślicielem. Nie jestem pewien, czy w ogóle zna jakiekolwiek słowo dłuższe niż trzy sylaby. On tylko wpada na pomysły – a potem wszyscy inni muszą się zastanawiać, jak je zrealizować na poziomie szczegółu. Dlatego za pierwszej kadencji osiągnął bardzo niewiele – bo pracowali dla niego idioci, którzy nie rozumieli, jak działa rząd federalny. Projekty pozostawały projektami, nie wchodziły w życie. To dobrze widać na przykładzie deportacji.

Trump może sobie mówić, że wywali Meksykanów, ale istnieją bardzo konkretne procedury, przez które trzeba przejść, żeby tych Meksykanów w USA już nie było. On tych procedur nie rozumie. Zapowiedział, że deportuje 12 mln imigrantów – to gigantyczna operacja logistyczna, wymagająca zaangażowania ogromnych zasobów państwowych, które akurat teraz ogranicza.

A jeśli popatrzeć na twarde dane o deportacjach, na początku kadencji Trumpa były takie same, jak za czasów Bidena. Teraz są nieco wyższe, ale po prostu doszły do poziomu z pierwszej kadencji Obamy. W praktyce niewiele się zmienia, ale jest ogromny szum medialny, wzmacniany przez echo na X i w ten sposób wszyscy mamy wrażenie, że administracja błyskawicznie i stanowczo realizuje swoje obietnice.

Natomiast Elon to prawdopodobnie najlepszy inżynieryjny umysł na planecie. Gdybym był teraz w Polsce, i zechciał przewiercić dziurę na drugi koniec świata, powiedzmy do Indonezji, to zadzwoniłbym do Muska po radę. To jest skala wyzwań, którą on uznaje za odpowiednią dla siebie.

Czyli mamy tandem: człowieka z ogromną władzą polityczną i człowieka, który całe swoje życie zbudował na robieniu rzeczy uznawanych przez wszystkich za niemożliwe. To potężna kombinacja – choć i ona ma swoje ograniczenia.

Jakie? Coś poza niekompatybilnymi charakterami?
– Poglądy. Na przykład na imigrację. Tu istnieje pole do konfliktu. Jeśli Elon zachowa się inteligentnie, nie będzie próbował przesuwać granic Trumpa, nawet jeśli on sam zawsze był gorącym zwolennikiem imigracji. Jak na razie Musk wie, kiedy się zamknąć i pozwolić Trumpowi wydzierać się o szkodliwości imigrantów. Ale gdyby, na przykład, prezydent zaczął majstrować przy regulacjach dotyczących wizy H-1B, przeznaczonej dla najlepiej wykwalifikowanych

Fakt, że jesteście w drugiej kategorii mniej zaufanych odbiorców chipów, ma związek z percepcją waszej demokracji w Waszyngtonie

ekspertów w konkretnych dziedzinach, to byłby test dla Elona: siedzieć cicho czy rzucić się pod pociąg, sprzeciwiając się jednej z głównych zasad światopoglądu Trumpa. Jego zachowanie w tej sytuacji wiele by nam powiedziało o ich prawdziwej relacji.

Trump może stracić władzę tylko wtedy, kiedy przestanie być świadom tego, co się dzieje w kraju. Dosłownie świadom, wskutek procesów starzenia się. Póki normalnie funkcjonuje, to on jest prezydentem. Elon nie może podpisać dekretu prezydenckiego. Może go napisać, Trump się pod nim podpisze, ale w dniu, w którym powie: „a nie, tego nie podpiszę, to jest nieamerykańskie", cała moc sprawcza Elona zniknie w mgnieniu oka.

Uważam zresztą, że trochę za bardzo się na nim koncentrujemy, bo to nieprawda, że jemu się wszystko udaje. Kiedy Trump ogłaszał 500 mld dolarów inwestycji w ramach projektu Stargate, czyli utrzymania amerykańskiej dominacji w AI, w Gabinecie Owalnym był Sam Altman, szef OpenAI i współtwórca ChataGPT, a nie Elon. I strasznie mu się to nie spodobało. On nie jest wszechmogący.

To wyjdźmy poza kontekst tej administracji. Zgadzamy się, że technologia zmienia relacje pomiędzy państwem, pracą i kapitałem. Czeka nas era jeszcze większych nierówności, napędzanych przez nierównomierny dostęp do sztucznej inteligencji?
– Jestem ekspertem, nie komentatorem. Zajmuję się tymi rzeczami zawodowo, więc mogę odpowiedzieć tylko szczerze: nie wiem. Obecnie istnieje bardzo dużo argumentów i za tą tezą, i przeciwko niej.

Na pewno już widać, że kraje z ograniczonym dostępem do bardzo zaawansowanej agentowej sztucznej inteligencji, czyli oprogramowania zdolnego do podejmowania autonomicznych decyzji, będą gospodarczo na straconej pozycji. Moim zdaniem to właśnie agentowa AI będzie największym katalizatorem zmian, bo znacznie zwiększy produktywność. Czasochłonne zadania, które często nie mają wiele wspólnego z pracą, a odciągają naszą uwagę, zostaną zautomatyzowane. Praca przy użyciu takiej AI będzie jeszcze bardziej skoncentrowana na produkcie, a nie na okołoprodukcyjnych czynnościach dodatkowych. Na razie widać to głównie w technologii, ale przy szerszej adopcji w gospodarce ten efekt się rozleje dalej.

A jednocześnie jestem sceptyczny, jeśli idzie o zdolność pojedynczych państw czy nawet bloków państw do rozwijania własnej technologii tego typu. Zobacz, co się stało w Unii Europejskiej. AI Act, unijne regulacje dla sztucznej inteligencji, to gigantyczny samobój. Ma mnóstwo bzdurnych ograniczeń, na przykład w parametrach danych. Chodzi o to, co możesz analizować, w jakim tempie, przy użyciu jakich programów, nie naruszając przy tym prywatności obywateli. Krótko mówiąc, ile masz danych do pracy i co możesz w ogóle z nimi zrobić. Znam osobiście włoskich badaczy zajmujących się rakiem, którzy z powodu AI Act muszą przejeżdżać przez granicę ze Szwajcarią, żeby prowadzić badania – bo we Włoszech nie mogą, Unia zabrania.

Drugi czynnik nierówności jest polityczny. To ograniczenia eksportowe – gdy USA czy Chiny zdecydują, że nie dadzą ci dostępu do ich technologii.

A trzeci – to brak kapitału, zasobów na miejscu. Jeśli nie masz odpowiednich narzędzi, żeby zintegrować nowe technologie z twoją gospodarką, to nie pójdziesz do przodu. Chodzi o całą gamę instrumentów i wyzwań: rodzimy kapitał, publiczny i prywatny, żeby inwestować w nowe technologie; zdolność przeszkolenia pracowników z użycia sztucznej inteligencji w codziennej pracy; ekosystem, w którym można te technologie swobodnie testować; brak barier prawnych, które blokowałyby takie testy.

Bez przerzucenia wajchy w całości w kierunku tych zmian jest się skazanym na porażkę. To już widać – kraje, nawet zrzeszone w blokach, ale pozbawione kapitału i wsparcia technologicznego z zewnątrz, przegrywają ten wyścig dość wyraźnie. Martwiłbym się na przykład o taką Brazylię, która wzrost gospodarczy zawdzięcza głównie surowcom i niskim kosztom pracy. Kraje BRICS* mają, poza Rosją i Chinami, podobne problemy. To się w jakimś stopniu tyczy prawie wszystkich państw Globalnego Południa.

Tyle, jeśli chodzi o rzeczy łatwe do przewidzenia. Natomiast nie wiem, co stanie się na poziomie pojedynczych spółek. Nie widzę na przykład przeszkód, żeby jakiś startup z Gdańska, korzystając z technologii stworzonych gdzieś indziej na świecie, zbudował produkt oparty o agentową sztuczną inteligencję, który rozwiązałby największe problemy żeglugi morskiej.

Nie wydaje mi się, żeby Polska miała stracić dostęp do tych podstawowych rozwiązań technologicznych, a resztę można dorobić samemu. Jestem sceptykiem, jeśli chodzi o potencjał waszego kraju w kontekście rywalizacji narodowej, ale jacyś bystrzy innowatorzy z Gdańska mogą sobie spokojnie poradzić, osiągnąć globalny sukces. Oni mogliby dać przykład, wytworzyć kapitał, napędzić taki rozwój.

W dużym skrócie – najbardziej stracą państwa, których rozwój gospodarczy oparty był o tanią siłę roboczą. Co do reszty – po prostu nie wiem.

Te ograniczenia eksportowe w zakresie technologii to bardzo kontrowersyjna historia. Kiedy administracja Bidena opublikowała ich mapę, Polska znalazła się wśród odbiorców drugiej kategorii. Wybuchła awantura, bo komentatorzy z LinkedIn zaczęli krzyczeć, że jesteśmy wiernym sojusznikiem, a traktują nas jak pariasów. Wytłumaczysz mi, o co tu chodziło?
– To wszystko robota Jake'a Sullivana, głównego doradcy Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego, i jego zespołu. Przygotowując mapę ograniczeń eksportowych, kierowali się kryterium czysto politycznym. W drugiej kategorii państw, czyli tam, gdzie trafiła Polska, znalazły się państwa, które Amerykanie traktowali jako chybotliwe demokracje. To nie ma nic wspólnego z waszym obecnym rządem czy prezydentem, ale stabilnością całego systemu. Jak bardzo mamy się martwić przy okazji waszych kolejnych wyborów? Co się stanie, kiedy zmieni się władza? USA zawsze miały bardzo konkretne stanowisko na temat wyborów w tej części świata. Interesował je konkretny kandydat, konkretny wynik wyborów, najkorzystniejszy z punktu widzenia amerykańskich interesów – a jednocześnie nie było w Waszyngtonie pełnej wiary w to, że system się utrzyma, zreprodukuje przy zmianie władzy.

Więc fakt, że jesteście w drugiej kategorii, nie dotyczy tego, co jest dzisiaj, tylko percepcji waszej demokracji.

Czy w takim układzie sił Europa może w ogóle coś zrobić?
– Dla Europy, czyli tak naprawdę dla Unii Europejskiej, nadszedł moment, który zdefiniuje jej przyszłość. Albo zdobędzie – znów – ogromny wpływ na świat, albo przepadnie na marginesie, stanie się graczem bez znaczenia. Trump zrobi wszystko, żeby rozwalić Unię, odciągnąć jedno państwo od drugiego. Unia, żeby przetrwać ten chaos, musi zacząć mocno się zmieniać. Porzucić masę zbędnych regulacji. Przestać narzucać wszystko od góry.

A przede wszystkim zmobilizować prywatny kapitał do inwestycji, zwłaszcza ryzykownych, wczesnego szczebla. Kapitał prywatny płynie jak szalony wewnątrz gospodarek USA i Chin – a w Europie nie. Tutaj pieniądze leżą na kontach, ludzie oszczędzają, zamiast inwestować. To dotyczy zarówno pojedynczych obywateli, jak i całych gospodarek. Kraje zachodniej Europy mają bodaj najwyższe odsetki skumulowanych oszczędności na świecie i jednocześnie są coraz bardziej niechętne podejmowaniu ryzyka inwestycyjnego. To pewna forma unijnej słabości genetycznej, którą jednak trzeba zwalczyć, żeby przetrwać. ●

• * Nieformalny blok wschodzących i odradzających się mocarstw, skupiającego pierwotnie Brazylię, Rosję, Chiny, Indie i RPA, który się sformalizował i poszerza się o kolejne kraje dawnego Trzeciego Świata, stając się przeciwwagą dla zachodnich sojuszy i paktów.

*Alec Ross

• były główny doradca Hillary Clinton do spraw technologii i innowacji w Departamencie Stanu USA. Jeden z najważniejszych globalnych ekspertów w dziedzinie nowych technologii i polityk publicznych, doskonale znający realia Doliny Krzemowej oraz współpracy instytucji państwa z liderami sektora technologicznego. Członek sztabu kampanijnego Baracka Obamy w 2008 r. Wykładowca Johns Hopkins University i Uniwersytetu Columbia. Obecnie wykłada w Szkole Biznesu Uniwersytetu Bolońskiego. Członek zarządu funduszu inwestycyjnego Amplo, autor książek „The Industries of the Future" i „The Raging 2020s: Companies, Countries, People – and the Fight for Our Future" oraz licznych artykułów, m.in. w „The Atlantic", „WIRED", „Foreign Policy".

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie" oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów". Współprowadzi program „Wider View" w TVP World.

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Za pięć trzynasta

Opowieści owalne i proste

Nie tylko amerykańscy, lecz również polscy komentatorzy wydawali się naprawdę dotknięci tym, że ukraiński prezydent nie dał się zastraszyć W GABINECIE OWALNYM.

Jarosław Mikołajewski

W chwili kiedy świat wciąż nie może dojść do siebie (albo udaje, że nie może, podczas gdy spokojnie zajmuje się bajką Oscarów) po spotkaniu prezydenta Trumpa z prezydentem Zełenskim, z intelektualnego i moralnego obowiązku dziennikarza i obywatela muszę powtórzyć co najmniej kilka rzeczy.

•

Po pierwsze: spotkało się dwóch prezydentów, czyli ludzi tej samej rangi. Najwyższych przedstawicieli swoich narodów, które wybrały ich na ustalonych przez nie same zasadach. Ubrani byli adekwatnie do narodowej sytuacji: jeden był w garniturze, jak w kulturze zachodniej oczekuje się od kogoś, kto reprezentuje społeczeństwo dobrobytu, drugi – w bluzie adekwatnej dla czasów wojny. Owszem, doszło do przekroczenia obyczaju, lecz transgresja nie była spowodowana przez gościa.

•

Trwając wciąż na gruncie kultury zachodniej, gospodarz powinien robić wszystko, żeby gość czuł się dobrze i nie odczuł na żadnym kroku dyskomfortu, jaki może wynikać z towarzyskiego statusu czy też stanu posiadania przybysza.

Na gruncie kultury każdej honorowej społeczności, choćby warszawskiego Powiśla, na którym się wychowałem, gospodarz nigdy nie powinien dopuścić też do własnej liczebnej przewagi. Czyli sprawić, żeby w warunkach dyskusji, debaty, konfrontacji, gość występował na przykład jako jeden przeciw dwóm.

REUTERS/BRIAN SNYDER

• **Piątek 28 lutego br. Biały Dom. Zełenski nie klęczy przed Trumpem i jest mu za mało wdzięczny**

•

Pójdźmy dalej, bo to dalej prosi się samo o przypomnienie. A skoro tak, to warto przypomnieć, że hańbą dla dobroczyńcy jest wymuszanie wdzięczności na tym, który doznał jego dobroczynności. Kwestią delikatności, lecz także obnażenia własnej iluzji, jest eksponowanie miejsca, w którym dochodzi do spotkania (lub z góry zaplanowanego niespotkania).

Zwróćmy uwagę, jak wielką rolę w komentarzach przyznano tej oto okoliczności, że gość okazał postawę godną i pozbawioną spodziewanego lizusostwa w „gabinecie owalnym". Nie tylko amerykańscy, lecz również polscy komentatorzy wydawali się naprawdę dotknięci tym, że ukraiński prezydent nie dał się zastraszyć właśnie W GABINECIE OWALNYM.

•

W przeciwieństwie do wielu kolegów po słowie mówionym czy pisanym, nie byłem w USA i nie mam pojęcia, które z gorszących zajść zdarzyły się w Gabinecie Owalnym, które poza nim. Przypomnę jednak, że co najmniej w jego pobliżu prezydent Clinton romansował (choć to niby nic złego) z Moniką Lewinsky, zwolennicy kandydata Trumpa gwałcili święte pryncypia demokracji, a Donald Trump, już jako prezydent, wypowiadał się o swoim poprzedniku i konkurencie jak zwykły zazdrośnik i łobuz.

Nie tylko w kontekście tych zdarzeń, po niedawnym spotkaniu amerykański prezydent powinien więc raczej udekorować Gabinet Owalny tablicą ku czci Antygony i Dawida naszych czasów, człowieka honoru, sprawiedliwej walki i godnej obrony, jakim jest prezydent Wołodymyr Zełenski.

W iluzji, że wznosząc ściany i nadając im górnolotne nazwy ustanowimy szańce świętych znaków tożsamości, zapominamy o podstawowych prawdach i wartościach. To, ze Pałac Namiestnikowski nazwiemy Pałacem Prezydenckim, nie chroni – jak dobrze wiemy – jego murów od obecności przestępców.

•

Kiedy piszę te słowa, swoje życie i misję kończy w Watykanie papież, zastępca Jezusa Chrystusa. W WATYKANIE. W STOLICY ŚWIĘTEGO PIOTRA, gdzie nie tylko przechadzał się i pracował święty Jan Paweł, lecz w którym również walczono o władzę, mordowano, molestowano, gwałcono...

W 1939 roku i później, niemieckie bomby rujnowały nie Gabinet Owalny, tylko – uwaga! – WARSZAWĘ! W 2025 rosyjskie rakiety burzą nie Gabinet Owalny, lecz – baczność! – KIJÓW! Świętości nie większe – bo skalę świętości każdy naród ustala dla siebie – lecz z pewnością starsze, o dłuższej tradycji.

Nie odchodząc daleko od tematu tego felietonu, czyli od wydarzeń Gabinetu Owalnego, zwrócę uwagę na hańbę, jaką w jego rozległym cieniu okrywają się politycy polscy, którzy stawiają się na papierowym piedestale, by wielkiemu prezydentowi Zełenskiemu przypisywać nieprzyzwoitość czy głupotę, własności jemu jaskrawo obce, a im samym – niepodrabialnie własne. ●

Sprostowanie

W artykule „Dotacja wielka, większa, największa. Wszystkie pieniądze o. Rydzyka" autorstwa p. Piotra Głuchowskiego, opublikowanym 15 lutego 2025 roku na łamach „Gazety Wyborczej", zamieszczono nieprawdziwe informacje:
– nieprawdą jest, że „do listy sponsorów ośrodka toruńskiego przyłączyły się też niezliczone mniejsze podmioty: (...) Urząd Komisji Nadzoru Finansowego."

Urząd Komisji Nadzoru Finansowego nie sponsorował działalności inicjatyw związanych z ks. Tadeuszem Rydzykiem.

Jacek Barszczewski
Dyrektor Departamentu Komunikacji Społecznej
Urząd Komisji Nadzoru Finansowego
00-549 Warszawa, ul. Piękna 20
Skrytka pocztowa 419

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34362828

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Autorytarne Chiny są uważane za groźniejszego od Rosji rywala Zachodu w walce o geopolityczne wpływy. Ale rosnące napięcia między USA a Europą otwierają dla Pekinu opcję zbliżenia się do sfrustrowanych Europejczyków.

FOT. IORI SAGISAWA / AFP)

Układanie świata na nowo

CHIŃSKA OFENSYWA WDZIĘKU

Christina zur Nedden

WELT

Krótko po prowokacyjnym i szokująco krytycznym wobec Europy przemówieniu wiceprezydenta USA J.D. Vance'a podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, głos zabrał Wang Yi, chiński minister spraw zagranicznych. Trudno było o większy retoryczny kontrast do połajanek Vance'a, chociaż Chińczyk nie mówił niczego, co wykraczałoby poza rutynowy przekaz Pekinu od lat: bronił międzynarodowego ładu i podkreślił znaczenie ONZ w świecie, który doświadcza „nieustannego chaosu".

Oczywiście pochwalił swój kraj jako partnera alternatywnego wobec szybko izolujących się USA Donalda Trumpa: „To Chiny oferują największe bezpieczeństwo w niepewnym świecie".

To retoryka, za którą kryje się surowa i bezwzględna siła ekonomicznego nacisku. Ale nie zmienia to faktu, że Wang Yi okazał się głosem rozsądku na monachijskiej konferencji. Tyle że Chiny są niezmiennie od lat uważane za jedno z największych zagrożeń dla liberalnego porządku świata w modelu zachodnim. Na ile więc można dać wiarę takim słowom?

Chiny wiedzą, że otwierają się dla nich ciekawe możliwości. USA pod rządami Trumpa porzucają kolejne instytucje międzynarodowe, a sam Trump nieustannie ogłasza nowe roszczenia terytorialne – nic dziwnego, że szef chińskiej dyplomacji prezentuje się jako gołąbek pokoju i spokoju, a swój kraj jako obrońcę multilateralnego porządku i poszanowania prawa międzynarodowego.

Chiny pokazują Europie marchewkę: według nich wszelkie rozmowy pokojowe mające na celu zakończenie rosyjskiej wojny przeciwko Ukrainie powinny być toczone w obecności Europy. „Ta wojna toczy się na europejskiej ziemi", dlatego to Europa musi odegrać „ważną rolę" w jej zakończeniu, powiedział Wang. Spotkało się to z uznaniem europejskiej publiczności, ponieważ tak bardzo kontrastuje z sygnałami wysyłanymi przez administrację Trumpa.

Jeszcze przed monachijską konferencją Trump zaskoczył europejskich sojuszników, informując, że rozmawiał telefonicznie z Władimirem Putinem w sprawie przyszłości Ukrainy. W kuluarach konferencji w Monachium specjalny wysłannik USA do Ukrainy Keith Kellogg oznajmił, że dla Europejczyków nie ma miejsca przy stole podczas planowanych rozmów z Moskwą, bo „chcemy uniknąć zbędnej kakofonii". Europejczycy zresztą zostali ostentacyjnie pominięci podczas pierwszego od lat oficjalnego spotkania w Arabii Saudyjskiej wysokich rangą dyplomatów USA z rosyjską delegacją, z obłożonym zachodnimi sankcjami Siergiejem Ławrowem na czele.

Pekin rozgrywa resztę świata

Chińskie MSZ podkreśliło, że „zdrowe i stabilne" stosunki między Chinami a UE są teraz potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Zwracając się do ustępującego po wyborach kanclerza Niemiec Olafa Scholza (SPD), Wang powiedział, że Chiny chcą pogłębić „wszechstronną współpracę" z Niemcami na rzecz utrzymania globalnego pokoju i stabilności.

„Pekin próbuje wykorzystać frustrację Europejczyków nieprzewidywalną obecnie polityką Waszyngtonu i zaoferować się jako alternatywa" – potwierdza politolog Ja Ian Chong z National University w Singapurze. Ale czy Chiny w ogóle zamierzają realizować jakiekolwiek ze swoich zapewnień? W 2017 r., na początku pierwszej kadencji Trumpa, tak się nie stało. Wówczas chiński lider Xi Jinping także przedstawiał swój kraj jako „nowego czempiona" globalizacji. Pekin promował „wolny handel i współpracę międzynarodową", podczas gdy administracja Trumpa skupiała się na „izolacjonizmie i wojnach handlowych", jak wówczas mówiono w Pekinie.

Z perspektywy czasu stało się jasne, że słowa Xi były pustymi obietnicami. Chiny nie otworzyły swoich rynków, nie zrezygnowały ze swoich nieuczciwych praktyk handlowych i notorycznie nie przestrzegały globalnych norm. Zamiast tego Pekin zintensyfikował przymus gospodarczy wobec krajów, które krytykowały Pekin lub odmówiły poddania się jego rozmaitym roszczeniom.

Pierwotna zapowiedź Chin, że przydadzą się jako „neutralny pośrednik pokojowy" w wojnie Rosji przeciwko Ukrainie, również skończyła się na niczym. Sześciopunktowy pokojowy plan chiński, dla którego Pekin uzyskał symboliczne wsparcie Brazylii, okazał się jedynie kartką papieru. Bo jak dotąd Chiny nie są wiarygodne jako neutralny mediator, jakim lubią się przedstawiać.

Chiny związały ze sobą w dużej mierze odciętą od Zachodu Rosję, kupują od niej – dzięki zachodnim sankcjom – mocno subsydiowaną ropę, a tym samym umożliwiają Rosji finansowanie wojny. Zachodnie wywiady dowodzą też, że Chiny dostarczyły Rosji towary podwójnego zastosowania, których komponenty można znaleźć w sprzęcie używanym na ukraińskich polach bitew. Chiny temu zaprzeczają, ale w tym samym czasie Putin i Xi obnoszą się ze swoją „bezwarunkową" przyjaźnią.

Ponadto nadwyżka mocy produkcyjnych Chin wywiera rosnącą presję na europejskie rynki i przemysł. Wszystko to jest wystarczającym powodem, aby Europa zastanowiła się dwa razy nad odprężeniem w relacjach z Chinami. „To, że świat liberalnych demokracji postrzega USA jako rosnące wyzwanie, niekoniecznie oznacza, że ChRL przestaje nim być" – zaznacza politolog Chong.

Xi Jinping szykuje się do ostrej konfrontacji z USA

Jak dotąd przemówienie Wanga w Monachium jest niczym więcej niż częścią szeroko zakrojonej ofensywy wdzięku, za pomocą której Chiny – mające coraz większe strukturalne kłopoty gospodarcze, od słabnącej demografii po przegrzany rynek nieruchomości – próbują poprawić stosunki z Europą, przygotowując się na ostrzejszą konfrontację amerykańsko-chińską. Dla wielu analityków umizgi Trumpa do Putina – czynione coraz bardziej ostentacyjnie kosztem Ukrainy – mają zresztą na celu m.in. poluzowanie sojuszu Moskwy z Pekinem. Czy w dłuższej perspektywie transakcyjne podejście Trumpa pod hasłem „America First" – w którym za wszelkie wsparcie USA trzeba zapłacić twardą walutą – może zbliżyć UE do Chin, które w przeciwieństwie do Rosji nie stanowią namacalnego militarnego zagrożenia dla Europy?

Podczas gdy administracja Bidena uznała, że USA mają większe szanse w globalnej rywalizacji z Chinami, jeśli będą – jak to robiły od końca II wojny światowej – blisko współpracować z innymi demokracjami, Trump traktuje tradycyjnych bliskich sojuszników Ameryki jak rywali. Europejscy politycy zdają sobie także sprawę, że ich ambitne cele w zakresie transformacji energetycznej trudno będzie osiągnąć bez metali ziem rzadkich z Chin, potrzebnych m.in. do baterii i ogniw słonecznych.

Nakładane przez Trumpa cła mogą sprawić, że rynek chiński stanie się dla Europy, zwłaszcza dla Niemiec i Francji, jeszcze bardziej niezbędny. Znakiem, że Europa już teraz przyjmuje łagodniejszy ton wobec Chin, jest modyfikacja retoryki czołowych polityków. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen napisała na X: „Będziemy nadal zmniejszać ryzyko dla naszej gospodarki generowane ze strony Chin, ale jest miejsce na rozszerzanie naszych stosunków handlowych i inwestycyjnych. I to może mieć sens dla Europy".

Do tej pory w kontekście zmniejszania ryzyka, jakie niesie polityka Pekinu, mówiono wyłącznie o zmniejszaniu unijnej zależności gospodarczej i surowcowej od Chin.

Trump zrobił dla chińskich interesów więcej niż Xi przez 12 lat

„Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa była dyplomatycznym sukcesem dla Chin", uważa Angela Stanzel z Niemieckiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i Bezpieczeństwa. „Agresywna tzw. wilcza dyplomacja to na razie przeszłość. Jednak teraz Pekin będzie musiał wypełnić słowa treścią".

Steve Tsang, szef China Institute w SOAS Institute w Londynie, uważa jednak, że jest to mało prawdopodobne. „Kiedy minister spraw zagranicznych ChRL mówi, że Chiny oferują największe bezpieczeństwo, pojawia się pytanie, dla kogo. Chiny dbają wyłącznie o własne interesy, stąd zresztą czysto pragmatyczne zbliżenie z Rosją" – mówi Tsang. „W światopoglądzie chińskich przywódców w erze Xi istnieje silny podział na liberalny Zachód i tzw. globalne Południe. Rozpad transatlantyckiej wspólnoty interesów jest zatem pożądanym rozwojem wypadków. Poza wszystkimi innymi korzyściami dla Pekinu ujawnia on bowiem od dawna deklarowane w chińskiej propagandzie bankructwo porządku międzynarodowego pod przywództwem USA".

Chiny są zadowolone, że zwiększa się ich pole manewru do skuteczniejszego wykorzystania swoich wpływów w ONZ (Trump mówi o tej organizacji, że potrafi jedynie „oskubywać" budżet USA) w celu uzyskania poparcia Południa dla pożądanej przez siebie transformacji świata. „Celem Chin jest przekształcenie zasad globalnego ładu opartego na zasadach typu prawa człowieka czy poszanowanie granic, tak aby był on bardziej przyjazny Chinom niż Zachodowi" – mówi Tsang.

I dodaje: „Trump zrobił więcej w ciągu jednego miesiąca, aby pomóc Chinom w tej kwestii, niż Xi osiągnął w ciągu ostatnich 12 lat". ●

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Pięć lat po wybuchu pandemii

Polityczny długi Covid

Czy wzrost poparcia młodych wyborców dla populistycznej prawicy ma swoje korzenie w pandemii koronawirusa? To prawdopodobne.

Robert Stefanicki

Covid miał śmiertelnie poważne skutki dla tych, których pozbawił życia (ponad 7 mln osób) oraz dla tych, którym zrujnował zdrowie. Lecz poza tym jest jak dawniej. Mamy lepsze szczepionki – ale kto dzisiaj chce się szczepić? Systemy opieki zdrowotnej są tak samo niewydolne, jak przed 2020 r. Maseczki się na Zachodzie nie przyjęły, a nadzieje, że w obliczu zagrożenia sceptycy nawrócą się na naukę, okazały się płonne. Zbiorowa solidarność z towarzyszami niedoli trwała do czasu, aż ludzie wyszli z szoku.

Polityczne skutki też nie są oczywiste. Spójrzmy na listę państw, które najgorzej radziły sobie z wirusem, biorąc za miernik liczbę zgonów na milion mieszkańców: Peru, kraje bałkańskie i Węgry. Losy polityków, którzy nimi wówczas rządzili, potoczyły się rozmaicie i zasadniczo covidowy kataklizm nie miał na to większego wpływu. Podobnie tam, gdzie zgonów było najmniej. Dawana za przykład nowozelandzka premier Jacinda Andern nie utrzymała się u władzy, w przeciwieństwie do Viktora Orbana. Władzę stracił koronasceptyczny prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, ale sabotowanie walki z wirusem było tylko jednym z punktów na długiej liście jego grzechów. W USA lekceważenie pandemii zaszkodziło Donaldowi Trumpowi, lecz to Joe Biden odziedziczył problemy świata pocovidowego, dzięki czemu Trump w następnym rozdaniu odzyskał władzę.

Ale też nie jest tak, że nic się nie zmieniło. W świeżym badaniu Pew Research trzy czwarte Amerykanów twierdzi, że pandemia miała konsekwencje dla ich życia. Tyle samo uważa, że bardziej podzieliła kraj niż go zjednoczyła. Wiele innych narodów mogłoby powiedzieć to samo.

Ekspansja ignorancji

Czołowy pesymista literatury francuskiej Michel Houellebecq na pytanie, jaki wpływ Covid będzie miał na przyszłość, wieścił, że będzie „tak samo, ale gorzej”. Trudno nie przyznać mu racji. Wzrosła polaryzacja, polityka jest coraz bardziej kłamliwa, bezwstydna i chamska, autokraci są bardziej asertywni, planeta jest gorętsza, dysproporcje większe.

Agnieszka Becla i Stanisław Czaja z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu w pracy „Ekonomiczne i społeczne konsekwencje pandemii” wymieniają: rozkwit teorii spiskowych, pogorszenie funkcjonowania systemu instytucji demokratycznych, wzrost popularności projektów populistycznych, a nawet homofobicznych, wzmocnienie się agresji międzyludzkiej oraz niespotykaną ekspansję ignorancji. Te konsekwencje w ocenie badaczy „mają charakter długotrwały i trudny do wyeliminowania”.

Pandemia nie jest wyłączną przyczyną tych zjawisk, ale przyspieszyła procesy rozpoczęte wcześniej. Uruchomienie pakietów pomocowych przez rządy napompowało dług publiczny i wywołało inflację, dopaloną przez wybuch wojny w Ukrainie. Bez tego Javier Milei mógłby nie zostać prezydentem Argentyny, a Trump mógłby nie wygrać z Kamalą Harris. Inflacji towarzyszyło spowolnienie gospodarcze. Pandemia odbierała życie najczęściej starszym, ale i młodzi tracili: możliwość normalnej edukacji, pracę, równowagę psychiczną – i nadzieję. Ta cena jest trudna do wyliczenia, nieoczywista, niektóre konsekwencje wychodzą po latach.

W efekcie różnice pokoleniowe się zaostrzyły. Podobnie jak antagonizm między płciami. Coraz więcej młodych mężczyzn wyraża poglądy antyfeministyczne. Powodem mogło być drastyczne ograniczenie ich kontaktów towarzyskich podczas lockdownu. Po zniesieniu restrykcji życie w znacznej części pozostało w internecie. Norweski badacz Ruben B. Mathisen uważa, że za widoczny w wielu krajach wzrost dystansu ideologicznego między mężczyznami i kobietami odpowiadają social media, które tworzą oddzielne bańki dla obu płci.

Upadek zaufania

Analiza opublikowana przez Centrum Ryzyka Systemowego w London School of Economics mówi, że osoby doświadczające epidemii w wieku 18-25 lat mają mniejsze zaufanie do autorytetów naukowych i politycznego przywództwa. Ten trend widać też w innych badaniach. Młodzi Amerykanie wykazują historycznie niski poziom zaufania do większości instytucji publicznych – prezydenta, Kongresu, Wall Street; spadki w ciągu jednej dekady sięgnęły dziesiątek procent.

Młodzi wyborcy wyraźnie skłaniają się ku skrajnie prawicowym partiom prezentującym się jako antyelitarne i antyimigracyjne. W ostatnich wyborach w Polsce w grupie między 18 a 29 rokiem życia zwyciężyła Konfederacja z wynikiem ponad 30 proc. Alternatywa dla Niemiec jest najpopularniejszą partią wśród Niemców przed trzydziestką. Młodzi Holendrzy wynieśli do władzy Geerta Wildersa, młodzi Włosi – Georgię Meloni. Również we Francji i Hiszpanii najmłodsi wyborcy coraz bardziej zwracają się w stronę prawicowej ekstremy.

Młodzi Amerykanie przez dziesięciolecia młodzi byli silnie postępowi. W 2008 r. głosowali na Baracka Obamę, w 2016 r. w tej kohorcie Hillary Clinton zwyciężyła z Trumpem o 18 pkt proc., a w następnych wyborach Joe Biden miał 24 pkt przewagi u wyborców przed 30. rokiem życia. Jednak w 2024 r. Republikanin tylko nieznacznie przegrał wśród młodych. A w jednym z ostatnich sondaży najmłodsi Amerykanie byli bardziej pro-Trumpowi niż emeryci. Można się łudzić, że z tego „wyrosną”. Jednak ideologia polityczna ma tendencję do utrwalania się w wieku mniej więcej 20 lat. „Za kilka lat to, co przyzwyczailiśmy się nazywać Generacją Z, może zawierać podgrupę: Generację C, dotkniętą Covidem, na razie uderzająco konserwatywną”, napisał Derek Thompson w „The Atlantic”.

Niektórzy łączą pandemię z utrwalającą się niechęcią wobec imigrantów – to kolejny, może główny lęk, na jakim żerują populiści. Paliwo dały mu zamachy terrorystyczne Al-Kaidy i ISIS – taki zresztą był i jest ich cel: zasianie w społeczeństwach Zachodu nienawiści wobec muzułmanów, otwarcie drogi do władzy islamofobom, co wywoła kontrreakcję i „świętą wojnę” cywilizacji. Co ma do tego Covid? Wirus też zaatakował nas z zewnątrz. Ratunkiem była izolacja od innych, którzy zagrażali naszemu bezpieczeństwu. To mogło utrwalić podświadomy strach przed obcymi, jaki coraz mocnej opanowuje społeczeństwa zachodnie.

Izolacja od rozsądku

Wymuszone zamknięcie w domach obudziło bunt przeciwko „mainstreamowi”, tradycyjnym elitom, które odbierają ludziom wolność. Bunt jest cechą przede wszystkim młodego pokolenia i to młodzi, którzy ledwo wyszli spod rodzicielskiej kurateli, najbardziej łakną wolności. Okazję zwęszyły ruchy antyszczepionkowe oraz piewcy teorii spiskowych. Na antynaukowe ideologie podatni są szczególnie zwolennicy prawicy, choć może to też działać w drugą stronę – do kogo przemawiają teorie spiskowe, ten szybko wpadnie w prawicową bańkę informacyjną, która wzmocni jego przekonania, izolując od głosów rozsądku. W USA poparcie dla szczepień dzieci w szkołach publicznych po pandemii spadło o 12 pkt proc. w elektoracie Republikanów.

Naukowcy z Uniwersytetu w Jenie zbadali jaki stosunek do demokracji mają wyznawcy covidowych teorii spiskowych z Turyngii. Deklarowali oni pragnienie odebrania władzy politykom sprawującym ją w ramach demokracji przedstawicielskiej i przekazania kontroli „obywatelom”, w imieniu których mieliby rządzić technokraci. „Poparcie dla technokratycznego sposobu podejmowania decyzji jest zaskakujące, biorąc pod uwagę, że nie daje ono obywatelom władzy i nie może zmniejszyć poczucia bezsilności i braku kontroli”, dziwią się Anne Küppers i Marion Reiser.

Grunt pod przyjście Muska

Sylwetka nowoczesnego technokraty wykuła się właśnie w Ameryce. To biznesmen z branży technologicznej, motywowany wyłącznie własnym zyskiem, a nie zyskiem narodu czy społeczeństwa, traktujący maluczkich – czy są to jego współobywatele, czy słabsze kraje – jak siłę roboczą, którą należy wykorzystać jak najtańszym kosztem, i jako konsumentów, którym należy sprzedać jak najdrożej. Wartość człowieka określa to, ile można na nim zarobić.

Negacjoniści covidowi i inni populiści odrzucają ideę społeczeństwa na rzecz „wolności” jednostki, ale w praktyce jest to wolność do życia w nędzy, chorobie i do swobodnego umierania, w zgodzie z wyrokiem Boga i natury. Skrajna prawica znalazła tu wspólną sprawę z konserwatywnymi intelektualistami, coraz bardziej sceptycznymi wobec systemu demokratycznego. Oni chcą nowego porządku – takiego, nad którym będą mieli pełną władzę.

„Prawica korzysta na tym, że ludzie stają się bardziej odizolowani, przycupnięci, nieufni i wątpiący, że można zbudować lepszą przyszłość”, napisał Matthew Sitman w eseju dla Gawker. „To do takich ludzi przemawia reakcyjny przekaz: najlepsze, na co możesz liczyć, to gromadzenie tego, co masz, i atakowanie mrocznych sił, obcych innych, o których powiedziano ci, że zagrażają tobie i twojemu sposobowi życia. Solidarność i hojność jawią się jako ryzykowne zakłady, których nie warto podejmować”. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34364468

W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

KWALIFIKACJA WOJSKOWA 2025

- Kto dostanie wezwanie?
- Które osoby mają obowiązek stawienia się przed komisjami lekarskimi i czym one skutkują?
- Co decyduje o wezwaniu kobiet na komisję lekarską?
- Jak zostać żołnierzem? Kto ma szansę na służbę zawodową?

DODATEK SPECJALNY

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

DZIEŃ KOBIET

– Zaprojektowaliśmy bohaterkę ze śladami oparzeń na twarzy. Przyszedł inwestor i powiedział, że postać kobieca musi być atrakcyjna, bo gracze tego nie kupią – mówi Magdalena Kucenty, scenarzystka gier.

CZY W GRACH TRZEBA „SZCZUĆ CYCEM”?

Robert Jurszo

Kiedy się okazało, że w czwartej odsłonie serii gier „Wiedźmin” pierwsze skrzypce grać będzie Ciri, przybrana córka Geralta z Rivii, część fanów niezwykle popularnego tytułu zareagowało oburzeniem. A przecież był to wybór najzupełniej naturalny, bo to właśnie wokół niej obracała się główna oś fabularna gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon”. Taki rozwój serii sugerowało też jedno z zakończeń poprzedniej części, w którym Ciri – tak jak inni wiedźmini – wyrusza na szlak, by pędzić żywot najemnej zabójczyni potworów. Zresztą w kilku epizodach „Dzikiego Gonu” mogliśmy Ciri zagrać.

Wybór Ciri był również oczywisty dla twórców gry. „Pamiętam taką rozmowę, dziewięć lat temu, gdy zastanawialiśmy się, kto będzie następny? Błyskawiczną odpowiedzią była Ciri. Nie ma w tym ani odrobiny przypadku” – przekonywał Sebastian Kalemba, reżyser gry, w rozmowie z branżowym portalem IGN.

Ciri za stara, za brzydka

Ale graczom nie spodobała się nie tylko wiedźmińska sukcesja. Część z nich uznała, że pokazana w trailerze Ciri jest niepodobna do tej z „Wiedźmina 3” czy po prostu... za stara i za brzydka.

Ostatni epitet pozostawię bez komentarza przede wszystkim dlatego, że kryterium urody nie uznaję za istotne przy ocenie protagonistek gier. Natomiast zarzut „starości”, biorąc pod uwagę to, że akcja IV części dzieje się lata po „Dzikim Gonie”, jest zwyczajnie absurdalny.

Wśród utyskiwań części graczy pojawiały się też zarzuty o wokeizm czy uleganie poprawności politycznej, które kierowano pod adresem CD Projekt RED. I można by na to wszystko machnąć ręką, ale takie reakcje mówią coś ważnego o tej formie cyfrowej rozrywki. I jej odbiorcach.

Trzeba to scharakteryzować otwarcie: w świecie gier i ich fanbazy seksizm ma się znakomicie.

Po pierwsze, głównych bohaterek gier jest bardzo mało, nieporównywalnie mniej niż bohaterów. Najczęściej żeńskie postacie są po prostu tłem dla męskich protagonistów.

Po drugie, większość bohaterek jest przeseksualizowana. Przykład pierwszy z brzegu: Lara Croft. Szczególnie w tych najdawniejszych częściach cyklu ma typową aparycję aktorki kina dla dorosłych, na szczęście w późniejszych odsłonach, np. w „Shadow of The Tomb Raider”, trochę udało się od tego odejść.

Z drugiej strony, kiedy Aloy, bohaterkę serii gier „Horizon”, w drugiej odsłonie (wydana w 2022 roku „Forbidden West”) nieco zaokrąglono, a jej twarzy przydano realizmu, znaleźli się tacy, którzy uznali, że jest „za gruba”, a do tego – o zgrozo! – ma zmarszczki.

Inny przykład: kiedy studio Naughty Dog (odpowiedzialne m.in. za kultowe „Uncharted”) zaprezentowało niedawno bohaterkę nadchodzącej gry „Intergalactic: The Heretic Prophet”, która ma ogoloną głowę, na twórców spadły gromy (oczywiście „wokeizm”!).

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

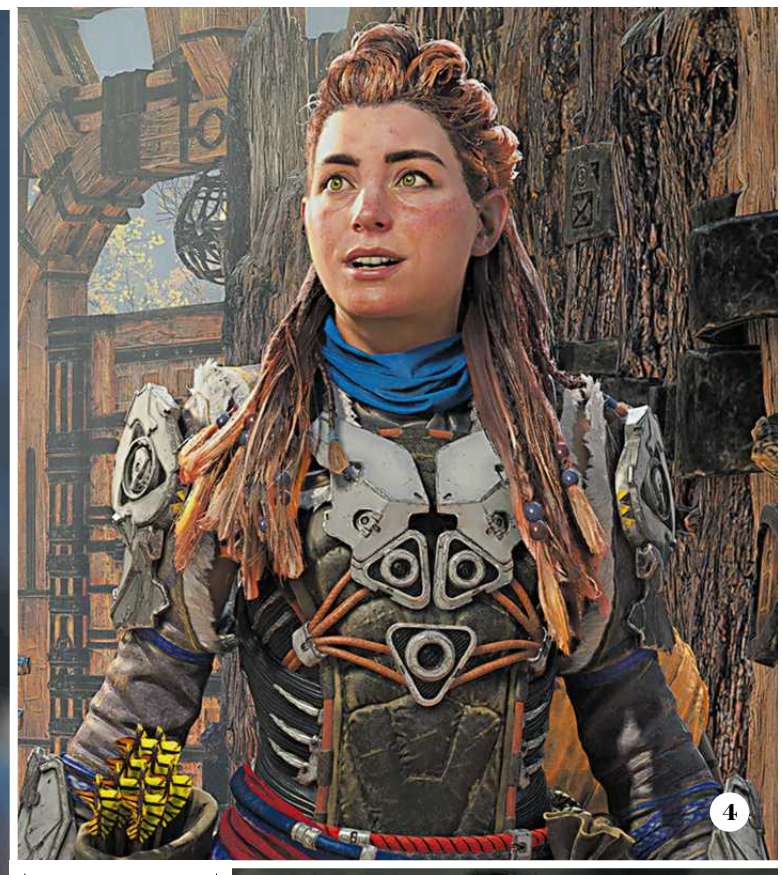

1 • Lara Croft z czasem coraz bardziej stawała się awanturniczą archeolożką, a nie męską fantazją

2 • Senua – piktyjska wojowniczka z mrocznej gry „Hellblade”

3 • Ciri w 4. części „Wiedźmina” jaka jest - każdy widzi. Ale nie każdy przyjął do wiadomości

4 • Aloy z popularnej serii „Horizon” dostało się za to, że jest „za gruba” i „ma zmarszczki”

5 • Ellie z „The Last Of Us” – zwykła, przeciętna dziewczyna, która robi niezwykłe, nieprzeciętne rzeczy. Wzór komputerowej bohaterki? FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

Po trzecie, w grach zasadniczo niewiele jest miejsca na niewpasowujące się w pornograficzne standardy urody postacie kobiece, również te drugoplanowe. Zgoda, czasem udaje się przełamać ich stereotypowość ciekawym tłem fabularnym. Tak jest np. w przypadku Mirandy Lawson z RPG „Mass Effect” – „idealnej” kobiety będącej tworem inżynierii genetycznej, stworzonej przez zamożnego i egoistycznego ojca, przed którym uciekała. Ale to rzadki wyjątek.

Co na to branża?

Impulsy, że coś może się zmienia, płyną spoza gamingowego świata. W 2023 r. marka kosmetyczna Dove przygotowała kampanię „Real Virtual Beauty”, której celem jest walka z nadmiernym seksualizowaniem kobiecych ciał w grach. Choć podkreślono, że gry mogą mieć pozytywny wpływ, np. pomagają zawierać nowe znajomości czy dają wyraz własnej autentyczności, to już przedstawienie kobiet w grach nie zawsze jest pozytywne.

„Postacie kobiece w grach nie odzwierciedlają dokładnie różnorodności graczek na świecie. Często są mocno seksualizowane i tworzone w ramach wąskich, nierealistycznych standardów piękna” – napisała firma Dove.

W ramach kampanii przygotowano m.in. film, na którym graczka po skończonej zabawie zrzuca z siebie seksowny pancerz, pod którym okazuje się „zwykłą” dziewczyną. I postanawia go więcej nie zakładać, decydując się na taki wizerunek w grze, który pokazuje jej prawdziwe, a nie wyidealizowane i zgodnie z cudzymi oczekiwaniami ciało.

Różne statystyki wskazują, że blisko połowa osób grających to właśnie kobiety (tak wynika m.in. z danych „Global Gamer Study” zebranych w 2023 roku przez firmę Newzoo analizującą rynek gier). Z kolei z badań Dove wynika, że aż 74 proc. młodych graczek chciałoby, by bohaterki w grach wideo były bardziej urealnione, przypominały kobiety z prawdziwego życia. 73 proc. ankietowanych uważa brak zróżnicowania ekranowych bohaterek za problem, dla 60 proc. z nich ten mankament wpływa zaś negatywnie na ich poczucie własnej wartości.

Tu coś nomen omen nie gra.

Kampanię Dove wsparła firma Epic Games, amerykański producent i wydawca gier komputerowych, oraz organizacja Women in Games, która działa na rzecz większego udziału kobiet w gamingowym rynku pracy. Tylko że to wszystko to kropla w morzu potrzeb.

Pytanie brzmi: co z tym wszystkim zrobi branża gamingowa? I czy w ogóle coś z tym zrobić zamierza?

Z **MAGDALENĄ KUCENTY,** SCENARZYSTKĄ GIER, ROZMAWIA **ROBERT JURSZO**

Bohaterowie gier wideo i komputerowych to przede wszystkim mężczyźni. Dlaczego?

– Na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych szczególnie w przypadku gier akcji czy strzelanek wszyscy twórcy odruchowo decydowali się na męskiego protagonistę jako rzekomo bardziej pasującego do bojowych roli. Aczkolwiek tendencja dotyczyła również innych gatunków gier, bo przecież bohaterowie klasycznych przygodówek z lat 90., jak np. „Secret of The Monkey Island” czy „Maniac Mansion”, to też byli faceci.

Przypuszczam, że wzięło się to stąd, że w gry statystycznie grali przede wszystkim chłopcy. A jako że chłopcy chcieli oczami wyobraźni widzieć w tych grach siebie samych, to mamy przewagę męskich bohaterów.

W tym kontekście interesujące jest to, że według badań dotyczących gier typu RPG czy MMO mężczyźni bardzo często wybierają postacie żeńskie [badanie z 2021 roku Quantic Foundry, firmy badającej rynek gamingowy, pokazuje, że 30 proc. męskich graczy woli grać postaciami kobiecymi].

Czyżby jakiś objaw feminizmu?

– Oj, nie w tym przypadku. Z analiz wynikało raczej, że faceci lubią popatrzeć sobie na atrakcyjne kobiety o – nieraz dość mocno – „przerysowanych” kształtach *(śmiech).*

Natomiast te same badania pokazały, że kobiety zdecydowanie preferują wybór postaci własnej płci [wg tych samych cytowań badań Quantic Foundry tylko 9 proc. gamerek wybiera bohaterów męskich]. Ja zresztą mam tak samo – jeśli mogę w grze zagrać kobietą, to zagram kobietą.

Kto jest twoją ulubioną bohaterką z gier?

– Ha, trudne pytanie. Niestety, nie jest nią już Lara Croft ze starych „Tomb Raider'ów”, którą bardzo lubiłam jako dziecko.

Dlaczego?

– Bo charakterologicznie to płaska postać, bez specjalnej głębi. Same gry były świetne, jednak w pa-

eprasa.pl 817e671fa2

mięć zapadła mi eksploracja ruin, skakanie nad przepaściami, rozwiązywanie zagadek. Zaś sama Lara w tych pierwszych grach z przełomu tysiąclecia… Nie jestem w stanie powiedzieć wiele o jej osobowości.

To ciekawe, bo męska postać z innej przygodowej gry akcji o podobnym charakterze, Nathan Drake z serii „Uncharted", to postać o bogatym tle psychologicznym. Sierota, który nie znał swoich rodziców, który wymyślił dla siebie nową tożsamość jako rzekomego odległego potomka słynnego brytyjskiego żeglarza, odkrywcy i korsarza Sir Francisa Drake'a.
– Cóż, w nowszych odsłonach „Tomb Raider" lepiej zarysowano Larę pod względem charakterologicznym. Akcentowano, że było jej trudno po śmierci ojca – znanego archeologa; że w związku z tym przeszła wewnętrzną przemianę. Ale jej historia, niestety, kłóciła się z rozgrywką, przez co wyszedł z tego jeden z najbardziej znanych przykładów dysonansu ludonarracyjnego – w fabule gramy wrażliwą, przestraszoną dziewczyną, która opłakuje śmierć zastrzelonego przez siebie jelenia, ale w rozgrywce mamy liczne questy, których celem jest np. zabicie i oskórowanie stu zwierząt.

Być może to większe skomplikowanie wspomnianego przez ciebie Drake'a bierze się stąd, że seria „Uncharted" jest nowsza, a dziś dużo bardziej niż kiedyś kładzie się nacisk na pogłębianie charakterów protagonistów i protagonistek gier. Taki jest obecnie trend, co zresztą prowadzi do ciekawych transformacji bohaterów.

Jakiś przykład?
– Kratos z serii „God of War". W pierwszych częściach [gra miała premierę w 2005 roku] ma wprawdzie mocne, tragiczne backstory, które tłumaczy, dlaczego poszukuje zemsty na bogach. Ale w tamtych czasach na tym pogłębienie charakteru postaci się skończyło. W grach Kratos to po prostu „przekozacki kozak", który chce wymordować wszystkich bogów w jak najbardziej popisowy, tudzież brutalny sposób.

I to się nie zmienia na przestrzeni tych starszych odsłon, postać ma płaski łuk narracyjny, od początku do końca jest żądnym krwi półbogiem – kimś, z kim trudno się identyfikować, kogo nie postrzega się jako prawdziwego człowieka. Ale już w odsłonie z 2018 r. „God of War" Kratos staje się skonfliktowanym wewnętrznie samotnym ojcem, który próbuje nawiązać więź ze swoim synem. Mówiąc krótko – jest postacią z krwi i kości.

Z czego to wynika?
– Być może twórcy uznali, że Kratos powinien dojrzewać wraz z graczami. Dwadzieścia lat temu, bo wtedy ukazała się pierwsza część „God of War", dla nastolatków mogło być atrakcyjne granie osiłkiem siejącym wokół siebie zniszczenie – dla mnie na pewno było *(śmiech)*.

Ale dziś te same nastolatki są już rodzicami i właśnie taka odświeżona i pogłębiona opowieść może być dla nich interesująca.

Zaś dla młodszych graczy atrakcyjne może być utożsamienie się z Atreusem, czyli synem Kratosa, bo to oddaje ich własne problemy – z rodzicami właśnie. Nadal jednak trochę brakuje nam pogłębionych żeńskich protagonistek – a już na pewno są w zdecydowanej mniejszości.

Może w tym kierunku pójdzie CD Projekt Red, projektując Ciri, która ma być główną postacią „Wiedźmina 4"?
– Nie ukrywam, że mam taką nadzieję; że Ciri będzie ciekawą postacią, bo przecież już taką była w grze „Wiedźmin 3: Dziki Gon", a w niektórych epizodach można nią było nawet zagrać. W ogóle trzeba powiedzieć, że w „Wiedźminie 3" było wiele interesujących kobiet. Jestem wielką fanką tego, co twórcy zrobili chociażby z Yennefer, jak dokończyli jej wątek. W książkach zawsze mnie ta postać irytowała, a jej relacje z Geraltem wydawały mi się meczące, wręcz toksyczne. Natomiast w grze pogłębiono wątek ich miłości na tyle, że się nawet wzruszyłam.

Ogólnie, kiedy myślę o postaciach żeńskich, które są głównymi bohaterkami, to do głowy przychodzą mi wspomniana już Lara Croft z „Tomb Raider", Aloy z „Horizon" i Ellie z „The Last of Us". Przede wszystkim ta ostatnia jest dla mnie bardzo interesująca. Natomiast w moim odczuciu najlepsze przedstawienie żeńskiej protagonistki to Senua z „Hellblade" (2017).

Bardzo lubię tę grę. Ale dlaczego właśnie Senua? To jest bardzo specyficzna postać.
– Właśnie dlatego, że jest tak bardzo skomplikowana. To skonfliktowana wewnętrznie, cierpiąca na schizofrenię piktyjska wojowniczka, która wyrusza do nordyckiego piekła, by ocalić duszę zamordowanego ukochanego. W sumie to intrygujące, że najciekawsze dla mnie kobiece protagonistki – Senua i Ellie – pochodzą z bardzo mrocznych gier. „Hellblade" w ogóle jest pewnego rodzaju fenomenem, bo to gra, która przynosi graczowi wiele trudnych emocji.

Oj tak. To była niesamowicie intrygująca rozgrywka, której jednocześnie nie nazwałbym przyjemną. Znoszenie tych nieustannych głosów w głowie Senuy i przedzieranie się przez krajobrazy pokryte tysiącami okaleczonych ciał to było wyzwanie.
– Trochę jak seans dobrego filmu, po którym nie chce ci się żyć, prawda? *(śmiech)*.

Tak, to jest chyba dobre porównanie. Ty zaprojektowałaś jedną postać: dr Yasną, astrobiolożkę, która jest główną bohaterką „The Invincible", grywalizacji klasycznej powieści Stanisława Lema „Niezwyciężony", za którą studio otrzymało Paszport Polityki. Inspirowałaś się innymi bohaterkami gier?
– Nie, największe znaczenie miały książki Lema. Co prawda ten pisarz nie tworzył kobiecych postaci, ale wymyślił wielu naukowców mężczyzn, którzy posłużyli mi za inspirację. Dr Yasna nie jest dla mnie bohaterką, która ma bardzo rozbudowaną prywatną historię. W grze tak naprawdę główną postacią jest planeta Regis III, a skupiamy się na tajemniczych wydarzeniach, które mają tam miejsce.

Jest tam tylko jedna scena, w której Yasną poznajemy od bardziej osobistej strony: gdy opowiada, że kiedyś z ojcem wyszła do ogrodu, obserwowała gwiazdy i popłakała się, bo przeraziła ją nieskończoność Wszechświata. Myślę też, że takie skonstruowanie postaci było zgodne z duchem pisarstwa Lema, u którego bohaterowie są raczej narzędziami do pokazania idei.

Dobrze to widać choćby w „Solaris". Wróćmy jeszcze na moment do „Wiedźmina 4". Niedawno twórcy pokazali trailer, po którym spadła na nich krytyka ze strony części fanów: że „nowa" Ciri jest – cytuję – „brzydka", „za stara", „wygląda jak transkobieta".
– To bardzo przykre. Abstrahując już od tego, co się komu podoba, a co nie: zauważ, że możemy mieć w grach nieatrakcyjne postacie męskie i nikt nie ma z tym problemu.

Ale oczekiwania społeczne wobec kobiet – nie tylko zresztą w grach – są już wyśrubowane. Babka ma być „piękna, zgrabna i powabna", mówiąc kolokwialnie.

Widziałam też, że rozpętała się spora burza wokół trailera gry „Intergalactic: The Heretic Prophet", w którym główna bohaterka ma ogoloną głowę. No i czemu? Jeśli ona jest żołnierką, to taki wygląd jest uzasadniony fabularnie, prawda? Już bardziej rozumiem krytykę, że goliła się na tym trailerze złą stroną maszynki – co, przyznaję, było trochę zabawne.

• **Lara Croft: okres seksbomby, piksel na ekranie**
FOT. BE&W

Z czego wynikają te uprzedzenia? Bo to nie pierwszy raz, kiedy fani mają zastrzeżenia do kobiecej urody. Kilka lat temu skrytykowano Aloy z „Horizon", ponieważ była rzekomo zbyt pucułowata i miała zmarszczki, a jak wiadomo, kobietom zmarszczek mieć nie wolno. Ironizuję, ale kiedy zrobi się przegląd postaci kobiecych w grach, to trudno nie odnieść wrażenia, że dla większości z nich ideałem piękna jest branża porno. Czy gracze tego oczekują?
– Wygląda na to, że jakaś ich część tak, choć nie zawężałabym tego tylko do grona graczy. Po prostu dziś część ludzi ma nierealne oczekiwania wobec wyglądu kobiet.

Kiedyś spotkałam się z taką sytuacją na żywo: współpracowałam z innym studiem gier i zaprojektowaliśmy postać kobiecą, która miała być główną bohaterką. Chcieliśmy, by miała na twarzy ślady po oparzeniach, bo akcja działa się w powojennym świecie, a protagonistka miała tragiczne backstory. Ale poza tym wpisywała się w powszechne w kulturze masowej kanony żeńskiej urody: duże piersi i pośladki, talia osy, wydatne usta, aparycja femme fatale.

I wtedy przyszedł inwestor i powiedział, że ona nie może mieć takiej blizny, bo postać kobieca musi być atrakcyjna, i że gracze nie kupią takiej gry. Dla mnie to zabrzmiało co najmniej dziwnie, bo przecież ta postać nawet z blizną była ładna.

Ale niestety, część ludzi wciąż traktuje postaci kobiece w grach jak jakieś ładne przedmioty. Ot, mają machać bronią i pięknie wyglądać.

Czy to się jakoś zmienia z racji tego, że w branży gier pracuje coraz więcej kobiet, w tym również scenarzystek?
– Nie sprowadzałabym tego do kwestii płci. Mój obecny przełożony pisze świetne postacie kobiece, zdecydowanie nie traktuje ich przedmiotowo, a jest przecież facetem. Moim zdaniem dokonuje się ogólny postęp w tych kwestiach.

W jednej z poprzednich firm, w której pracowałam, pokazano nam grafiki koncepcyjne kobiet z gry i moja znajoma skomentowała, że „fajne, ale czy musimy tak szczuć cycem?". Artyści – w tym również kobiety, bo one rysowały niektóre z postaci – poczuli się bardzo urażeni taką krytyką, a skończyło się na tym, że pogadankę z przełożonym miała ta moja koleżanka *(śmiech)*. Więc to są kwestie raczej mocno osobnicze.

A jaki ty jako scenarzystka masz wpływ na wygląd postaci w grze?
– Wbrew pozorom znikomy. Tworzenie gry jest czynnością zespołową, a ostateczna aparycja bohaterów leży w gestii grafików i dyrektora kreatywnego. Mogę oczywiście opisać postać jako atrakcyjną bądź nie, starszą lub młodszą, określić jej charakter, mogę coś narzucić, np. że powinna być ciemnoskóra, bo ma takie, a nie inne pochodzenie etniczne – ale detale wizualne nie są już po mojej stronie. To zresztą jest uzasadnione, bo np. strój postaci powinien projektować profesjonalny designer, a nie pisarz.

Co branża gier powinna robić z seksistowskimi krytykami postaci kobiecych?
– Jestem zdania, że jeśli gra będzie po prostu dobra, będzie miała dobry gameplay i dobrą historię, to nie ma znaczenia, jak postać będzie wyglądała, bo produkt jako całość się obroni. Być może będzie jakiś odsetek ludzi, którzy go nie kupią, bo bohaterka będzie dla nich nieatrakcyjna, ale to według mnie za mało, by dobra gra okazała się klapą.

Jak w przypadku „The Last of Us", w której Ellie jest zwykłą, przeciętną dziewczyną?
– Dokładnie. I wydaje mi się, że to jest kierunek, w którym warto iść. ●

FOT. PRZEMYSŁAW JENDROSKA

Magdalena Kucenty

• jak sama o sobie pisze: „magister inżynier telekomunikacji z wykształcenia, pisarka z wewnętrznej potrzeby". Autorka licznych opowiadań fantastycznych oraz książki „Zodiaki. Genokracja". Była trzykrotnie nominowana do nagrody im. Janusza A. Zajdla. Przed laty porzuciła karierę administratora IT, by zostać pisarką w branży gier. Współpracowała m.in. z CD Projekt Red i 11 bit studios. Napisała scenariusz do gry na podstawie „Niezwyciężonego" Stanisława Lema w studiu Starward Industries, za który studio otrzymało Paszport Polityki.

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

FOT. DEBROCKE/CLASSICSTOCK/GETTY IMAGES

Żona zdejmuje pudrowy róż

Czy to, że dbam o dom, męża i dzieci, oznacza, że jestem mniej wartościowym człowiekiem?

Iwona Görke

Kura domowa, matka Polka – wylicza 27-letnia Daria. To określenia, których ludzie używają, gdy mówią o kobietach wychowujących dzieci i zajmujących się domem. – To nie są pozytywne określenia. Rola mamy, żony i gospodyni domowej powinna być doceniana. Tak jak każda inna praca – uważa.

Daria czuje się feministką. – Nie jestem ani pijawką, ani biedną dziewczyną, która nie wie, co robi. Świadomie i mądrze wybrałam tę drogę – mówi. – Każdej kobiecie życzę tego, by miała wybór. Kobiety o to walczyły. Ja z tej możliwości skorzystałam. Zostałam w domu – podsumowuje 27-latka.

Określa siebie mianem „trad wife”. Takiego hasztagu używa przy swoich postach na Instagramie. „Trad” to skrót od angielskiego słowa „traditional”. „Wife” oznacza żonę.

– Dziewczyny często nie chcą opowiadać o sobie, tłumaczyć się – mówi, odnosząc się do tego, co chwilę wcześniej powiedziałam jej ja, czyli że trudno namówić kobiety zajmujące się dziećmi oraz domem, by opowiedziały o swoim życiu.

Z zawodu matka?

Instagramerki określające się tym mianem nie chcą rozmawiać z dziennikarką „Wyborczej”.

Szukam bohaterek wśród znajomych. Od jednej słyszę, że jej koleżanki skracają nawet urlopy macierzyńskie, by szybciej wrócić do pracy. Inna mówi: – Moja szwagierka nie pracuje, zajmuje się dziećmi, ale nie powie o sobie „tradycyjna żona”.

Podobne zdanie słyszę kilka razy. – Mam koleżanki zajmujące się domem i dziećmi, ale one takiej drogi raczej same nie wybrały i z pewnością żadna z nich nie pozwoliłaby o sobie powiedzieć „żona tradycyjna” albo „z zawodu matka” – stwierdza inna znajoma.

Inna relacjonuje: – Zapytałam sąsiadki, czy nie chciałaby z tobą porozmawiać, ale ona powiedziała, że najpierw musi męża zapytać.

Wiję gniazdo

Daria zwraca uwagę na pojemność formułki „tradycyjna żona”. – Ile osób, tyle może być znaczeń – uważa. – Dla mnie tradycyjna żona, taka, którą jestem ja, traktuje priorytetowo męża i dziecko, rodzinę, którą tworzy. Spełnia się jako mama, żona i gospodyni domowa.

Nie wspomina o wierze w Boga czy patriotyzmie. Chociaż, jak przyznaje, te wartości obecne są w jej życiu. – Ale priorytetem jest dobro rodziny – powtarza.

Co jakiś czas spogląda w bok, na kamerkę ustawioną w pokoju dziecięcym. Sprawdza, czy siedmiomiesięczna córka śpi.
– Sześć lat temu, gdy wchodziłam w związek partnerski z moim mężem, pracowaliśmy oboje. Miałam fioła na punkcie kariery! O dzieciach nie myślałam wcale, a jeżeli już, to że nie chcę ich mieć – przyznaje.

Ale, jak to w życiu bywa, ludzie oraz priorytety się zmieniają. Młodzi uznali, że chcą założyć rodzinę.

Daria zrezygnowała z pracy, która nie dawała jej satysfakcji. Szukała innej. Zatrudniła się na pół etatu. Częściej była w domu.

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Mogła zadbać o „swoje cztery ściany". Mąż docenił wysiłki żony. Gdy wracał z pracy, mógł spędzić z nią spokojnie czas.

Zmniejszyła wymiar etatu, aż ostatecznie z niego zrezygnowała. Założyła małą działalność, by dorobić do domowego budżetu i wypełnić czas wolny. – No bo nie mając dzieci, ile można sprzątać to samo czyste miejsce? – śmieje się.

Firmę zamknęła, gdy zaszła w ciążę. To była wspólna decyzja małżeństwa. Skupiła się na sobie, mężu, domu, na tym, że niebawem zostanie mamą. – Wiłam gniazdko – uśmiecha się.

Mój dom to nie klatka

– Niektórzy myślą, że trad wife, skoro nie chodzi do pracy, jest zamknięta w domu, jak w klatce, nie ma kontaktu z innymi ludźmi – relacjonuje. Ma więcej satysfakcjonujących kontaktów towarzyskich niż wtedy, gdy pracowała. – W pracy nie ma możliwości wejścia w głębszą relację przyjacielską. Nie ma czasu na rozmowy od serca – tłumaczy.

Znajomości, które nawiązała w pracy, miały szansę rozwinąć się poza nią. Byłe klientki, dziś koleżanki, wpadają do Darii na kawę.

Zna swoich sąsiadów. Nie tylko z widzenia. Ma czas, by porozmawiać czy odwiedzić ich w domu. Spacery z przyjacielską sześcioletnią suczką również poszerzają grono znajomych.

Są jeszcze koleżanki z internetu. Inne trad wives. – Dzięki temu hasztagowi możemy się odnaleźć, porozmawiać i wesprzeć. Może to głupio zabrzmi, ale ostatnio, jak córka nie spała w nocy, a mi było z tym trudno, nagrałam filmik na ten temat. Dodałam na mój profil, odezwały się do mnie inne mamy, mogłam liczyć na ich wsparcie – wspomina Daria. To dla niej wiele znaczy. Gdy niebawem na stałe wróci z Niemiec do Polski, spotka się z innymi trad wives.

Mąż to nie książę

Daria wspomina o stereotypie, z którym jako tradycyjna żona musi się mierzyć. – Ludzie myślą, że nasi mężowie nic w domu nie robią. Nie mają żadnych obowiązków. To nieprawda. Staram się, by tych obowiązków mąż nie miał wiele, właśnie po to, byśmy po jego pracy mogli spędzić czas z córką czy we dwoje, gdy ona zaśnie. Czasem są takie dni, że się z czymś nie wyrobię. Mąż wtedy bierze córkę, zajmuje się nią, ja kończę to, co mam do zrobienia. Gdy ona już śpi, on mi pomaga. Jak widzi, że jest coś do zrobienia, to nie będzie tego ignorował, liczył na to, że ja to zrobię – opowiada Daria.

W jej małżeństwie jest jasny podział obowiązków. Mąż zajmuje się pracą zawodową, rachunkami, samochodem, jest złotą rączką. Ona odpowiada za dom, kwestie związane ze zdrowiem, terminami w urzędach i u lekarzy. Córką zajmują się oboje. – Obowiązków mamy po równo, tylko one są po prostu różne – zapewnia. Podział zadań, na który umówiła się z mężem, odpowiada jej.

Chce, by córka miała rodzeństwo. Na to przyjdzie czas. Być może czas przyjdzie także i na to, by Daria wróciła do pracy, chociaż na część etatu, gdy dzieci będą większe? Nie wyklucza, że kiedyś będzie trzeba wesprzeć domowy budżet. Jakkolwiek jednak by było, wciąż będą tworzyć tradycyjny model rodziny. – W nim mąż jest głową rodziny – przypomina.

– Moja babcia często powtarzała, że mąż jest głową rodziny, ale to kobieta jest szyją, która głową kręci – mówię.

– Można powiedzieć, że kobieta jest podparciem głowy męża, prawda? W pewnych kwestiach muszą się oboje dogadywać, iść na kompromisy, ale także szanować swoje zdanie. Ważne, by potrafili ze sobą rozmawiać, dojść do czegoś razem. My z mężem nie we wszystkim się zgadzamy. Zawsze próbujemy znaleźć kompromis. Gdy to się nie udaje – zdaję się na niego. On myśli bardziej realistycznie, ja jestem bardzo emocjonalna.

Przy każdym artykule poświęconym trad wives dużo miejsca poświęca się kwestiom finansowym. Temu, że gdy kobieta nie zarabia, jest zależna od męża, co może prowadzić do przemocy ekonomicznej. W przestrzeni internetu komentujący często nazywają trad wives leniwymi czy pasożytami. Darię to boli. – Czy ktoś mnie kiedykolwiek zapytał, czy inwestujemy w cokolwiek? Czy mąż odkłada składki na emeryturę dla mnie? Czy mamy jakieś zabezpieczenie finansowe? Nie. Za to słyszę, że będę żerować na państwie czy że jestem leniem – wspomina kobieta.

Ma własne konto bankowe, na które mąż regularnie przelewa pieniądze. Nie są to ustalone, konkretne kwoty. Zależne są od tego, co w danym miesiącu rodzina zamierza kupić, czego potrzebuje. – Zarządzam finansami w zakresie tego, co jest potrzebne do domu, dla dziecka, dla mnie, a w niektórych kwestiach także dla męża – opowiada. Na swoje potrzeby ma pieniądze.

– Kwota nie jest z góry określona. Po prostu jeśli czegoś potrzebuję, to to kupuję. Mąż mnie z tego nie rozlicza ani o to nie pyta. Jedynie większe wydatki, takie jak np. nowy zestaw garnków czy zakup czegoś droższego, co nie jest niezbędne, konsultuję z nim – Daria zaznacza, że oboje z mężem wiedzą, jakimi funduszami dysponują. – Finanse są u nas kwestią jawną, a każdy z nas zna potrzeby drugiej strony.

Przypomina: – Praca w domu też jest pracą. Wcale nie taką lekką, bo w zasadzie się z niej nie wychodzi. Nieraz jestem po niej bardziej zmęczona niż po tej, do której kiedyś chodziłam.

Nie muszę Darii pytać o to, co w momencie, gdy mąż zechce ją z tej pracy zwolnić. Rozstać się. Sama o tym mówi, przywołując rozmowę z koleżanką, którą odbyła blisko rok po swoim ślubie. – Powiedziałam jej, że gdyby wchodziła w związek małżeński z taką myślą, że to tylko na jakiś czas, to po co to wszystko? Męża wzięłam na całe życie. Może to brzmi naiwnie, bo w życiu różnie bywa, ale ja naprawdę w to wierzę – mówi.

Uważa, że podział ról w jej małżeństwie sprzyja zadbaniu o relację.

Umowa między partnerami

– Nie widzę nic złego w układzie, w którym mężczyzna pracuje zawodowo, zarabia pieniądze, a kobieta zajmuje się domem oraz wychowaniem dzieci. Para może się na taki model funkcjonowania rodziny umówić – przypomina Marta Majorczyk, pedagożka i doradczyni rodzinna z poradni psychologicznej przy USWPS. Zwraca jednak uwagę, że niektóre pary świadomie decydują się na taki układ, u innych wychodzi to przypadkowo albo okazuje się, że nie ma innego wyjścia, bo np. mężczyzna pochodzi z kultury, która nie dopuszcza kobiet do pracy zawodowej.

Dodaje: – W naszym kręgu kulturowym kobiety pracują zawodowo. To jest powszechne. Tak samo, jak niezależność finansowa kobiet, rozwój kariery zawodowej czy dbałość o swoją przyszłość. Panie określające siebie jako trad wife idą w innym kierunku.

Zastanowić się można, dlaczego kogoś uwierać ma to, jakie życie wiedzie często kompletnie obca osoba. Zdaniem pedagożki wynika to z chęci układania życia innym ludziom. Zwraca też uwagę, że kobiety, które zdecydowały się poświęcić rodzinie, mogły zakończyć odwieczny konflikt między rolami społecznymi – rolą zawodową oraz rolą matki. W grę może wchodzić zwykła ludzka zazdrość. – Pani zajmująca się dziećmi i domem wybrała sobie takie życie, które być może inna chciałaby wieść, ale nie może sobie na nie pozwolić – mówi.

FOT. FIREFLY

Presja ekonomiczna

– Jeżeli para umawia się na to, że mężczyzna pracuje, a kobieta zostaje w domu z dziećmi i tym domem oraz potomstwem się zajmuje, to w porządku. W moim małżeństwie tak po prostu wyszło – mówi blisko czterdziestoletni Adam.

Po ślubie małżeństwo zamieszkało z rodzicami żony. Wkrótce jej ojciec zaczął chorować. Partnerka Adama pomagała w opiece matce. A niebawem zaszła w ciążę. Ojciec zmarł. Żona Adama urodziła pierwsze dziecko. Niedługo później drugie. Gdy dzieci poszły do przedszkola, mogła zacząć poszukiwania pracy.

– Ale tego nie zrobiła – wzdycha Adam. Gdy wspominał, że przydałoby się im więcej pieniędzy, oburzała się i obrażała. Adam nie zarabia kokosów. Jest nauczycielem. Chciał wyprowadzić się od teściów, a później teściowej, ale jedna pensja na to nie wystarczała. No i żona nie przejawiała takich chęci.

Właśnie się rozwodzą. Długo dojrzewał do tej decyzji. Bo dzieci, bo wiara, a małżeństwo miało być na zawsze. Tak też mówili księża, do których udawał się po pomoc i rady. Pojawiają się problemy? Nie ma takich, których siłą węzła małżeńskiego nie można przezwyciężyć. Jednak nie wszystkie da się przezwyciężyć.

– I nie chodzi tu tylko o to, że żona nie pracowała i nie chciała nawet pracy szukać – zastrzega Adam. Choć to nie pomogło w ich relacji.

Adam trafił w końcu na sensownego duchownego. I dobrego terapeutę. Stara się ułożyć sobie życie bez żony. Dba o dzieci.

Ufryzowana, pięknie ubrana

– Trad wife jest estetyką opartą na pewnej fantazji, która nie ma oparcia w rzeczywistości historycznej naszego kraju – uważa Paulina Januszewska, dziennikarka Krytyki Politycznej. Trend ten wiąże się z nostalgicznym powrotem do USA lat 50. ubiegłego wieku. – Dobrych, starych, mitycznych czasów, gdy role mężczyzny oraz kobiety miały być jasno określone. To był też czas silniejszego niż dziś państwa dobrobytu. Na rodzinę mógł zarabiać jedynie mężczyzna – precyzuje Januszewska. Tylko że – jak przypomina – ta dobra sytuacja dotyczyła głównie zamożnych białych osób.

„Trad wife", kontynuuje dziennikarka, jest odpowiedzią na złożoność współczesnego świata oraz liczne kryzysy, z którymi się zmagamy. Podatny grunt, by rozkwitnąć. Januszewska nie uważa, by w Polsce zjawisko to się nasiliło. Nie ta ekonomia. – „Trad wife" pokazuje pewien model życia ludzi uprzywilejowanych ekonomicznie, czyli po prostu rodziny, w której mężczyzna może zarabiać na dom, a kobieta – wychowywać dzieci, a przy tym pozwolić sobie na ładne stroje czy drogie gadżety kuchenne.

Te amerykańskie czy brytyjskie trad wives, po tym gdy zdobyły grono obserwujących, zbudowały społeczność, w zasadzie rozpoczęły pracę. – Estetyka trad wife wykorzystywana jest przez świat influencer marketingu – zauważa Januszewska. Instagramerki piszą poradniki, książki, tworzą kolekcje odzieży czy sprzętów AGD. Jedna z nich otworzyła nawet szkołę dobrych manier.

Idealnie wysprzątane domy, sielskie krajobrazy, zwiewne sukienki, uśmiechnięte dzieci to częsty widok treści ometkowanych jako „trad wife". One, uważa Marta Majorczyk, mogą frustrować inne mamy. – Starsze osoby, bardziej doświadczone czy refleksyjne, zdają sobie sprawę z kreacji, z tego, że idealny świat nie istnieje. Natomiast osoby młode, młode matki będą widziały takie obrazki, w które będą wierzyły, a to będzie powodowało i potęgowało frustrację – zwraca uwagę pedagożka.

Liberalny feminizm zawiódł kobiety

– Feminizm nie jest o tym, że trzeba porzucić rodzinę i pójść pracować. Feminizm jest o realnym wyborze – przypomina Paulina Januszewska. Wybór ten jednak nie może oznaczać aprobaty dla ruchów mizoginistycznych, homofobicznych czy rasistowskich. Bo feminizm może i jest o wyborze, ale także o równości.

To, jakich wyborów mogą dokonywać kobiety, zależne jest od pochodzenia, wykształcenia, koloru skóry, tego, w jakiej klasie społecznej czy ekonomicznej się znajdują. – Feminizm liberalny zachęcał kobiety do robienia karier, wspinania się po szczeblach firm czy instytucji, do przebijania szklanych sufitów. To jest oczywiście potrzebne. Ale ten nurt feminizmu za bardzo skupił się na rozwijaniu przywileju tych kobiet, które już go miały – uważa dziennikarka.

Feminizm liberalny, dodaje, mógł zawieść wiele pokoleń kobiet. Także tych młodych, które pamiętają poświęcenie swoich matek pracujących na dwa etaty, zawodowo oraz w domu, niemających dla nich czasu, zmęczonych i sfrustrowanych.

– Są pewnie kobiety, które patrząc na najbardziej widoczny w mainstreamie feminizm liberalny, myślą sobie, że ktoś im coś chce narzucić. Na przykład konieczność podjęcia pracy zawodowej, nie zdając sobie sprawy z tego, że problem leży gdzie indziej: w kapitalizmie.

I przypomina o tym, że w kręgu zainteresowań feminizmu znajdują się wszystkie kobiety, w tym matki wykonujące nieodpłatną pracę reprodukcyjną, opiekuńczą, emocjonalną i domową. – Ruchy konserwatywne nie nazywają tego pracą, któ-

eprasa.pl 817e671fa2

ra ma wartość, tylko „naturalną" powinnością kobiet.

Ładnie wyglądam dla swojego męża

W systemie wartości trad wife istotne są dzieci, mąż i często Bóg. Tak jest w przypadku instagramerki, której profil przeglądam. Określa siebie jako katoliczkę. W postach znajduje się wiele cytatów nawiązujących do Boga, ale również cnotliwego stroju czy życzliwości. Na profilu dużo jest pomysłów na spędzanie czasu z dziećmi (instagramerka ma ich troje). Poleca także książki warte przeczytania (np. „Niewiasta Wieczna" Gertrud Von Le Fort czy „Godny Strój" Colleen Hammond) i dzieli się pochodzącymi z nich cytatami.

Są i eleganckie stylizacje. Refleksje na temat ciała i ubioru. Jak ta poniższa (pisownia oryginalna):

„Jeżeli kobieta pragnie ładnie wyglądać DLA SWOJEGO MĘŻA, aby sprawić mu przyjemność, wówczas jest to czyn godny pochwały. Święty Tomasz z Akwinu mówi, że kobieta „może używać różnych środków, aby przypodobać się swojemu mężowi". A zatem upiększanie się DLA NIEGO jest w istocie aktem chrześcijańskiej miłości".

Dlaczego definicja „godnego stroju" jest dla mnie tak ważna? Chciałabym pozostawić tu kilka zdań, które mam nadzieję przedstawią moje stanowisko dość zrozumiale.

To co może być przeznaczone DLA MĘŻA (z miłości do niego), nie może być jednocześnie dostępne dla wszystkich. Widok mego ciała, jego kształt i wdzięki mogą być dostępne tylko dla osoby z którą jestem złączona przez Pana Boga nierozerwalnym węzłem małżeńskim. W imię ogromnej miłości do męża zachowuje piękno mego ciała tylko dla niego.

Odkryte w pełnej okazałości nogi, plecy, brzuch, ramiona, dekolt itd – to wszystko nie jest dostępne dla całego świata. Nie chcę aby widok mego odkrytego w pełni ciała był dostępny dla każdego, ponieważ ten skarb jest dostępny tylko dla jednej osoby – którą kocham, której ufam i przy boku której postanowiłam spędzić resztę mojego życia. Ciało jest CENNE – ale to czy bedzie tak postrzegane przez innych oraz czy ty będziesz miała świadomość jego wielkiej wartości zależy od ciebie".

Post ilustruje zdjęcie w lustrze jego autorki. Ma na sobie spódnicę do kolan w kolorze pudrowego różu oraz błękitny sweterek ozdobiony dzierganymi różowymi kwiatami.

Instagramerka wspomina swoje dzieciństwo – w artykule Aleksandry Lewandowskiej dla Wirtualnej Polski – pracujących rodziców i to, że nie zawsze mieli czas dla dzieci. Oboje musieli pracować, by zapewnić rodzinie „godny byt materialny". Miała w rodzinie przykład „idealnej strażniczki domowego ciepła" w postaci ciotki.

– W dzisiejszych czasach bycie gospodynią domową nie jest w pełni akceptowalne przez społeczeństwo. Słyszałam, że „siedzę w domu, bo jestem leniwa", a to z lenistwem nie ma nic wspólnego. Czy to, że dbam o dom, męża i dzieci, oznacza, że jestem mniej wartościowym człowiekiem? – pyta w artykule.

Dba również i o sobie. Rozwija się – uczy języków, czyta, doskonali umiejętności fotograficzne. A fotografie na instagramowym profilu ma piękne, trzeba przyznać.

Instagramerka mówi, że w jej małżeństwie panuje „pełna równość", decyzje podejmują wspólnie, a mąż zawsze liczy się z jej zdaniem. – Zdaję sobie sprawę, że niektóre kobiety, które utożsamiają się z ruchem trad wife, zgadzają się na dominację męża. W przypadku mojego małżeństwa tak nie jest. Myślę, że dla nas byłoby to niezdrowe, możliwe, że nawet toksyczne, gdyby tak wyglądał nasz model rodziny – stwierdza.

Małgorzata Mielcarek, reporterka TVN 24, w reportażu „Trad wife – żona uległa mężowi" o tytułową uległość pyta trzy bohaterki materiału. Dwie z nich przyznają, że to w ich małżeństwie nie występuje. Trzecia najpierw się śmieje, by powiedzieć: – Próbuję. Myślę, że tak, chociaż nadal pracuję nad pewnymi rzeczami, które naturalnie nie są dla mnie bardzo uległe.

Gdy w czymś nie zgadza się ze swoim mężem, rozmawiają, ale to on ostatecznie podejmuje decyzję. I ona, przyznaje, stara się ją zaakceptować. – Wiele razy życie pokazało, że on miał rację. I wracamy do tego, że on jest ode mnie mądrzejszy – konkluduje.

O pieniądze nie muszę prosić

– Mądrzejszy? A co to w ogóle znaczy? Mądrzejszy w czym? Jakie są kryteria? Po co to w ogóle oceniać? – wścieka się Kamila, gdy opowiadam jej o reportażu TVN.

Kamila od 10 lat nie pracuje zawodowo. Nie planowała tego. Kiedy jej dziesięcioletnia córka zachorowała i rozpoczęła leczenie onkologiczne, Kamila z dnia na dzień przerwała pracę. W firmie wszyscy to rozumieli. Wzięła zwolnienie lekarskie, później płatny urlop, ten przerodził się w bezpłatny. Okazało się, że blokuje etat. Z pracodawcą ustalili, że czas rozwiązać umowę. Nie ma o to żalu. Rozumie.

Niejednokrotnie słyszała od koleżanek z pracy sugestie, że „w domu musi być jej źle".

– Zastanawiały się, kiedy wrócę do pracy – wspomina. – W dzisiejszym sfeminizowanym świecie kobieta prawo do wolności postrzega jako dostęp do robienia tego, co mężczyźni. Praca jest nie tylko obowiązkiem, ale też celem, środkiem do osiągnięcia niezależności. Kobiety się kształcą, awansują, zarabiają dobre pieniądze, cieszą się aktywnością zawodową. To sobie same wywalczyłyśmy. Tego też wymaga system – pracujesz, więc jesteś pożyteczna, zapewniasz sobie opiekę państwa.

I często te panie, które żyją inaczej, pracując w i dla domu, archaicznie nazywane „gospodyniami domowymi", są odbierane, jako te, które utknęły. Zmniejsza się ich wartość, odbiera im zdolność samostanowienia, pozycjonując jako pewien margines – mówi. A to może być sytuacja życiowa albo też wybór, taki sam jak wybór kariery zawodowej.

Kamila nie musi prosić o pieniądze. Nigdy nie odczuła, że one jej się nie należą, bo na jej konto nie wpływa wynagrodzenie.

A co, kiedy żona rozstanie się z mężem?

– Zazwyczaj, gdy ludzie się rozstają, dzieci zostają przy matce, ojciec więc musi płacić na nie alimenty. Gdy rozstaje się małżeństwo, w którym kobieta nie pracowała zawodowo, lecz w domu, to jej według prawa też można przyznać alimenty. Bo to, jak rodzina wypracowuje majątek, jest decyzją partnerów, razem oceniają swoje możliwości, status, cele. Umawiają się na to, że jedno z nich pracuje zawodowo, drugie zajmuje się domem oraz dziećmi. Mężczyzna, godząc się na taki układ, musi mieć świadomość, że jego żona ma prawo do realizowania swoich potrzeb. Może potrzebować pieniędzy na swoje osobiste wydatki, ubrania, kosmetyki, usługi, rozwój, jakieś zajęcia czy kulturę. Taki układ to jak kontrakt, obie strony powinny się czuć zabezpieczone. A w życiu? Bywa różnie, o swoje czasami trzeba zawalczyć.

Kamila ma swoje konto. – Ustalamy z mężem bieżące wydatki, w tym mieszczą się moje potrzeby – mówi. -Nie mam kompleksów, że środki na moim koncie to jego praca. Moja praca ma inny charakter, spełniam inną niż zawodową. Uznajemy to oboje, w naszej sytuacji obie prace są ważne – tłumaczy.

Jestem menedżerką mojej rodziny

Kamila pracowała w handlu i usługach. Miała wielu znajomych. Te znajomości zweryfikowało jej odejście z pracy. – Kiedy jesteś długo w domu, przychodzi taki moment, gdy zaczynasz się zastanawiać, kto z twoich starych znajomych jeszcze ma ochotę się z tobą spotkać. Bo o czym można z tobą rozmawiać? Nie pogadamy o podwyżkach, o tym, jak spojrzał na ciebie szef, nie poplotkujemy o nowych szpilkach koleżanki. Wspólne tematy znikają – wzdycha.

Nie czuła jednak nigdy, że przestała być dobrą partnerką do rozmów, że przez „siedzenie w domu" ma mniej do powiedzenia. – Ale wiem, że tak mnie postrzegano – dodaje. – A ja się niewiele zmieniłam. Po prostu przestałam chodzić do pracy! Może oni bali się, że zacznę mówić im o tym innym życiu? O chorobie mojej córki? – zastanawia się.

Córka Kamili pięć lat walczyła z chorobą. Teraz jest w remisji. Kamila chciałaby odciąć pępowinę, by córka mogła się usamodzielnić, ale wciąż towarzyszy jej w walce o sprawność. – Musiałam zdecydować, czy trwam przy córce i ją wspieram, czy ją zostawiam i idę do pracy, goniąc za swoim celem. Tylko co tym moim celem by było? Zarabianie pieniędzy? Córka jest ważniejsza. Uznaliśmy z mężem, że zostaję w domu – wspomina.

> Gdy nie znajdujemy kompromisu, zdaję się na męża. On myśli bardziej realistycznie, ja jestem bardzo emocjonalna

Kamila odpowiada, jak mówi, za organizację życia rodzinnego. Zajmuje się rachunkami, budżetem, pilnuje, by lodówka była pełna, a dom wolny od usterek. Dba o spokój. Komfort. Rodzinną atmosferę. Jej dzieci wiedzą, że zawsze mogą na nią liczyć. W jej rodzinie każdy ma pasje, prywatność, swoje miejsce, ale nie wynika to z hierarchii. – Moją pracą jest mój dom. Pracą moich dzieci jest ich szkoła i pracą mojego męża jest jego firma – tłumaczy.

Zapytana, czym się zajmuje, nie odpowie: niczym, bo kiedy tak mówi, to tak się też czuje.

A praca w domu to nie jest „nic", to etat na okrągło bez urlopu. Mówi: jestem menedżerką mojej rodziny.

Za to nie ma dyplomu

– Może ten czas, który spędzam w domu, mogłam spożytkować inaczej? – zastanawia się. – Nie wiem, gdzie mi ten czas umknął – przyznaje. Trochę żałuje, że nie nauczyła się np. żadnego języka. Ale zaraz dodaje: – Ja się przez te dziesięć lat nie nudziłam ani sekundy!

Gdy córka chorowała, a Kamila towarzyszyła jej w szpitalach, zawsze pakowała dwie walizki. Jedna wypełniona była rzeczami osobistymi, druga – książkami i podręcznikami. Uczyła córkę tego, czego wymaga szkoła. I bardzo dużo czytała. Gdy córka już mogła wychodzić na przepustki z Centrum Zdrowia Dziecka, wsiadały w autobus z papierową mapą i zwiedzały Warszawę. Pozwoliły się sobie gubić, spacerować, oglądać.

W trakcie tego „siedzenia w domu" Kamila zrobiła podyplomówkę z mediacji. Zainteresowała się filozofią Wschodu, zaczęła praktykę jogi. Od kilku lat działa społecznie. Udziela się w akcjach pomocowych, charytatywnych, społecznych, brała udział w ulicznych protestach w obronie praworządności, praw kobiet i osób z niepełnosprawnością. Musiała znaleźć sobie nową pasję i przestrzeń pozwalającą jej doświadczyć innego życia niż to domowe czy szpitalne. – Zawsze coś dobrego i fajnego można zrobić dla siebie i innych. Nie nudzę się, nigdy, nie czuję się bezczynna.

Ale zdarzało jej się poczuć samotną. – Kiedy? Gdy byłam wśród osób, które dużo opowiadały o sobie, o swoich sukcesach, fiksując się na tych zawodowych. Ja wtedy nie mam nic do powiedzenia. Jako jedyna. Nie lubię pytania: czym się zajmujesz, bo wiem, jak nisko wyceniana jest „niepraca" i pozostawanie w domu.

– Możesz wtedy opowiedzieć o działalności charytatywnej czy aktywistycznej – odpowiadam.

– To nie jest honorowane, bo nie przynosi pieniędzy – mówi.

Niedawno zagadnęła swoich bliskich: Słuchajcie, a może bym wróciła do pracy? – Dzieci się zdziwiły. „Po co ci to, mamo? I jak znajdziesz czas na pracę, skoro tak dużo robisz?" – relacjonuje Kamila. W sumie to nawet nie wie, do jakiej pracy miałaby iść. Jak połączyć w niej to wszystko, czego nauczyła się przez ostatnią dekadę? Nastawić się na zarabianie pieniędzy czy rozwój osobisty? Co chciałaby w pracy osiągnąć? Tylko wiek emerytalny? Czy kolejne doświadczenie i kompetencje. Wolałaby to drugie, ale czy to jeszcze możliwe? – zastanawia się. Kto doceni właściwość dobrej organizacji, tempa pracy i wielozadaniowość, jaką wynosi się z zajmowania domem i dziećmi? Za to nie ma dyplomu.

Kamila przez to, że nie ma etatu, czuje pewien rodzaj wolności. – Jestem swobodna – mówi. – Mam nienormowany czas pracy i określone zadania i obowiązki. Sama je ustalam, sama realizuję, dbam o to, bym była z siebie zadowolona i by zadowolona była moja rodzina.

– Tradycyjne żony czerpiące z lat 50. z USA też dbają o to, by ich rodzina była zadowolona. Robią to w pełnym makijażu i na szpilkach – mówię.

– A co to w ogóle znaczy „tradycyjne żony"? – zżyma się. – W Polsce była tradycja harujących kobiet. Moja mama w latach 60. i 70. pracowała zawodowo, bo inaczej rodzinny budżet by się nie spiął. Ganiała po sklepach, by upolować coś do jedzenia, bo kupowaniem i wybieraniem tego nie można nazwać. Pilnowała dzieci, naszej trójki. Dbała o to, żebyśmy mieli buty i fartuchy do szkoły, by nie zabrakło nam zeszytów i książek. Zapewnienie bytu rodzinie było wtedy bardzo trudne.

Dzieci pytano o oceny, o to, dlaczego w dzienniczku pojawiła się uwaga, czy o spóźnienie – wspomina. – W tradycyjnej polskiej rodzinie rodzice nie zaprzątali sobie głowy kondycją psychiczną swoich dzieci.

Tradycyjny model rodziny wywołuje u niej gęsią skórkę. – Zaraz kojarzy mi się z Kościołem katolickim, posłuszeństwem, biernością, gotowością kobiety na spełnianie potrzeb, oczekiwań i rozkazów mężczyzny, ograniczeniami – wyjaśnia. – Co w takim układzie może kobieta? Ile ma do powiedzenia? Gdzie są jej potrzeby? Intelekt? Duchowość? Cielesność? Wszystko w ofierze na ołtarzu konserwatywnej tradycyjnej rodziny?

Ona w takim modelu by się nie odnalazła. Ważna dla niej jest wolność i autentyczność. Partnerstwo. Otwartość i tolerancja. Stawienie granic, określanie swoich potrzeb i głód życia, ale nie posłuszeństwo, które kojarzy jej się z podrzędnością, formą ucywilizowanego niewolnictwa. Co jeszcze? Akceptacja i autonomia. Szacunek i miłość. Na tym chce budować rodzinę.

– Mam udane małżeństwo, udaną rodzinę, udane życie. Nie ma ideałów, a życie nie jest łatwe. Mamy tyle tego dobrostanu, ile go sobie stworzymy – tłumaczy. ●

eprasa.pl 817e671fa2

POLITYKA

Dlaczego głowa państwa ziewa

Wszyscy prezydenci po dwóch latach zaczynają jeździć na nartach, dmuchają kraba na plaży, jeżdżą co tydzień do Juraty, grają w tenisa, organizują imprezy dla kolegów w Pałacu Prezydenckim, sporo piją. Bo co innego mają robić?

Z **DOMINIKĄ DŁUGOSZ,** AUTORKĄ KSIĄŻKI „TAJEMNICE PAŁACU PREZYDENCKIEGO" ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

1

Kilka miesięcy morderczej kampanii, ponad 10 mln głosów, wielkie ambicje i plany. Co czuje polityk, który wygrywa wybory i przekracza próg Pałacu Prezydenckiego?
– Na pewno ekscytację. Przez kilkanaście tygodni wszyscy najbliżsi współpracownicy przekonywali go, że jest najlepszy na świecie, a ludzie, którzy pojawiali się na wiecach wyborczych, byli w niego zapatrzeni. Taki polityk dostaje miliony głosów, czyli o wiele więcej niż wszyscy polityczni liderzy zasiadający w Sejmie. Wydaje mu się więc, że prezydent jest najważniejszy i może od teraz rozdawać karty.

Ale tak się nie dzieje.
– Nie, ponieważ słyszy od Leszka Millera, Donalda Tuska lub Jarosława Kaczyńskiego, że tylko dzięki ich osobistej decyzji stał się prezydentem. Ta informacja jest niczym kubeł zimnej wody.

Jednocześnie nowy prezydent zderza się z aparatem partyjnym, który z dnia na dzień przestaje go szanować. Bo z punktu widzenia partii na kandydata trzeba chuchać i dmuchać, ale prezydent jest od tego, żeby podpisywać każdą ustawę, która trafi na jego biurko i przyjmować gości zagranicznych, a poza tym nie przeszkadzać w rządzeniu.

Pamiętaj, że prezydent w naszym ustroju politycznym nie ma zbyt wiele władzy. Albo inaczej: ma jej na tyle mało, że nie może kreować własnej polityki, ale na tyle dużo, że może sparaliżować pracę państwa, jeśli zdecyduje się wetować każdy projekt ustawy wychodzący z Sejmu.

Jeśli jednak prezydent idzie na wojnę z rządem, to zawsze na tym przegrywa, ponieważ w oczach opinii publicznej wychodzi na małostkowego gościa, który czepia się o szczegóły.

Spójrz na ostatnie awantury o nominacje ambasadorów: Andrzej Duda nie jest w stanie zgodzić się na wysłanie Bogdana Klicha do Waszyngtonu i mamy tam kierownika ambasady w sytuacji zaostrzającego się kryzysu na linii Unia Europejska-USA. Kto jest temu winien? Oczywiście prezydent.

Czyli polscy prezydenci są sfrustrowani?
– Tak, bez dwóch zdań. Widać to szczególnie mocno gdzieś mniej więcej od połowy kadencji. Wszyscy prezydenci po dwóch latach od wyborów zaczynają jeździć na nartach, dmuchają kraba na plaży, jeżdżą co tydzień do Juraty, gdzie znajduje się prezydencki ośrodek wypoczynkowy, grają w tenisa, organizują imprezy dla kolegów w Pałacu Prezydenckim, sporo piją.

Bo co innego mają robić? Z całej władzy zostaje im przyjmowanie innych głów państwa, co jest niezwykle istotne, jeśli ma się pomysł na kształtowanie polityki zagranicznej i wspieranie w tym rządu.

Który z prezydentów najlepiej radził sobie z tą marginalizacją?
– Aleksander Kwaśniewski. Kiedy opuszczał Pałac, był spełnionym politykiem, który cieszył się 60-procentowym poparciem społeczeństwa. Miał 51 lat, czyli był tylko o rok młodszy ode mnie, miał całe życie przed sobą.

Od razu dodajmy, że przez 36 lat wolnej Polski nie zdołaliśmy wymyślić, co mają robić prezydenci na emeryturze, szczególnie jeśli zdobywają władzę jako młodzi, 40-letni ludzie. Mają startować do Sejmu i siedzieć w trzecim rzędzie za posłami, którzy jeszcze niedawno człowieka podziwiali?

Prezydenci uciekają w alkohol?
– Jest z tym różnie. Jestem ostatnią osobą, która powiedziałaby, że wszyscy nasi prezydenci chlali na umór, bo to nie jest prawda.

A który pił więcej niż pozostali?
– Lech Kaczyński, ale tylko dlatego, że po prostu lubił czerwone wino. Prezydent pił je do każdego posiłku. Ale czy można powiedzieć, że miał problem z alkoholem? W moim przekonaniu nie, choć spotkasz wiele innych opinii, szczególnie rozpowszechnionych wśród dziennikarzy. Wiemy jednak, że każdemu, kto go odwiedzał w Pałacu Prezydenckim, proponował kawę, herbatę lub wino, co można ocenić jako swoisty model gościnności.

Z kolei Aleksander Kwaśniewski miał potwornie słabą głowę, co powodowało liczne komplikacje. Upił się – z pomocą abp Sławoja Głódzia – w trakcie swojej wizyty w Ukrainie, co media ukrywały przez wiele tygodni.

Jednocześnie wielu pracowników Kancelarii Prezydenta zwracało mi uwagę, że alkohol pojawia się w Pałacu w trakcie podróży zagranicznych non stop. Prezydent, przebywając za granicą, od samego rana wszędzie, na każdym kroku jest częstowany lampką szampana. Jeden z fotografów opowiadał mi, że w trakcie każdej takiej wizyty miał o godzinie 13 same ujęcia prezydenta trzymającego kieliszek w dłoni.

Kancelarie sporo wydają na alkohol?
– Najmniej wydaje Andrzej Duda, który nie przepada za alkoholem. Od czasu do czasu pije piwo. Za czasów Kaczyńskiego była słynna afera z małpkami, które kupowano w hurtowych ilościach na fakturę. Nie były jednak zamawiane dla prezydenta, tylko dla jego współpracowników.

3

eprasa.pl 817e671fa2

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK / AGENCJA WYBORCZA.PL SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (2), PIOTR MECIK/SE/EAST NEWS

1 • Lech Wałęsa na święcie bacowskim, Polana Tarasówka k. Małego Cichego. (30.04.1995) W wyborach w 1990 roku głosowali na niego wszyscy okoliczni mieszkańcy.

2 • Bronisław Komorowski na wakacjach na działce w Budzie Ruskiej na Podlasiu. W czasie sprawowania urzędu nie mieszkał w pałacu prezydenckim, ale w Belwederze.

3 • Lech i Maria Kaczyńscy na spotkaniu z dziećmi z domów dziecka w ogrodach pałacu prezydenckiego. (31.05 .2006) Pozują z psem Śliniakiem z serialu „Rodzina zastępcza”.

4 • Aleksander i Jolanta Kwaśniewscy. Nasza najbardziej stylowa para prezydencka. Świetnie umieli się odnaleźć także w życiu „popałacowym”.

I Andrzej Duda nie organizuje imprez dla znajomych w Pałacu?
– Najlepsi przyjaciele są razem z nim w Pałacu. Mówię o Wojciechu Kolarskim i Marcinie Mastalerku. Więcej przyjaciół nie ma, bo albo się z nimi rozstał, jak z Marcinem Kędryną, który towarzyszył mu jako asystent w europarlamencie, był jedną z ważniejszych osób w sztabie kampani w 2015 r., potem ogarniał mu prezydenckie biuro prasowe – albo wcześniej na drodze politycznej ich zdradził na tyle mocno, że kiedy wchodził do Pałacu, to nie miał ich przy sobie zbyt wielu. Robi imprezy dla posłów PiS, którzy czasem tam przychodzą, ale to raczej spotkania świąteczne w szerszym gronie. Duże imprezy bywają w Wiśle i Juracie.

Do Pałacu Prezydenckiego wraz z prezydentem sprowadza się jego rodzina. Jak w nowej sytuacji odnajdują się pierwsze małżonki?
– Źle. Agata Kornhauser-Duda w ogóle nie potrafiła i nie chciała się odnaleźć. Przez niemal rok mieszkała wciąż w Krakowie i próbowała dalej pracować jako nauczycielka niemieckiego, ale to było niemożliwe. Potem chyba się z tym pogodziła i w pewien sposób odnalazła w tym uporczywym milczeniu.

Żadna z pierwszych dam nie znalazła formuły na tę dostojną funkcję. Najbliżej była Jolanta Kwaśniewska, która tak naprawdę zarysowała ramy tego, jak w społecznym odbiorze może funkcjonować pierwsza dama i otworzyła prezydenturę na masową popkulturę w czasach przed socjal mediami. Pojawiła się z mężem na okładkach kolorowych magazynów, prowadziła fundację, angażowała się charytatywnie, choć wpłaty pochodzące od spółek skarbu państwa były powszechnie – słusznie! – krytykowane.

Kwaśniewska pokazał siebie w pałacu i życie, jakie tam prowadzi wraz z rodziną. Bez wątpienia zbudowała wizerunek rodziny królewskiej w polskim wydaniu: z mężem pielęgnowali celebrę, rytuały, wyśmienicie się ubierali, a jednocześnie śpiewali kolędy i byli swojscy. A ich odejście z Pałacu było majstersztykiem: wystąpili wspólnie w orędziu telewizyjnym, a odchodząc, trzymali się objęci i szli korytarzem. Mistrzowskie kadry.

Ale początek nie był łatwy. Ona nie miała nikogo od protokołu, pożyczała sukienki od rodziny, występowała w dziwacznych fryzurach, nie miała własnego sekretariatu, nikogo, kto mógłby odpowiadać na listy. Nikt jej nie mówił, na co może sobie pozwolić w trakcie spotkania z innymi pierwszymi damami. Jolanta Kwaśniewska musiała sobie to wszystko zbudować. A jeszcze pamiętaj, że wraz z pierwszą parą w Pałacu zamieszkała ich córka, Aleksandra, która chodziła do liceum, a potem studiowała. I często zapraszała znajomych do siebie.

Do Marii Kaczyńskiej nabrałam sporo sympatii, pisząc książkę. Zdałam sobie sprawę, że była najcieplejszą pierwszą damą, szczególnie w kontekście rozedrganego męża i bałaganu, jaki panował wtedy w Kancelarii Prezydenta. Miała też pomysł na siebie. Słynne spotkanie z dziennikarkami, w trakcie którego skrytykowała plany zaostrzenia prawa antyaborcyjnego, dotyczyło też innych spraw – społecznych, politycznych, ekonomicznych. Maria Kaczyńska była ciekawa, jak radzą sobie samotne matki, rozmawiała o problemie bezrobocia wśród kobiet. Chciała zaistnieć jako pierwsza dama, która wspiera kobiety, zależało jej na równości.

Spójrz na tegorocznych kandydatów i ich żony. Rafał Trzaskowski ma 52 lata, Karol Nawrocki nieco ponad 40, Mentzen ma 38 lat. Wszyscy są młodzi, mają młode żony. A one gdzieś pracują, mają swoje życie zawodowe, które po przeprowadzce do Pałacu Prezydenckiego muszą na 5 lub 10 lat zawiesić, a może i porzucić na zawsze. Przez te lata nie dostają pensji, a dopiero od niedawna państwo opłaca im składki emerytalne i zdrowotne.

Jolanta Kwaśniewska miała firmę, agencję nieruchomości, w której zarabiała więcej od męża. Na samym początku prezydentury próbowała ją prowadzić, co mogło wywoływać pewne komplikacje. Bo każdy, kto skorzystałby z jej usług, mógłby liczyć w ich mniemaniu na przychylne oko „męża Jolanty”.

Jeśli pani prezydentowa byłaby lekarką czy stomatologiem, to wszyscy zaczęliby leczyć u niej zęby. Więc żona prezydenta nie może pracować

Czy pierwsze pary w Pałacu Prezydenckim mogą liczyć na prywatność?
– Absolutnie nie. Nie rozumiem uporu z mieszkaniem w Pałacu Prezydenckim. Komorowscy mieszkali w Belwederze, który jest nieco większym pałacykiem, gdzie – co istotne – nie ma urzędników i można mieć namiastkę domu. Nikt się tam nie plącze, Służba Ochrony Państwa jest oczywiście, bo musi, ale nie ma ministrów, sekretarek i całej obsługi, która jest w Pałacu. I nie pracujesz z domu, tylko rano jedziesz do biura, czyli do Pałacu na Krakowskie Przedmieście. A mieszkając w tym drugim, budzisz się rano, ubierasz i schodzisz piętro niżej do pracy. To niezdrowe, gdy – co wiemy choćby z czasów z pandemii – zaciera się granica między domem a biurem.

A to było dużym problemem Lecha Kaczyńskiego, któremu się wydawało, że jest cały czas w domu i późno wracał do apartamentów prezydenckich. Zdarzało się, że Maria Kaczyńska schodziła na

eprasa.pl 817e671fa2

dół, przerywała spotkanie Lecha z urzędnikami i ściągała go do mieszkania. Kaczyńscy usunęli też ochroniarza sprzed sypialni. Do tamtego czasu BOR-owcy pilnowali drzwi do apartamentów, więc nie dało się nawet porządnie pokłócić czy głośniej porozmawiać.

Jak wygląda apartament?
– To normalne, bardzo duże mieszkanie, ale bez balkonu. Żeby zejść do ogrodów, które są przepiękne, trzeba pokonać dziesiątki schodów, przejść przez cały pałac. Apartamenty prezydenckie są na ostatnim piętrze Pałacu, jest tam duża sypialnia, dwie sypialnie gościnne z osobnymi łazienkami, prywatny gabinet prezydenta, kuchnia i balkonik wychodzący na Salę Kolumnową, którą znamy wszyscy z transmisji telewizyjnych. Tam odbywają się najważniejsze wydarzenia z udziałem głowy państwa.

Na balkonik wyszła w trakcie wizyty królowej Elżbiety II córka państwa Kwaśniewskich. Jolanta poprosiła ją, żeby się ubrała i zeszła na dół, bo królowa chciała ją poznać.

Andrzej Duda i Agata Kornhauser-Duda są zgodnym małżeństwem?
– Bardzo trudny był chyba dla nich ten pierwszy rok, kiedy ona wciąż mieszkała w Krakowie. Wtedy pojawiły się plotki o nocnych twitterowych rozmowach prezydenta z kobietami, on też chyba nie do końca mógł się odnaleźć w nowym miejscu. Był strasznie spięty. Łatwo w takich okolicznościach o konflikty. Podobno pomogły weekendowe wyjazdy do prezydenckiej willi w Promniku i wakacje w Juracie.

Sporo uwagi w książce poświęcasz dworom, jakie tworzą się wokół prezydenta. Który był najbardziej rozbudowany?
– Otoczenie Lecha Kaczyńskiego było rozbudowane, skonfliktowane i złożone głównie z kobiet. A prezydent był kompletnie nieodporny na damskie emocje, co najpewniej wynikało z silnej pozycji jego matki. Kobiety pracujące z Kaczyńskim utrzymywały cały Pałac w lekkim niepokoju i rozedrganiu.

Dwór Kwaśniewskiego, niezwykle skonsolidowany wokół prezydenta, zaczął się sypać, ludzie odchodzili, bo poczuli, że Kwaśniewski się kończy i przeszli na stronę rosnącego w siłę premiera Leszka Millera.

A dwór Dudy jest zbieraniną przypadkowych osób, które myślą tylko i wyłącznie o własnej karierze, własnych interesach i przyszłej pracy, którą chcą sobie załatwić dzięki pracy z prezydentem. Jedni jadą na placówkę dyplomatyczną, inni lądowali w spółkach skarbu państwa. Mam głębokie poczucie, że gdyby Marcin Mastalerek był od samego początku z Dudą, to jego prezydentura wyglądałaby inaczej. On rozumie politykę, czego nie można zarzucić obecnemu prezydentowi.

Każdy z dworów miał postać centralną. U Kwaśniewskiego to był Marek Ungier, z którym prezydent znał się jeszcze z PRL, z czasów działalności w młodzieżowo-studenckich przybudówkach PZPR i w państwowym sporcie. Ungier spinał wszystkie interesy prezydenta. Wałęsa miał przezywanego „kapciowym" Mieczysława Wachowskiego, który był jego kierowcą i kimś na kształt asystenta w karnawale „Solidarności" i ponownie wypłynął po Okrągłym Stole, stając się szarą eminencją. Kaczyński miał Małgorzatę Bochenek, byłą dziennikarkę, która się do niego zbliżyła, pracując w warszawskim ratuszu, kiedy był prezydentem Warszawy. A Komorowski – ministra Jacka Michałowskiego, z którym kolegował się od czasów PRL, gdy obaj działali w opozycji i w środowisku katolików „otwartych".

Frustracja, osamotnienie, alkohol, skonfliktowany dwór – czy ta cała atmosfera sprzyja romansom?
– Tak. Wyobraź sobie, że przez 5 lub 10 lat przebywasz w tym samym otoczeniu, w tej samej pracy, z tymi samymi ludźmi, a jesteś nadal młodym mężczyzną. Więc szukasz akceptacji czy poklasku, uwagi od kobiet. Prezydenci szukają takich relacji. Nie wiem, czy można mówić o fali romansów, nie każdy z prezydentów miał seksualne kontakty z kobietami poza swoją żoną, ale chcą mieć wokół siebie kobiety, które go podziwiają.

Czy ktoś w ogóle zastanawiał się przed 1997 rokiem, kiedy przyjęto obowiązującą dzisiaj konstytucję, kim ma być prezydent RP? Zdaję sobie sprawę, że wprowadzono wiele bezpieczników i ograniczono mocno kompetencje głowy państwa po pięciu latach prezydentury Wałęsy, który, przyzwyczajony do roli związkowego lidera i po prostu przywódcy, nie do końca rozumiał albo nie chciał rozumieć ideę trójpodziału władz. Ale czy nie popełniono błędu?
– Powiem więcej: nikt się nad tym nigdy nie zastanawiał ani wtedy, ani później. Klasa polityczna nie zadała pytania, kim powinien być prezydent i gdzie chcielibyśmy go umiejscowić w polskim ustroju. W konsekwencji system polityczny jest po prostu jednym wielkim chaosem wymuszającym permanentną wojnę między prezydentem a premierem. Oczywiście – Lech Wałęsa przyłożył do tego rękę, ponieważ legendarny lider „Solidarności" chciał sterować całym polskim życiem politycznym, mieć całą władzę skupioną w Belwederze. W efekcie Kwaśniewski jako przewodniczący sejmowej komisji konstytucyjnej ograniczył możliwości działania prezydenta. I szybko się okazało, że prezydent, który w istocie może jedynie wetować ustawy, składać propozycje legislacyjne, powoływać sędziów i profesorów, mianować ministrów i ambasadorów, ma niezwykle wąskie pole manewru.

Na początku to nie było tak widoczne, bo Kwaśniewski najpierw współpracował z Włodzimierzem Cimoszewiczem, z którym dobrze się rozumieli i dogadywali, więc wówczas głowie państwa mogło się wydawać, że ma pełnię władzy. W czasach Jerzego Buzka, czyli premiera z wrogiej socjaldemokracji, która wciąż miała przyklejoną łatkę „postkomuny", koalicji chadecko-centroprawicowej, kontakty rządu z prezydentem były aksamitne, szczególnie w porównaniu z dzisiejszą kohabitacją. Dopiero rząd „żelaznego kanclerza" Leszka Millera pokazał Kwaśniewskiemu realne ograniczenia jego urzędu.

Czyli Donald Tuska miał rację, kiedy mówił, że prezydent w Polsce jest strażnikiem żyrandola?
– Absolutnie tak. Słowa premiera w pewien sposób ukształtowały i prezydenturę Komorowskiego, i prezydenturę Dudy. Ten pierwszy poprowadził całkiem udaną pierwszą kampanię w 2010 roku w ekstremalnie trudnych warunkach politycznych, kiedy jego konkurentem nie był źle oceniany prezydent, tylko brat bliźniak głowy państwa, która zginęła w drodze do miejsca, gdzie Rosjanie zamordowali tysiące przedstawicieli polskiej inteligencji. A Komorowski jako marszałek Sejmu reprezentował państwo i rządzącą Platformę, gdy zaczynało się szukanie winnych i teoria o zamachu. Mimo to udało się mu pokonać Jarosława Kaczyńskiego, wobec którego znaczna część społeczeństwa wyrażała raczej współczucie i miała wtedy pozytywne uczucia.

Jednak w kilka tygodni po przeprowadzce do Belwederu Komorowski zorientował się, że Tusk tak naprawdę niczego więcej od niego nie oczekuje. Prezydent miał pilnować żyrandola. Tego samego wymagał od Dudy Jarosław Kaczyński.

No dobrze, ale każdy z naszych prezydentów w pewnym momencie chciał na swój sposób zapisać się w historii. Wałęsa doprowadził do wycofania wojsk radzieckich z Polski. Kwaśniewski wprowadził kraj do NATO i Unii. Kaczyński dbał o relacje z Ukrainą i z państwami, które wyrosły z byłych radzieckich republik, starał się je wciągać w orbitę europejską i reprezentować je w Unii. Komorowski próbował zmienić oblicze patriotyzmu na bardziej obywatelski, pozytywny, mniej martyrologiczny, a Duda rozpoczął debatę nad zmianą konstytucji. Czyli prezydentura stwarza okazję do czegoś więcej niż organizowanie bankietów?
– Jak widać, tak. I każda ma jakieś jasne i ciemniejsze strony. Nawet kadencja Lecha Kaczyńskiego, którą uważam za skrajnie złą, miała ten jeden wspaniały moment, kiedy w 2008 r. Rosjanie wykorzystali pretekst – gruzińskie działania w spornej Osetii Południowej – i wkroczyli zbrojnie do Gruzji, a prezydent przemawiał w Tibilisi i ostrzegał cały zachodni świat przed imperialną Rosją. To było historyczne wystąpienie.

Aleksander Kwaśniewski i jego polityka wschodnia była bardzo dobrze skrojona, a jego wsparcie dla wejścia do Unii i NATO odpowiadało formatowi męża stanu.

Komorowski prowadził liczne debaty o wyzwaniach, przed jakimi stoi kraj, zapraszając ekspertów, intelektualistów, społeczników, pisarzy, ekonomistów. Do Pałacu Prezydenckiego przyjeżdżały grupy społeczne, które czuły, że są wysłuchane przez pierwszą osobę w państwie. Gorzej było z realizacją postulatów wypracowanych w trakcie tych spotkań. Współpracownicy Komorowskiego nie potrafili zainteresować nimi parlamentarzystów czy członków rządu.

A Duda nie tylko zorganizował konsultacje konstytucyjne – choć kompletnie nic z nich nie wynikło – ale zawetował też ustawy zmieniające ustrój sądów, kluczowe dla utrwalenia władzy jego macierzystego obozu. Wrażenie, jakie tym zrobił również na przeciwnikach, zatarło to, że do dzisiaj jednak nie potrafi przyznać się do błędu i broni wszystkich nominacji dla neosędziów. Do tego podpisał się pod ustawą betonującą w prokuraturze najbliższych współpracowników Zbigniewa Ziobry.

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Prezydent Andrzej Duda wykorzystuje każdą okazję, żeby pojeździć na nartach. Tu podczas zawodów zorganizowanych przez Fundację Integracja Przez Sport HANDICAP, na Polanie Szymoszkowej w Zakopanem (16.01.2022).**

Wyobraź sobie, że jesteś przez 5 lub 10 lat zamknięty, przebywasz w tym samym otoczeniu, w tej samej pracy, z tymi samymi ludźmi, a jesteś nadal młodym mężczyzną. Więc szukasz akceptacji czy poklasku, uwagi od kobiet

Czy kolejna kadencja, rozpoczynająca się już we wrześniu, będzie dobrą okazją do debaty o prezydenturze?
– Mam nadzieję, że tak się stanie. Nowy prezydent powinien chwilę po zwycięstwie usiąść i zastanowić się, jaki ma pomysł na kolejne pięć lat. Zdaję sobie sprawę z jakości naszej sceny politycznej, w którą jest wpisana permanentna awantura między Pałacem Prezydenckim a premierem, ale powoli zbliżamy się do punktu krytycznego. Dalej – jako państwo – dłużej tak nie pociągniemy. Obserwowaliśmy przez te wszystkie lata nie tylko spór o krzesła na szczytach Unii Europejskiej w czasach Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska jako premiera. Widzieliśmy też żenujące sceny z 2004 roku, kiedy Miller wyrywał sobie z Kwaśniewskim polską flagę w trakcie uroczystości akcesyjnej. Teraz nie mamy w USA ambasadora, ponieważ jego nominację blokuje prezydent Duda. A to właśnie dzisiaj w Waszyngtonie zapadają najważniejsze decyzje o losach naszej części świata.

Powinniśmy pójść w kierunku niemieckim, gdzie prezydenta, który pełni funkcję reprezentacyjną, wybiera parlament, a całą władzę skupia w rękach kanclerz?
– Lub zastanowić się nad systemem prezydenckim z premierem, który zajmuje się jedynie technicznymi sprawami. Bo w dzisiejszej rzeczywistości ustrojowej prezydent ma jedno zadanie: utrudniać pracę rządu. Żeby było jasne: prawo weta jest niezwykle ważne, ponieważ pozwala zatrzymać przyjęcie szkodliwego prawa. Ale cała reszta prezydenckich uprawnień jest bezzasadna.

To jaki powinien być prezydent?
– Mając taką władzę, musi być człowiekiem odpowiedzialnym, poważnym, który ma pomysł na siebie. Nie może być politykiem, którego jedyną ambicją jest przypodobanie się szefowi własnej partii.

Co Andrzej Duda będzie robił od września?
– Nie wiadomo, choć jedno jest pewne: nikomu nie jest potrzebny – ani partii, ani polskiej polityce. Duda ma cały czas nadzieję na stanowisko, które mógłby mu załatwić Trump, choć ostatnie tygodnie wskazują, że i te drzwi się zatrzasnęły. Z nieoficjalnych informacji wynika, że Marcin Mastalerek jeździł do Stanów i próbował zorganizować pracę dla szefa i dla samego siebie. Ale prezydent USA zamierza utrzymywać kontakty z urzędującymi przywódcami, a nie z kimś, kto za chwilę nie będzie miał żadnej władzy.

Pojawiają się plotki o utworzeniu partii prezydenckiej, choć pewnie skończy się na tym, że Andrzej Duda założy instytut i bibliotekę swojego imienia oraz będzie zapraszany na wykłady na Węgry i do USA, które stały się ważne na konserwatywnej mapie świata. I będzie wspominał, że był kiedyś prezydentem Polski. ●

Dominika Długosz

• jest dziennikarką i publicystką „Newsweeka". Przez lata była związana z TVP i Polsatem. Książkę **„Kulisy Pałacu Prezydenckiego"** opublikowało wydawnictwo Czerwone i Czarne. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

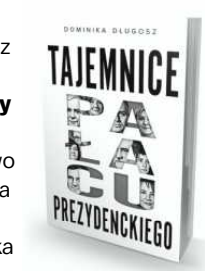

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Wielki Post – kciuk czy ogon

Jaki sens ma religia bez grzechu i kary za grzech, bez zła i piekła.

Marcin Matczak

Jestem filozofem prawa, więc mam obowiązki filozoficzno-prawne. A wśród nich ciągle zastanawianie się, które normy prawne, społeczne i religijne są dla nas dobre, a które złe. Nowy trend badań zakłada, że do norm można stosować teorię ewolucji: analizować, które zwiększają nasze dostosowanie do świata, a które je zmniejszają. Od wielu lat stosuje się tę najlepszą teorię, która wpadła do głowy człowiekowi, jak mówił filozof kognitywista Daniel Dennett, nie tylko do kciuka i kości ogonowej, ale do religii, rytuałów i instytucji. Które są jak kciuk – niezbędne, a które jak ogon, którego już nie potrzebujemy?

Piszę ten felieton w ostatki. Ledwie z palców strzęśliśmy cukier puder z pączków jedzonych w tłusty czwartek, a tu zaraz katolicy posypią głowę popiołem. W świecie, w którym trwa wielkie żarcie, zaczyna się Wielki Post.

Czy to w ogóle ważne? „The Economist” pisze, że w 1972 roku 90 proc. Amerykanów deklarowało się jako chrześcijanie, a tylko 5 proc. jako bezwyznaniowi. W 2021 roku bezwyznaniowych było już 29 proc. i ten wzrost objął wszystkie grupy społeczne bez względu na wykształcenie. W każdym nowym pokoleniu w ostatnich dekadach było o 10 proc. mniej chrześcijan niż w poprzednim. Aż do dzisiaj. Pokolenie Z, urodzone między 2000 a 2006 rokiem, zgodnie z tym trendem powinno liczyć około 41 proc. chrześcijan. A liczy, jak podaje „The Economist”, 46 proc. Dlaczego? Bo trzy czwarte zetek czują się samotne. A religia daje im poczucie wspólnoty.

Jakie normy nakłada ta współczesna religia? Czy to ortodoksyjny talibizm, czy raczej normatywny szwedzki stół, religia *à la carte*, cherry-picking. Czy współcześnie żyjemy według moralności, której patronem jest Adam Słodowy („zrób to sam”), czy też przyjmujemy ją z dobrodziejstwem inwentarza? I które podejście ma sens, jeśli zestaw norm ma dać nam jakąś ewolucyjną korzyść? Jakiś ksiądz na Twitterze pyta złośliwie, dlaczego ci, którzy świętują tłusty czwartek, nie obchodzą środy popielcowej. Ktoś mu odpowiada, że ci, którzy żyją w celibacie, mają często na boku dziewczynę.

Swego czasu poproszono studentów, aby wymyślili sobie religię. I wymyślili – taką pluszową, bez grzechu i kary za grzech, bez zła i piekła. Jaki sens ma taka religia? Przecież nie da się realizować żadnego ideału, skoro nie wiadomo, co jest od niego odstępstwem. Jak zdefiniować miejsce, do którego chce się dojść, skoro nie ma do niego złej drogi? Jeśli, jak mówią, źródłosłów „grzechu” to „nietrafienie w cel”, jak go określić, skoro wszystkie strzały są celne?

Czy więc trzeba podchodzić do systemów norm całościowo? Nie wybierać, nie grymasić, brać wszystko na klatę i nieść? Ale tu też pojawia się problem. Czy da się zrealizować całość nakazów, które dostarcza dany system norm? Laura Schlessinger prowadząca talk show w USA zacytowała kiedyś Biblię, uznając osoby homoseksualne za „odrażające”. Dostała prześmiewczy list od słuchacza, który zaproponował, by pójść dalej i w życiu codziennym stosować Biblię całościowo. Księga Kapłańska – pisze – „zezwala na posiadanie niewolników, pod warunkiem że są oni kupowani od sąsiednich narodów. Mój przyjaciel twierdzi, że dotyczy to Meksykanów, ale nie Kanadyjczyków. Dlaczego nie mogę posiadać Kanadyjczyków?”. A ponieważ ma sąsiada, który pracuje w szabat, a Księga Wyjścia wyraźnie mówi, że należy taką osobę zabić, pyta, czy jest moralnie zobowiązany ukatrupić go sam, czy też może o to poprosić policję.

Więc raczej selekcja. Tak myślimy współcześnie o systemach – antysystemowo. Tak myślą postmoderniści: klasyk postmodernizmu Jean-François Lyotard ogłosił koniec wielkich, wszechogarniających narracji, takich jak religia, marksizm czy psychoanaliza. Wielka narracja to wielki system wyprowadzony z jednego założenia: w chrześcijaństwie z miłości, w marksizmie z relacji ekonomicznych i relacji siły, w psychoanalizie z ukrytych w podświadomości instynktów. Nie przyjmujemy całości, tylko wybieramy. Za Guattarim i Deleuze'em wolimy opowieści lokalne, małe, nie te wielkie. Zamiast systemów, które są jak wielkie drzewo wyrastające z jednego korzenia i nakładają na świat hierarchiczny porządek, chcemy opowieści kłączy – płynnych, zmiennych i miejscowych – tu takich, tam innych.

Czy to podejście ma sens? Może to taka niby surowa dieta, ale z hamburgerem, jeśli akurat ma się na niego ochotę. Abstynencja alkoholowa z przerwą na setkę, jeśli nadarzy się okazja. Mocne postanowienie, że rzuci się palenie, z awaryjnym papierosem w kieszeni marynarki, jakby przyszedł stres. Taka wierność małżeńska z opcją skoku w bok – ani związek zamknięty do jednej osoby, ani otwarty. Uchylony. Systemy norm mają sens, gdy stosuje się je całościowo, ale nie dosłownie. Stąd przykłady z listu do Dr. Laury nie obalają tej tezy.

Osoby religijne dążą jednak do usztywnienia systemu norm. Stają się formalistyczne, stosując lokalne przepisy zamiast kluczowych, szechogarniających zasad. Taka religijność to też religijność wybiórcza, tylko w innym sensie. Tak jak prawo powinno się stosować zawsze w świetle zasad konstytucji – równości, proporcjonalności i ludzkiej godności – tak normy religijne powinno się stosować w świetle jej zasad ogólnych (miłości bliźniego). Formalizm jednak króluje. I wśród sędziów, i wśród wyznawców.

Odrzucamy całość na rzecz części, jesteśmy na diecie, ale jemy hamburgery, przechodzimy detoks, ale walniemy od czasu do czasu tę setkę. A potem się dziwimy, że system norm nie działa. A gdy już jesteśmy całościowi, to tak na maksa – jak dziennikarz A.J. Jacobs, który przez rok żył literalnie według przykazań Biblii i ostatecznie próbował ukamienować niewiernego męża.

Wartościowe systemy norm postulują spójny, całościowy obraz świata. Nie ma sensu realizować normy, która wprowadza w ten świat przemoc i nienawiść, skoro główna zasada nakazuje realizować w tym świecie miłość. Zapomnieliśmy, jak obsługiwać takie systemy, więc albo je całościowo odrzucamy, albo stosujemy selektywnie, albo literalnie, jak talibowie. Jeśli pokolenie Z nie nauczy się tego robić inaczej, powrót do religijności nie uleczy żadnej z jego ran.

Palio. Gdzie błądzi historyk... myślami

Prawdziwy mężczyzna jak nie myśli o seksie i o motoryzacji, to myśli oczywiście o sporcie. Dlatego nie ma się co dziwić, że Karol Nawrocki będzie znał lepiej słowo „palio” niż „polio”.

Michał Rusinek

Karol Nawrocki, zapytany o stosunek do szczepień (w kontekście decyzji Donalda Trumpa o przywróceniu do służby żołnierzy, którzy się nie zaszczepili na Covid-19), odpowiedział następującymi słowy: „Jestem przeciwko przymusowym szczepieniom, szczególnie ludzi dorosłych, ale także jestem przeciwko przymusowym szczepieniom dzieci. Z wyłączeniem tylko tych chorób, które są zagrożeniem generalnym dla populacji. Znamy przypadek szczepień na palio i choroby Heinego-Mediny. I takie jest moje stanowisko”.

Pomijając ewidentne puszczanie oka do antyszczepionkowców i powielanie niebezpiecznej dla nas wszystkich narracji, że szczepienia obowiązkowe są niepotrzebne, a także spuszczając kurtynę milczenia na fakt, że jest ich nieco więcej niż tylko przeciwko polio i wszystkie są konieczne (*także przeciwko gruźlicy, wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, błonicy, krztuścowi, tężcowi, odrze, śwince, różyczce, inwazyjnemu zakażeniu pneumokokowemu, inwazyjnym zakażeniom Haemophilus influenzae typu B, zakażeniom wywołanym przez rotawirusy oraz ospie wietrznej – w przypadku podwyższonego ryzyka*), zwróćmy uwagę na nazwy chorób wymienianych przez Nawrockiego.

Po pierwsze, nie „palio”, a właśnie polio (łac. poliomyelitis anterior acuta). **Po drugie,** nie Heinego-Mediny, a Heinego-Medina (opisali ją w XIX wieku niemiecki lekarz Jakob Heine i szwedzki pediatra Karl Oskar Medin, który się deklinuje, ale w dopełniaczu jego nazwisko brzmi „Medina”; być może Nawrockiemu pomylił się z Kevinem Mediną, piłkarzem kolumbijskim, grającym w pozycji środkowego obrońcy w klubie Qarabağ w Azerbejdżanie). **A po trzecie** – to ta sama choroba.

Oczywiście nie należy wymagać od historyka (nawet z doktoratem), żeby znał się na medycynie (a nawet jej historii). Tyle że nie jest to specjalistyczna wiedza medyczna, tylko informacje, które zdobywa się na lekcjach biologii w liceum. Chyba że się akurat nie było na tej lekcji, bo na przykład miało się wtedy jakiś ważny trening.

Nie zamierzam jednak dołączać do wieloosobowego chóru szyderców, który słychać było w najdalszych zakątkach rodzimego internetu. Zamierzam natomiast zastanowić się, co spowodowało u doktora Nawrockiego takie akurat przejęzyczenie, a właściwie czynność pomyłkową.

Niektórzy komentatorzy byli zdania, że myślał wówczas o motoryzacji, co pasuje do arcymęskiego wizerunku tego kandydata: mężczyźni, jak powszechnie wiadomo, gdy nie myślą o seksie, to myślą o samochodach. W latach 1996-2011 firma Fiat produkowała model Palio. Nie był to samochód ani szczególnie piękny, ani szczególnie ekskluzywny, ale najbardziej popularna jego wersja (produkowana zresztą w fabryce w Bielsku-Białej) nazywała się Palio Weekend. Nie można więc wykluczyć, że Karol Nawrocki – wyraźnie zmęczony kampanią wyborczą, wiążącą się dla niego na przykład z koniecznością medialnego jedzenia kiełbasy – myślami był nie tyle przy samochodzie, ile już przy weekendzie, stąd Freudowskie przejęzyczenie.

Prawdziwy mężczyzna jak nie myśli o seksie i o motoryzacji, to myśli oczywiście o sporcie. **Palio** – zwłaszcza **Il Palio**, czyli **Palio di Siena** – to tradycyjny włoski wyścig konny w strojach historycznych, odbywający się we włoskich miastach, przede wszystkim w Sienie. Jego nazwa pochodzi od łacińskiego słowa **„palia”**, oznaczającego płaszcz lub pelerynę z grubego materiału, noszone w starożytnym Rzymie. W nowożytnym włoskim **„palio”** to kawałek cennej tkaniny, która jest nagrodą w owym wyścigu na koniach bez siodeł. **Palio** to także festyn ku czci Matki Boskiej, rozpoczynający się od wprowadzenia koni do kościołów i poświęcenia ich przed wyścigiem.

Rosyjski pisarz, podróżnik i historyk sztuki Paweł Muratow tak opisywał sieneńskie palio w „Obrazach Włoch”: „Co się zaś tyczy głównego uczestnika palio, wyróżnionego konia, z którym wszyscy wiążą swoje nadzieje na zwycięstwo, ów pojawia się, drżąc i parskając z podniecenia, prowadzony przez stajennego, barbaresco, i po pewnym wahaniu wchodzi po stopniach do kościoła. Ksiądz w stroju liturgicznym wita go odmawiając modlitwy i kropi wodą święconą, a koń lękliwie się cofa, patrząc w bok wilgotnym ślepiem, ale nie pozostawia na posadzce świątyni śladów swojego tu pobytu, co uznano by za najlepszą wróżbę powodzenia”.

Nie ma się co dziwić, że historyk będzie znał lepiej słowo „palio” niż „polio”. Zwłaszcza historyk, który staje do wyścigu o prezydencki fotel i który czuje się czarnym koniem tych wyborów, w dodatku koniem pobłogosławionym przez Kościół. Historyk, którego pasją jest sport i który próbuje nas zachęcić do głosowania na siebie eksponując na każdym kroku swoją tężyznę fizyczną. Jego nadzieja, wiara i pasja przecinają się w tym jednym pięknym włoskim słowie, które dodaje szlachetności wyborom w kraju, w którym cytryna nie dojrzewa.

Istnieje jednak pewne prawdopodobieństwo, że aparat psychiczny doktora Nawrockiego lekko z niego zakpił.

Jest bowiem jeszcze jedno palio, nieco mniej znane. W niektórych włoskich miastach odbywa się **„palio degli asini”**, czyli wyścig osłów. Na przykład w Albie, w Piemoncie, od wieków urządzane są takie zawody jako forma Bachtinowskiej karnawalizacji i drwiny z patosu wyścigów konnych oraz towarzyszącej im kościelnej pompy. Nie chodzi w nich o zwycięstwo, ale o śmiech z uczestników, którzy na upartych i umiarkowanie zdyscyplinowanych zwierzętach usiłują dobrnąć do mety. Taki śmiech bywa potrzebny.

I jesteśmy wdzięczni niektórym uczestnikom rodzimego palio o prezydenturę, że nam go – świadomie lub podświadomie – dostarczają.

eprasa.pl 817e671fa2

Moja wielka gen

Tak, byłam mężczyzną. Jestem kobietą – mówi najsłynniejsza polska genealożka.

Z DR **MARIĄ JADWIGĄ MINAKOWSKĄ*** ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Od dwudziestu lat tworzy największe w Polsce drzewo genealogiczne, w którym znalazło się już ponad 1 200 000 osób. W 2024 roku „Wielka Genealogia Minakowskiego" stała się „Wielką Genealogią Minakowskiej".

MARIA JADWIGA MINAKOWSKA: O czym chcesz ze mną rozmawiać? Bo ze mną można o wielu sprawach. O początkach internetu w Polsce, bo od 1997 roku pracowałam w Onecie. O genealogii. O filozofii greckiej. O coming oucie... Wiesz, że jestem rówieśniczką Elona Muska?

WOJCIECH SZOT: Śliczne paznokcie.
– Prawda? Świeżutkie zrobiłam.

U manikiurzystki byłam po raz pierwszy we wrześniu. Wcześniej sama sobie malowałam paznokcie. Zaczynałam zimą 2023 roku od stóp. Człowiek chodził w butach, to nikt nie widział. Potem pomalowałam dłonie lakierem przezroczystym, żeby nie było widać z daleka. Ale i tak się bałam, że ktoś zobaczy. Nikt nie zareagował. To wiosną pomalowałam na kolor.

W czerwcu 2024 roku napisałaś na swoim blogu: „pod względem prawnym i fizycznym jestem mężczyzną. Tak mam od urodzenia i nie chcę tego zmieniać. Ale pytany o tożsamość najchętniej bym odpowiedział, że jestem matką mojej córki. (...) mogę być tatą o kobiecym imieniu, chociażby: »Maria«. Maria jest OK".
– To był mój pierwszy coming out.

Wtedy postanowiłam zacząć chodzić do kosmetyczki i na manikiur. Wspaniałe uczucie. Jak już ten balon pękł, to z hukiem.

Co go przebiło?
– Cztery lata trwał mój rozwód. Ostatecznie uzyskałam pełną opiekę nad dzieckiem. Biologicznej matce ograniczono prawa rodzicielskie, ale sąd postanowił przydzielić mi kuratora do kontro-

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie wszystkie powiązania były zweryfikowane, ale media podały, że Kaczyński pochodzi od Bolesława Krzywoustego

ealogia

li sprawowanej przeze mnie opieki. Kurator przychodził co miesiąc i pisał raporty dla sądu. Bardzo się pilnowałam, żeby nie wzbudzać podejrzeń. W czerwcu Sara skończyła osiemnaście lat, skończyły się wizyty kuratora. Wtedy we mnie wybuchło.

W sierpniu jednak poczułam, że czas na kolejny krok. Poszłam na diagnostykę do poradni seksuologicznej w Krakowie. Niedługo odbiorę papiery, które pozwolą mi na uruchomienie prawnej zmiany imienia i nazwiska. Mam już opłaconego adwokata, a za tydzień dostanę pierwszą receptę na estrogeny.

Jakie to uczucie tak nagle odkrywać siebie?
– Jakbyś wyszedł z gry.

To znaczy?
– Pewnie znasz Dooma. Chodzi się po jakimś zamku, wchodzi do komnaty i trzeba pozabijać wszystkich, którzy w niej są. Zgarniasz łupy i dopiero wtedy patrzysz, w którym kierunku się udajesz. A tam kolejna komnata i kolejna rozwałka.

Wcześniej moje życie to było właśnie takie wchodzenie do kolejnych komnat i robienie tego, co zrobić trzeba. A tu nagle mogę żyć, jak chcę.

Siedzimy naprzeciwko twojego „męskiego” portretu. Nie przeszkadza ci on?
– Córka mnie namalowała. Nie chcę się od tego odcinać. Tak, byłam mężczyzną. Jestem kobietą. Lesbijką. Trans. To wszystko.

Przez lata byłam, jako mężczyzna, osobą publiczną i nie zamierzam zrywać z przeszłością. Tak, to moja przeszłość. Oczywiście rozumiem osoby transpłciowe, które nie chcą wracać do przeszłości. Ale ja tego nie czuję. Nie mam się czego wstydzić i czego ukrywać. Jestem dumna z tego, co robię. Proszę bardzo, niech wszyscy widzą, jak to wygląda.

Od lat prowadzisz stronę poświęconą genealogii, olbrzymie drzewo genealogiczne Polaków. Jakie były reakcje, gdy „Wielka Genealogia Minakowskiego” stała się „Wielką Genealogią Minakowskiej”?
– Świat zareagował bardzo pozytywnie. Ludzie piszą do mnie per „proszę pani”. To miłe. Straciłam kilku znajomych. Najgorzej chyba zareagowały kobiety. Znajome dziennikarki – Agnieszka Romaszewska, Maria Przełomiec – w publicznych postach napisały, że jestem przebierańcem.

Romaszewska udaje troskę i pisze, że „nie ma zamiaru oglądać, jak ktoś się kaleczy”. Przełomiec komentuje: „koszmar”. A jak w Tarnowie?
– Pozytywnie. W Tarnowie jest grupa wsparcia dla osób transpłciowych, na którą chodzi jedna osoba. Ja. Czasem przyjedzie ktoś z Rzeszowa czy Nowego Sącza, ale nie ma nas tu zbyt wiele.

Jak w genealogii opisuje się tranzycję?
– Można to rozwiązać tak samo, jak w przypadku kobiety zmieniającej nazwisko po ślubie. Dodałam sobie nowe imię i nazwisko, ale dla programu genealogicznego wciąż jestem mężczyzną. Wszystko przez to, że miałam żonę. Gdybym teraz zmieniła płeć w programie, to będzie miał on „problem” z tym, że jak to – małżeństwo w Polsce między dwiema kobietami? Gdybym nie była kiedyś mężem, nie byłoby problemu.

Podobnie dzieje się w momencie, gdy do tradycyjnych programów genealogicznych próbuje się wpisać fakt, że dwóch mężczyzn ma dziecko. Wyskakuje wtedy komunikat o błędzie.

Czy piszą do ciebie osoby z prośbą o zmianę danych?
– Kilka razy zdarzyło się, że młode osoby trans prosiły, żeby zmienić ich dane. Kiedyś wymagałam od nich, by przedstawiły dokumenty sądowe o zmianie danych. Dzisiaj myślę, że jeżeli komuś zależy, to w zasadzie dlaczego mam się upierać? Co mi do tego?

Ale sobie nie zmienisz w programie męskiej płci?
– Dla mojej córki linią męską jestem ja. Ale kto wie? Może jak sąd już zmieni moje dane i w akcie skróconym będzie napisane, że urodziłam się jako Maria Jadwiga Minakowska, to może sobie zmienię? Świat się od tego nie zawali.

Ludzie zmieniają nazwiska w XXI wieku?
– Poza ślubami, rzadko. Co ciekawe, niektórzy robią to, gdy ma zaginąć jakieś ważne, historyczne nazwisko. Jak im to Urząd Stanu Cywilnego zatwierdzi, to niechętnie, ale to robię.

W twojej genealogii znajduje się już ponad milion osób.
– Pewnie mogłabym dojść do półtora miliona – przy założeniu, że dalej pilnuję metodologii, że każda osoba jest „zweryfikowana”. Ale zmieniły mi się zainteresowania.

Genealogia Minakowskiego, czy obecnie Minakowskiej, wisi w sieci niemal od zawsze. To już dwadzieścia lat. Początkowo zajmowałam się digitalizacją starych herbarzy. Chodziło o to, żeby ludzie nie musieli kartkować tych wielotomowych dzieł. Zatem początki były szlachecko-prestiżowe. Natomiast moje zainteresowania podryfowały w stronę analizy sieci społecznej.

Teraz już bardziej niż rekonstrukcja genealogii interesują mnie mechanizmy dziedziczenia pozycji społecznej. Czy naprawdę rządzi nami patointeligencja, która chodziła do kilku warszawskich liceów. Czy upowszechnienie się szkolnictwa wyższego wpłynęło na poszerzenie się tego, skąd pochodzą ci, co nami rządzą?

Dysponując tak olbrzymią bazą danych, mogę przyglądać się choćby temu, kto z kim zawierał małżeństwa i jak kształtowano – zwłaszcza w XIX wieku – sieci społeczne. Sieć wyznaczana przez genealogię była jednocześnie siecią towarzyską, biznesową, sąsiedzką.

Dlaczego „zwłaszcza w XIX wieku”?
– Z tego powodu, że mamy najwięcej danych. Po tym gdy Napoleon przedefilował przez nasze ziemie, zostawił nam w spadku kodeks, który uporządkował rejestrację akt stanu cywilnego. I tak niemal od początku XIX wieku, niezależnie od tego, czy ktoś jest hrabią, czy chłopem, to jego dane były zapisywane w identyczny sposób. Oczywiście czasem coś płonęło. Czasem ginęło, ale wiele danych się zachowało.

Metryki „sprzed Napoleona” były prowadzone niechlujnie. Często nie podawano nazwisk rodziców, mylono imiona i nazwiska. Głównym źródłem informacji genealogicznych dla czasów przed Napoleonem są księgi grodzkie i ziemskie, czyli odpowiednik dzisiejszych ksiąg hipotecznych. Jeśli ktoś brał ślub, to zawierano umowę małżeńską, a posag zapisywano jako coś w rodzaju długu lub kredytu. Dlatego genealogię szlachty polskiej rekonstruujemy na podstawie majątków.

A co, jak ktoś majątku nie miał? Inna sprawa, że ksiąg jest tak dużo, że brakuje historyków, by przeczytać je wszystkie.

Od lat publikujesz na tematy genealogiczne. Co odkryłaś?
– Opracowałam genealogię wszystkich polskich i litewskich senatorów. Od Unii Lubelskiej do końca Rzeczypospolitej. Badałam, jak wyglądały ich kariery w stosunku do ich sytuacji rodzinnej. Okazuje się, że pozycja społeczna była dziedziczona po linii żeńskiej.

Przykład?
– Weźmy choćby króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Czy liczyło się to, że był Poniatowskim? Jego ojciec był szwedzkim generałem, który w odpowiednim momencie nawrócił się do Rzeczpospolitej. O jego niskiej pozycji świadczy fakt, że w zasadzie nic nie wiemy o jego pierwszej żonie. Dopiero gdy generał Poniatowski ożenił się z Czartoryską, jego znaczenie wzrosło. Tak naprawdę – z perspektywy sieci społecznej – Stanisław August Poniatowski był synem Konstancji Zofii Czartoryskiej, a nie Stanisława Poniatowskiego.

Myślisz, że Czartoryscy byli ważni? Byli. Ale bardziej liczyło się to, że Konstancja była córką Izabeli Elżbiety Morsztyn, córki słynnego polityka poety Jana Andrzeja Morsztyna.

Analiza danych wykazała wprost, że to, czy ktoś awansuje, dużo bardziej zależało od tego, kim była jego matka, babcia lub żona, niż to, kim był jego ojciec czy stryjowie. Okazuje się, że wszystkie te książki o elicie Rzeczypospolitej, elicie senatorskiej XVII czy XVIII wieku trzeba napisać od nowa.

• Doktor Minakowska (rocznik 1972), w Wielkiej Genealogii (Wielcy.pl) przygląda się polskim elitom: literatom, artystom, prawnikom, wojskowym, politykom itp. Od Piasta Kołodzieja aż do teraz.

eprasa.pl 817e671fa2

Czyli do obrzędu dziadów musimy dołożyć swaty.
– Nasi wspaniali historycy przez dziesiątki lat opisywali losy rodów z perspektywy linii męskiej. Do tego przyjęło się opisywanie historii rodów – Czartoryskich, Potockich, Lubomirskich. Gdy jednak popatrzy się na drzewo genealogiczne i przyjrzy temu, co kto i po kim odziedziczył, okaże się, że najważniejsze były relacje budowane pomiędzy rodzinami, a nie same rodziny.

Kobiety były nośnikiem pozycji społecznej. To one zajmowały się utrzymywaniem relacji społecznych, miały czas na zajmowanie się sprawami koligacji, często to właśnie kobiety kierowały majątkami i miały decydujący wpływ na zawierane małżeństwa. Mężczyźni byli od polityki, wojaczki, czasem pracy. Kobiety nie mogły się w tej materii wykazać, zatem wyżywały się tam, gdzie mężczyźni im nie przeszkadzali.

Jesteś typem człowieka lubiącego tytaniczną pracę.
– Coś w tym jest. Przeanalizowałam prawie pół miliona nekrologów opublikowanych w sześciu największych polskich gazetach od połowy XIX wieku do 1939 r. Dokładnie mowa o 470 tys. nekrologów, w których wspomniano 204 tys. osób. W większości z nich zapisano lub dawało się wydedukować datę zgonu i wiek osoby. Do tego zawierały informacje o płci i miejscu śmierci.

Zebrałam te dane i przeanalizowałam kolejne dekady pod jednym względem – długości życia kobiet i mężczyzn. Okazało się, że mężczyźni umierali „normalnie" – najrzadziej za młodu, coraz częściej, gdy się starzeli. Jednak z kobietami było inaczej.

Nawet pobieżne przyjrzenie się nagrobkom czy nekrologom kobiet wystarczy do tego, by zobaczyć w nich gigantyczną liczbę kobiet trzydziestoletnich. Okazało się, że ma to swoje potwierdzenie w twardych danych – sporo kobiet umierało między 20. a 40. rokiem życia. Jeśli dożyły czterdziestki – żyły dłużej. Najbezpieczniejszy czas dla kobiet następował między 40. a 50. rokiem życia. A potem już zaczynało się umieranie ze starości.

Efekty tej dysproporcji widzimy w literaturze.
– Proza i poezja XIX wieku pełne są półsierot, które mają ojca, ale nie mają matki. Dzisiaj można powiedzieć, że prawie wszyscy mają mamę, a kiedyś można było z większym prawdopodobieństwem stwierdzić, że ludzie raczej mają ojca niż matkę.

Idźmy dalej. Skoro niemal połowa kobiet umierała przed czterdziestką, to znaczy, że nie miały czasu zmądrzeć, czyli mówiąc naukowo – zbudować kapitału kulturowego i społecznego. Nie miały czasu się naczytać, przemyśleć, porozmawiać. Żeby zostać mędrcem, trzeba się nażyć. Więc jak ktoś miał być mędrcem, to musiał być mężczyzną, bo kobieta, zanim by została mędrcem, to już zdążyła umrzeć. Natomiast dzisiaj mamy odwrotną sytuację. Dzisiaj Matuzalem to kobieta.

Patriarchat upada w dużej mierze dzięki temu, że kobiety żyją dłużej. Mają czas doświadczyć tego, że jest źle. Przemyśleć i próbować zmieniać świat.

Byłaś bohaterką skandalu.
– Człowiek przez lata układa sobie te swoje puzzle, rekonstruuje powiązania rodzinne i nikogo to nie interesuje. Ale gdy tylko weźmie się do polityków, to od razu się zaczyna.

Maciej Wasielewski z TVN wywęszył, że z mojej genealogii wynika, że jednym z przodków Kaczyńskich był Piast. W rzeczywistości nie było to takie oczywiste – nie wszystkie powiązania były zweryfikowane, ale media podały, że Kaczyński pochodzi od Bolesława Krzywoustego. „Super Express" pytał „Co łączy Kaczyńskiego z Mieszkiem I", a „Fronda": „Kaczyńscy pochodzą od Piastów, Komorowski od Wikingów, Tusk – nie wiadomo"

Skończyło się na tym, że „Angora" zrobiła z tego temat tygodnia. Na okładce Kaczyński mówi do Krzywoustego: „Dziadku".
– Nagle się okazało, że te średniowieczne genealogie można powiązać ze współczesną polityką, grając na dysonansie poznawczym. Z jednej strony siermiężni Kaczyńscy pochodzący od królów, a z drugiej ten europejski Tusk, który wychował się na robotniczym podwórku.

Po Kaczyńskim był skandal z Komorowskim.
– Komorowskiemu świństewko zrobiłam sama. Choć po prawdzie nie miało to być świństwem, ale próbą zdetonowania bomby w bezpiecznym momencie. Żeby nie było potem tak jak z tą magisterką Kwaśniewskiego.

Okazało, że przodkowie Komorowskiego mogli sfałszować dokumentację, żeby dostać od Austriaków tytuł hrabiowski. Wyciągnęłam to między pierwszą a drugą turą wyborów. Tak żeby przed ostatecznym oddaniem głosu wszyscy mogli się z tym zapoznać.

Ile to wściekłości wzbudziło! Wiele osób do dzisiaj mi to wypomina. Zaczęto mnie łączyć z prawicowym obozem do tego stopnia, że Marcin Zaremba w tygodniku „Polityka" napisał, że odznakę „Zasłużonego dla Kultury Polskiej" w 2016 roku dostałam w nagrodę za to, że wykazałam, iż Kaczyńscy są potomkami Piastów. W tekście zostałam przedstawiona niemalże jako główny architekt polityki historycznej PiS. Na okładce znowu byli Kaczyński z Krzywoustym.

Nie tylko „lewa" strona uwierzyła w to, że jestem z PiS, bo na seminaria zapraszał mnie profesor Andrzej Nowak. Teraz myślę, że to się już z wolna wypaliło.

W wywiadzie sprzed 14 lat mówisz do Roberta Mazurka: „Za dwadzieścia lat będzie miał pan tu całą ludzkość".
– Musiałam się ograniczyć. Z danych zebranych przez genealogów amatorów i zgromadzonych w serwisie Geneteka można zbudować bazę genealogiczną, która liczy wiele milionów osób. Natomiast weryfikowanie tej bazy byłoby ponad możliwości jednej osoby, a nawet większego zespołu badawczego. 1,2 mln osób to jest maksimum, jakie mogę osiągnąć, by uniknąć błędów. Wspominałam o tym, jak niechlujnie byli zapisywani ludzie w dawnych metrykach. Gdyby te dane zostały użyte do zbudowania drzewa genealogicznego, to szybko okazałoby się, że liczba błędów jest tak duża, że ono przestaje się zgadzać.

Musiałam na własny użytek przedefiniować to, czym zajmuje się genealogia. Tradycyjnie w podręcznikach do genealogii czy do nauk pomocniczych historii pisze się, że to nauka poświęcona rekonstruowaniu relacji genealogicznych. Innymi słowy, jest to zbieranie danych o tym, kto jest czyim dzieckiem albo małżonkiem. Natomiast z mojej perspektywy genealogia to nauka o tożsamości.

Człowiek w dokumentach pojawia się najpierw jako dziecko swoich rodziców. Dopiero później jako mąż swojej żony. A dopiero potem jako osoba zamordowana w Katyniu. Zadaniem genealoga jest ustalenie, czy to na pewno ta sama osoba. Tradycyjnych genealogów interesowały spisy, herbarze i dojście do tego, kto był czyim synem. Dzisiaj, gdy już mamy to dobrze opisane, musimy wyjść w stronę kręgów rówieśniczych czy krewniaczych. Bo w prawdziwym życiu często dużo ważniejsza okazywała się relacja z jakąś ciotką niż matką lub ojcem.

Jak polska genealogia łączy się z żydowską?
– W mojej genealogii są dwa „ośrodki żydowskie". Warszawski i krakowski. Warszawski powstaje w połowie XIX wieku, gdy Żydzi asymilują się zwykle poprzez przejście na protestantyzm, a następnie często na katolicyzm. Mowa o rodzinach bankierskich, zamożnych, które wtapiają się w elitę polską. Przeważnie mowa o jakichś bocznych liniach, dalszych kuzynach, ale zdarzały się przypadki jak Maria Róża Kronenberg, której pierwszym mężem został Karol Zamoyski.

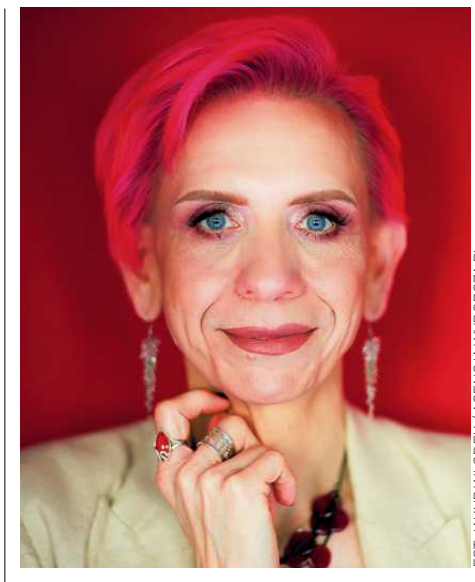
FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przeanalizowałam prawie pół miliona nekrologów opublikowanych w sześciu największych polskich gazetach

Niewiele za to wiemy o biedocie warszawskiej, dlatego że żyła ona w swoim własnym świecie. Do XVIII wieku Warszawa nie wpuszczała Żydów. Żyli oni w jurydykach wokół miasta. Oczywiście w XIX wieku i na początku XX w. przyjechało do Warszawy wielu Żydów ze Wschodu, tzw. litwaków, ale o nich również mało wiemy. Żydowskie księgi metrykalne zachowały się szczątkowo.

W Krakowie jest inaczej?
– Mamy komplet ksiąg metrykalnych z Kazimierza i sporo wcześniejszych danych. Udało mi się zrekonstruować niemal całą społeczność żydowskiego Krakowa od początku XIX wieku. To fascynująca historia, bo śledząc adresy Żydów, można zobaczyć, jak w kolejnych dziesięcioleciach zmienia się to, gdzie mieszkają. Zajmują Stradom i „idą" w stronę Rynku. Już na początku międzywojnia osób z tytułem doktora na Starym Mieście w Krakowie było więcej żydowskich niż katolickich.

Krakowska elita żydowska przez długi czas, do lat 30. XX wieku, w zdecydowanej większości uważała się za Polaków wyznania mojżeszowego. To się zmieniło wraz z rozwojem syjonizmu i dojściem Hitlera do władzy. Ale wcześniej… Jak Franciszek Józef odwiedzał Kraków w XIX wieku, to elita żydowska witała go w kontuszach, narodowym stroju polskim.

XIX wiek to był fascynujący czas, jeśli chodzi o sprawy asymilacji i tworzenia tożsamości. Michał Łuczewski pisał o tym, jak chłopi z okolic Krakowa najpierw byli „cysorscy", by w kilka pokoleń stać się Polakami „od wieków". Larry Wolf w „Idei Galicji" fascynująco opisał tworzenie się „galicyjskiej" tożsamości narodowej.
– Doskonałym przykładem jest Jan Albin Goetz, polski poseł do austriackiej Rady Państwa w latach 1898-1912 i prezes Koła Polskiego w Wiedniu, był synem Czeszki Albiny Žižki i Jana Ewangelisty Götza, niemieckiego piwowara, który w 1845 roku założył browar w Okocimiu.

Wnuk Jana, a syn Albina, Antoni Jan Goetz został posłem na Sejm w II RP.

Ze ściany w twoim mieszkaniu patrzą na nas…
– Mój pradziadek Adam Radzicki w stroju szwoleżera z 1920 roku i jego żona Stanisława z Chmielińskich z drobnej szlachty zagrodowej. Jest też obraz przedstawiający dworek w Popielżynie.

Powiesiłam też nekrolog mojego prapradziadka Karola Minakowskiego, który mieszkał w mieszkaniu w kamienicy, w której teraz mieści się Muzeum Literatury w Warszawie przy rynku Starego Miasta. Moja rodzina w linii czysto męskiej mieszkała w Warszawie od przynajmniej 1827 roku, gdy praprapradziadkowie wzięli ślub w kościele na Nowym Mieście.

Mam też drzewo genealogiczne – od założycieli Tarnowa do mnie i mojej córki. Chociaż mieszkam w Tarnowie od czterech lat, to jestem tu na swoim.

Czy ta cała wiedza pomaga ci teraz, gdy zaczynasz proces tranzycji?
– Początkowo był we mnie ogromny lęk, a teraz dominuje poczucie, że kto, jeśli nie ja? Jest mnóstwo osób, które mają problemy z tożsamością płciową, ale mają niewspierających rodziców, mieszkają w małych miasteczkach czy wioskach, gdzie nie ma wiedzy na ten temat. A ja czuję, że to wszystko mam podane na tacy.

Czujesz presję historii?
– Szwoleżer Radzicki w 1920 roku poszedł walczyć za Polskę, a jego prapradziad Józef Radzicki w imieniu Wielkopolski podpisał się pod Konstytucją 3 maja.

Mój dziadek był profesorem biochemii. Wacław Minakowski w 1960 roku opublikował „Podstawy biochemii dynamicznej kręgowców", jeden z pierwszych polskich podręczników na temat hormonów. Czyli powinnam to wszystko wiedzieć od dawna.

Babcia była z wykształcenia lekarką stomatologii. Dopiero po śmierci odkryłam w dokumentach, że po próbie samobójczej przez kilka miesięcy była w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach z rozpoznaniem depresji endogennej. Tak starannie ukryto chorobę babci, że większość rodziny o niej nigdy nie słyszała.

Dlatego mam poczucie, że moim zadaniem jest nieść kaganek oświaty. Że nie ma czego ukrywać i trzeba to światu opowiedzieć i pokazać. Ktoś musi mówić innym, że mają prawo do bycia tym, kim chcą być. Od czasu coming outu dostaję mnóstwo wsparcia, piszą do mnie też rodzice transpłciowych dzieci. Potrafię rozmawiać z mediami, nie pcham się, ale nie odmawiam i nie będę odmawiać. Proszę bardzo, chcecie, to bierzcie. Jestem do dyspozycji.

Jaką postacią w mediach chcesz być?
– Miłą starszą panią z parteru.

Odkryłam, że lubię się uśmiechać. Nigdy tego nie robiłam. Gdy patrzę w lustro czy na swoje zdjęcia, myślę: fajna ze mnie laska. Ostatnie miesiące to życie w euforii. Gdy budzę się rano, pierwsze, co robię, to zakładam cycki, które kupiłam sobie za sześć dych na Allegro. Nie rozstaję się z nimi. Od momentu coming outu nie miałam ani jednej chwili, w której tęskniłabym za byciem mężczyzną.

Właśnie zaczynam proces tranzycji i jestem pewna, że nigdy nie zacznę tęsknić za testosteronem. Nigdy w życiu nie byłam tak pewna tego, na czym mi zależy. ●

***Maria Jadwiga Minakowska**

• filozofka, genealożka. Twórczyni Wielkiej Genealogii Minakowskiego. Jest także twórczynią serwisu Genealogia Potomków Sejmu Wielkiego poświęconego potomkom posłów i senatorów uczestniczących w obradach Sejmu Wielkiego.

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

BŁOGOSŁAWIENI, *którzy* PROTESTUJĄ

Z **GRZEGORZEM KWIATKOWSKIM***
Z ZESPOŁU TRUPA TRUPA
ROZMAWIA **JAREK SZUBRYCHT**

Zachodnie media twierdzą, że Trupa Trupa jest zespołem bardziej znanym u nich niż we własnej ojczyźnie. Prawda to?
– Chyba tak jest. W grudniu mieliśmy trasę po Wielkiej Brytanii, w lutym jeździliśmy po Stanach Zjednoczonych, w maju nagrywamy nasz trzeci już koncert dla BBC. Tam jest większe zainteresowanie naszą muzyką.

Byłem przekonany, że z czasem to się będzie zmieniało w Polsce, że będziemy mniej jeździć za granicę, ale to się nie za bardzo zmienia. Jako zespół nigdy nie planowaliśmy zagranicznej kariery, nie dążyliśmy do tego. Po prostu w pewien paradoksalny sposób jesteśmy beneficjentami tego, że w Polsce system nie działa albo działa w specyficzny sposób.

Kiedy nagraliśmy płytę „Headache”, wysłaliśmy ją do każdej polskiej wytwórni, ale nikt nam nawet nie odpowiedział. Zacząłem więc wysyłać płytę za granicę i odezwała się świetna brytyjska wytwórnia Blue Tapes. Mała, ale prestiżowa, związana z portalem The Quietus. Chwilę później „Los Angeles Times” pisał o nas jakieś cuda, inne światowe media też, zaczęliśmy być zapraszani na koncerty i jakoś poszło.

Dlaczego Polska się na was nie poznała? Przecież nad Wisłą kochamy muzykę rockową, a wy gracie rocka.
– Myślę, że nigdy nie chcieliśmy być pokochani i odbiorcy to czują. Wiedzą, kiedy artysta jest napalony, gorący i zrobi wszystko, żeby go polubić. Nie ma w tym niczego złego, są artyści, którzy po prostu są zwierzętami scenicznymi, pragną tego za wszelką cenę i ludzie ich uwielbiają. Tylko my nigdy tacy nie byliśmy. Byliśmy może nie odwróceni plecami do publiczności, ale bokiem.

Z kolei publiczność zawsze czuła, że nasza muzyka nie jest rozrywką. Trupa Trupa to zespół, którego trzy czwarte stanowią absolwenci Akademii Sztuk Pięknych, ja jestem pisarzem, więc zawsze tworzyliśmy muzykę niszową i było nam z tym do twarzy. Nawet jak u nas wszystko się teoretycznie zgadza, to i tak nic się nie zgadza, bo jesteśmy raczej dziwnymi, wsobnymi osobami. U nas najważniejsza jest sama droga i muzyka. Nie odwracamy się za siebie, schodzimy pod ziemię i świdrujemy tunele jak jacyś górnicy.

Jak to się wszystko zaczęło? Zespół powstał, kiedy już zdobywałeś uznanie jako literat, miałeś platformę do osobistej artystycznej ekspresji. Po co szukałeś innej, nowej?
– Zawsze byłem muzykiem, byłem nim, zanim zostałem poetą. W dzieciństwie chodziłem do szkoły muzycznej, grałem na klarnecie i saksofonie. Świat historii, czyli doświadczenie obozów koncentracyjnych w mojej rodzinie i ukrywania się w lesie żydowskiej rodziny mojej żony, opowieści snute przy rodzinnym stole, to wszystko połączyło się ze sztuką, z uwielbieniem piękna.

– Boję się ludzi. Jestem nimi absolutnie przerażony – mówi. Ze strachu i rodzinnej traumy uczynił paliwo dla swojej poezji i piosenek grupy Trupa Trupa.

• Grzegorz Kwiatkowski na koncercie w Hanowerze. Razem z nim zespół tworzą: Tomek Pawluczuk (perkusja) i Wojtek Juchniewicz (gitara basowa, śpiew)

FOT. BRIAN KRAMER

Jako nastolatek zostałem koordynatorem Amnesty International i mroczna przeszłość okazała się teraźniejszością, kwestia łamania praw człowieka nie była już tylko zagadnieniem historycznym. W naturalny sposób połączyło się to z moją miłością do literatury, a literatura to też liryka, poezja, a więc znowu muzyka. Dla mnie to wszystko było jednym i tym samym.

Wiadomo, że młody człowiek ma w sobie tak wielkie naddatki energetyczne, że musi się nimi z kimś podzielić, ja też musiałem działać na dziesięciu frontach, inaczej bym oszalał. Trupa Trupa powstała, bo potrzebowałem kooperacji, synergii, wymiany. Ja bardzo chcę się komunikować, a nie ma lepszego narzędzia komunikacji międzyludzkiej niż muzyka. Uważam, że ona najskuteczniej przekazuje i trudne, skomplikowane emocje i te ładne, i piękno, i romantyzm.

Skuteczniej niż literatura?
– Kiedy jesteś poetą, komunikacja z innymi ludźmi jest ograniczona. To zresztą bardzo małe, ciasne środowisko. Na spotkania autorskie przychodzi po pięć, siedem osób, a każda z tych osób jest też poetką/poetą. Nie czułem się w tym dobrze.

Od dzieciństwa nie tylko wierzyłem, że wszystko jest możliwe, ale w dodatku otwarcie o tym mówiłem. Przez to również nie byłem akceptowany w Polsce, karcono mnie za pychę, narcyzm, egotyzm. Kim ty właściwie jesteś, że tego wszystkiego chcesz?

Dopiero przypadkowy kontakt z tak zwanym światem zachodnim wszystko zmienił. Zostałem zaakceptowany ze swoją wsobnością, niszowością, a jednocześnie chęcią ekspresji, robienia rzeczy w poprzek, krzywo. Zachód zaakceptował moją indywidualność, bo w Polsce byłem ciągle pouczany, że piszę nie tak, jak powinienem i gram inaczej, niż się ode mnie oczekuje. Próbowano mnie ustawiać jak w szkole. Miałem dorosnąć i w końcu zająć swoje miejsce. Miałem stanąć w kolejce, a ja nigdy nie chciałem stać w żadnej kolejce. Nie akceptowałem tej postsowieckiej beznadziei, tego zakładania, że coś muszę albo czegoś nie mogę. Sam sobie budowałem infrastrukturę dla swojej wrażliwości.

Naprawdę myślisz, że brak zrozumienia dla twojej twórczości wynika z naszych historycznych doświadczeń?
– Kiedy otrzymałem propozycję rocznej rezydencji na Yale, jednej z najlepszych uczelni na świecie, dostałem gratulacje od różnych znajomych. Większości gratulacji z Polski towarzyszyło pytanie: „Jak sobie to załatwiłeś?”.

Jakie to straszne i arcypolskie pytanie.

Odpowiadałem, że załatwiłem to sobie ciężką pracą, swoimi książkami, wykładami na całym świecie. Myślę, że źródłem tego pytania jest społeczna nieufność i niedojrzałość, która wiąże się z historią, brakiem państwowości, brakiem normalności, życiem w ciągłej patologii. Jak masz ciągle stan wojenny, to jak możesz być dumny z siebie, jak masz siebie lubić? Albo wierzyć w czyjś sukces, a nawet się nim cieszyć?

Położeni pomiędzy Niemcami a Rosją przez setki lat byliśmy w orbicie okołowojennej i to nas zniszczyło psychicznie, cały naród. Teraz oczywiście jest lepiej, z roku na rok coraz lepiej, ale mam apetyt na więcej, nie chcę czekać cztery pokolenia, aż będzie zupełnie inaczej.

Tym bardziej że świat się znowu chwieje, zmierza w stronę wojny światowej i nie wiadomo, czy będzie w ogóle na co czekać.

Skąd w tobie to samozaparcie?
– Urodziłem się w najgorszej dzielnicy Gdańska, na Oruni, i mieszkałem tam do szóstego roku życia. Wielu moich kolegów skończyło w więzieniach, a my wyprowadziliśmy się do superdzielnicy Wrzeszcz, rodzice skończyli studia, byłem beneficjentem systemu.

Zawsze jednak pamiętam o tym, że mogłem tam zostać.

Zacznijmy od początku. Jak narodziłeś się jako artysta?
– Mój dziadek był więźniem obozu. Miałem dziewięć lat, kiedy wziął mnie do Muzeum Stutthof. To była jego pierwsza wizyta w tym miejscu po II wojnie światowej i wycieczka z wnuczkiem przerodziła się w hor-

eprasa.pl 817e671fa2

ror. Ledwie wszedł za bramę i zaczął płakać, krzyczeć, rekonstruować, a ja nie widziałem, co się dzieje. Dziadek jako nastolatek był odpowiedzialny za wynoszenie ciał zmarłych ze szpitala obozowego. Potem został wcielony siłą do Wehrmachtu, gdzie był odpowiedzialny za zbieranie tysięcy ciał Niemców, ofiar alianckich bombardowań na zachodzie Niemiec. Był człowiekiem traumy.

Dwa lata temu znalazłem przypadkowo jego notatki obozowe i okazało się, że pisał tak jak ja. Czy raczej ja piszę tak jak mój dziadek. To jest 99 proc. mojego tonu, narracji. Pokazałem to moim tłumaczom i myśleli, że żartuję, że sam to dla żartów spreparowałem.

Nie miałeś wcześniej kontaktu z jakimiś jego tekstami, nawet powojennymi?
– Nie, nie miałem, a on prawie z nami nie rozmawiał. To niesamowita historia, przykład pamięci genetycznej. Od młodości robię tę samą rzecz, czyli sztukę dotyczącą przemocy, nienawiści, potencjału ludzkiego do wybijania siebie nawzajem.

Przez pierwsze lata pytano mnie co chwilę, po co ja to robię. Czemu w ogóle zajmuję się jakąś II wojną światową, rekonstrukcją wydarzeń, komu to jest potrzebne? Przecież żyjemy w nowym świecie, bez wojen i jestem jakimś pomylonym archeologiem. Słyszałem, że nigdy nie zrobię kariery, bo zatrzymałem się w przeszłości.

Nie zgadzałem się z tym, bo uważałem, że II wojna światowa mówi o nas teraz. Wystarczy jeden zapłon i za chwilę wielu z nas zamieni się w oprawców. Teraz zeitgeist się zmienił i z tak zwanego końca historii wyłoniły się kolejne wojny, i wszyscy już to widzą. Nie sposób tego nie zauważyć.

Wydaje mi się, że mam radar, talent do wyczuwania skrajnych, granicznych momentów, które nie są dobrze widoczne, tylko ukryte między wierszami.

Swoją drogą – i wiem, że skaczę tu trochę z tematu na temat – specjalistka, która konsultowała mojego syna, powiedziała, że on co prawda nie jest w spektrum autyzmu, za to ja na pewno jestem.

I to może tłumaczyć specyficzny język moich wierszy.

Kilka lat temu Peter Constantine, jeden z najwybitniejszych tłumaczy na świecie, z którym mam szczęście współpracować, powiedział mi, że poezja jest czymś, co znajduje się między wierszami. Nie zrozumiałem tego i wręcz byłem tym zawstydzony, bo przecież niczego nie ma pomiędzy linijkami. Dopiero kiedy dowiedziałem się, jak odbierają świat niektóre osoby w spektrum autyzmu, zrozumiałem, że właściwie nie powinienem być poetą. Piszę wiersze, ale nie wiem, co z nich wyniknie, co one generują. Trochę tak jakbym był ślepy i malował obrazy. Z drugiej strony może właśnie na tym polega siła tej poezji, że jest jakby inaczej zrobiona.

To fascynujące, ale abstrahując od formy, trudno się spodziewać po tobie innych treści, skoro dziadek cię tak straumatyzował. Spacer po obozie koncentracyjnym, w dodatku w towarzystwie cierpiącej ofiary... to nie jest miejsce i opowieść dla dziewięciolatka.
– To było jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu, ono w pewnym sensie mnie stworzyło. Z jednej strony miałem pesymizm i tę traumę przekazaną przez dziadka od strony taty, Józefa Kwiatkowskiego, który był smutnym i raczej chłodnym człowiekiem, ale po stronie mamy miałem bardzo radosną rodzinę, pełną humoru, dom pełen miłości i radości.

Ale jak już wspomniałem, mam talent do odkrywania tajemnic. Rodzina mojej mamy to Cymanowie. Niedawno okazało się, że mój ukochany dziadek Leon, ojciec mamy, jeszcze po wojnie nazywał się Ziemann i zmienił nazwisko w urzędzie. Podczas ostatnich świąt siostra mamy się wygadała. Mama była zła, bo teraz trzyma narrację prawicową. „Droga mamo, a więc twój tata był Niemcem?" – zapytałem. „Nie ma takiej opcji! – protestowała. – On był przecież na robotach przymusowych".

A ciocia na to: „Nie, one nie były przymusowe, normalnie mu płacili".

W powieści „Idiota" Dostojewskiego jest książę Lew Myszkin. Wydaje mi się, że jestem trochę do niego podobny, w tym sensie, że wchodzę w jakieś środowisko i powoduję pewne przepięcia, zadając prostoduszne, prostolinijne pytania. Wydobywam na powierzchnię to, co ukryte.

To samo było z żydowską rodziną mojej żony. Jej babcia, która mieszkała wtedy w Kalifornii, przyjechała na swoje urodziny do Polski. Podczas tej uroczystości zapytałem ją naiwnie, jak to ja: „Co pani robiła podczas II wojny światowej?". „Ukrywałam się w lesie" – odpowiedziała. „Ale czemu? Polacy przecież nie ukrywali w lesie. Czy jest pani Żydówką?" – zapytałem przy stole urodzinowym. „Nie jestem! Nienawidzę Żydów" – zaczęła mówić podniesionym głosem. – „Jak byłam mała, widziałam dwóch żydowskich chłopców, którzy ukradli komunię świętą z kościoła, wzięli ją na łąkę i rozbili młotami". „Znam tę historię. To pogromowa historia ze średniowiecza, pani kłamie" – ja na to.

To był koniec imprezy, urodziny były zaorane.

Wiele lat później okazało się, że to nie była dla nich tajemnica, ale antysemityzm i niechęć do obcych były tak powszechne, że nikt nie kwapił się do poruszania tych tematów.

Ludzie nie chcieli pamiętać o rodzinnych historiach nie tyle przez niechęć wobec obcych, ile ze strachu. W moich stronach, na Podkarpaciu, już po wojnie wielu zapominało z dnia na dzień o swoim pochodzeniu, bo za płotem była akcja „Wisła" i przesiedlenia, nikt nie chciał podzielić losu swoich sąsiadów.
– Masz rację. To jest też kwestia ochrony. Moja żona po 7 października 2023 r. powiedziała, że woli, żebym na uczelniach nie mówił o żydowskiej historii jej rodziny. Zaczęła się bać, chociaż nie jest, broń Boże, zwolenniczką Netanjahu. Ma strach w genach i on się uaktywnił.

Ty się nie boisz?
– Boję się ludzi. Jestem nimi absolutnie przerażony. Dlatego przez wiele lat nie chciałem mieć rodziny, a Schopenhauer był i jest moim ulubionym filozofem. Byliśmy z żoną w separacji, bo ona chciała założyć rodzinę, a ja nie chciałem. Uważałem, że nie powinienem nikogo sprowadzać na ten świat, bo to przerażające miejsce.

To, co robię w poezji, muzyce, na uniwersytetach czy w aktywizmie, jest próbą zaklinania rzeczywistości. Jest moją wiarą w to, że ten świat da się oswoić, że dobro wygra.

Wspomniałeś o rezydencji na Yale, która związana jest z Archiwum Świadectw Holocaustu Fortunoffa, ogromnym zbiorem relacji ocalałych z Zagłady. Co dokładnie będziesz tam robił?
– To rezydencja, której głównym celem jest napisanie książki. Będę tworzył wiersze inspirowane świadectwami z archiwum Fortunoffa. Zasadniczo rzecz biorąc, będę robił to, co robiłem przez lata. Trzy czwarte mojej poezji opiera się na głosach z przeszłości lub teraźniejszości mówiących o nienawiści. Zawsze filtrowałem czyjeś wypowiedzi, szukając słów, które są zapalnikami.

Wybacz, ale nie zapytałem jeszcze, jak to sobie załatwiłeś?
– Parę lat temu ukazała się w Ameryce moja książka „Crops". Malutka, zawierająca 21 wierszy, ale w świetnym tłumaczeniu Constantine'a. Książka, która mówi o przemocy i o rzeczach, o których nie da się pisać. Zrobiła furorę, wszystko zmieniła w moim życiu. Byłem zapraszany na wykłady na najlepsze uczelnie świata, typu Stanford, Oksford czy Berkeley.

W końcu Uniwersytet Oksfordzki poprosił mnie o prowadzenie cyklu warsztatów o nienawiści. Na jeden z nich zaprosiliśmy na przykład szefa brytyjskiego kontyngentu medycznego w Rwandzie, który był świadkiem ludobójstwa. W trakcie takich rozmów okazuje się, że opcja czarno-biała jest wykluczona. Chcemy widzieć podział na dobro i zło, żeby źli ludzie byli źli, a dobrzy – dobrzy. Niestety, to nie jest takie proste.

Twoje warsztaty na Oksfordzie były rozmowami o „wirusie nienawiści". Tymczasem wirus to jest coś obcego, przychodzi z zewnątrz i jeśli będziemy mieli z tym kontakt, możemy się zarazić, ulec. Czy nie uczciwiej byłoby mówić o genie nienawiści, o czymś, co, niestety, każdy z nas w sobie nosi?
– Masz absolutną rację. Mark Harrisson, z którym prowadzę te warsztaty, wymyślił ich nazwę. Jako prowokacyjną, nieprawdziwą.

Nienawiść rzeczywiście jest w nas. Jesteśmy ludźmi, a więc zwierzętami noszącymi piętno milionów lat ewolucji. To będzie uproszczenie, ale chyba nie przeszarżuję, kiedy powiem, że ludzie na ogół zabijają, kiedy się boją. Stąd tak ważna rola polaryzacji w polityce, bo wszystkim politykom zależy na ty, żebyśmy się bali i próbowali coś z tym strachem zrobić. Na przykład przekierować na jakąś grupę etniczną.

Każdy swój wykład, każde uniwersyteckie wystąpienie kończę cytatem z Beatlesów: „All you need is love". Kiedyś uważałem to za najgłupsze słowa na świecie, bardzo mnie drażniły. Do czasu narodzin mojego pierwszego syna, co miało miejsce sześć lat temu, w ogóle nie lubiłem słowa „miłość", nie lubiłem emocji, drażniły mnie, uważałem je za zakłamane. Teraz uważam, że powinniśmy się komunikować w tak mało przemocowy sposób, jak tylko się da. Powinniśmy dążyć do wielogłosu, akceptować różnorodność. To, że jesteśmy inni, nie jest problemem, ale wartością.

Do niedawna wydawało mi się, że świat wielogłosu się poszerza, ale znowu spadła na nas polaryzacyjna czapa i wszyscy się radykalizują.

Na moim feedzie na Twitterze ciągle pojawiają się filmiki sponsorowane przez jakieś rosyjskie fundacje, które pokazują, jak strasznie zachowują się imigranci w Europie Zachodniej czy Ameryce. Niby jestem na to odporny, ale jeśli wpada mi to w oko 60 razy dziennie, to czasem przyłapuję się nie tylko na tym, że oglądam do końca, ale też na myśli: „O, ale strasznie się ktoś zachował". Zaczynam to wszystko łykać, a potem się tego wstydzę.

Wydaje mi się, że każdego da się skruszyć przez bombardowanie odpowiednio dobranymi informacjami. Moi rodzice wywodzą się z tradycji solidarnościowej, zawsze głosowali na partie liberalne, ale oglądali publiczną telewizję i przez osiem lat rządów PiS zmienili się w pisowców.

Cały świat zmienia się tak szybko, nie tylko na gorsze, że nie sposób za tym nadążyć, nie jesteśmy sobie w stanie tego wszystkiego odpowiednio poukładać. Szukamy więc uproszczonych odpowiedzi na złożone pytania. A te najprostsze odpowiedzi często prowadzą do podziału na zwalczające się plemiona albo do bezkrytycznego spojrzenia na przeszłość, która jawi się jako arkadia, nawet jeśli była peerelowskim syfem.
– Masz rację. Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem naiwnym idealistą. Czytam dużo artykułów, od lewa do prawa, a mimo to moje diagnozy polityczne prawie zawsze są chybione. Byłem na przykład przekonany, że Kamala Harris wygra amerykańskie wybory.

Dwa tygodnie poprzedzające wybory spędziłem na amerykańskiej prowincji, więc nie miałem wątpliwości, że jednak Donald Trump.
– A ja w tym czasie byłem na salonach Nowego Jorku, gdzie wszyscy popierali Harris. Byłem w mikrobańce. Dodatkowo pompowanej przez dziennikarzy z tych salonów. Zawsze uważałem się za raczej bystrego, ale widzę, że się gubię. Ta mnogość, którą postuluję, też mi szkodzi, bo przegrzewam się, męczę. Świadomość, że świat się pali, również nie pomaga.

Warto próbować go gasić? Możemy coś z tym zrobić?
– Wierzę w aktywizm, w wartość indywidualnych spotkań, rozmów i akceptacji tego, że ktoś ma inne poglądy. Komunikacja za wszelką cenę jest coraz trudniejsza, ale trzeba to robić.

Wspomniałem już, że w liceum byłem koordynatorem Amnesty International w Trójmieście. Organizacji, której tradycją są maratony pisanie listów. Ktoś torturuje ludzi w Iraku i nagle to więzienie dostaje 150 tys. listów z całego świata. Na ogół tortury były wstrzymywane, bo władza była przerażona tym, że oczy całego świata są na nią zwrócone.

Później, już jako dojrzały człowiek, też pisałem listy, jak coś mi nie pasowało. Podam przykład. W Gdańsku było getto na Wyspie Spichrzów, w którym umierali gdańscy Żydzi. Jednak poza garstką historyków nikt o nim nie wiedział. Wiele lat temu zacząłem pisać w tej sprawie listy do Urzędu Miasta. Raz, drugi, trzeci... Ktoś obiecał, że coś zrobi, ktoś inny odpisał, że nie zrobi, bo gdańskie getto było za małe, więc nie ma o czym mówić. Błędem tego getta było to, że było znacznie mniejsze od krakowskiego czy warszawskiego.

Ciekawe, kiedy getto zaczyna być w sam raz.

FOT. ADAM FURTAK

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

– „Getto w sam raz” – supertytuł na książkę. Kupuję! W każdym razie po ośmiu latach uderzania głową w mur doczekałem się happy endu. Miasto Gdańsk upamiętniło getto. Powieszono tabliczkę informacyjną. To naprawdę dużo. Prawie wszystkie autokary z niemieckimi turystami zatrzymują się na parkingu nieopodal, więc pierwszą rzeczą, jaką widzą ci ludzie, wysiadając, jest tabliczka, że tutaj było getto i umierali Żydzi.

Piszę też listy w sprawie butów.

Butów?

– Razem z Rafałem Wojczalem, moim przyjacielem z Trupa Trupa, przy płocie Muzeum Stutthof, przy tym obozie mojego dziadka i jego siostry, znaleźliśmy niemal pół miliona par butów. Wchodzi się do lasu i ściółka jest tak miękka, jakbyś spacerował po najlepszym dywanie, a gdy popada mocniejszy deszcz, wychodzą z ziemi buty. Dziecięce, kobiece, każdego rodzaju.

Okazało się, że Stutthof był centrum naprawczym obuwia dla wszystkich obozów koncentracyjnych w Europie. Kiedy Armia Czerwona wyzwoliła obóz w 1945 r., żołnierzy powitały piramidy butów. Doliczyli się wtedy pół miliona par, łącznie miliona sztuk. W 1967 roku powołano do życia muzeum i garstka tych butów trafiła na wystawę główną, ale większość po prostu wyrzucono do lasu, za płot.

Próbowaliśmy coś z tym zrobić. Poszliśmy do dyrektora muzeum, który nas wyśmiał, przerzucił odpowiedzialność na nadleśnictwo, a nadleśnictwo z powrotem na muzeum i tak dalej, i tak dalej. Nie da się, nie można, nie ma tematu, te buty są zbyt zniszczone, żeby je zachować...

Naszym zdaniem to są artefakty ludobójstwa, jednego z największych w historii świata i absolutnie należy się tym pamiątkom szacunek. Jestem przekonany, że problemem jest to, czyje były te buty. Większość przywieziono z Auschwitz, należały do Żydów zamordowanych w komorach gazowych. Gdyby należały na przykład do powstańców warszawskich, wszystkie już dawno byłyby ponumerowane i skatalogowanie, a obok stałby pomnik.

Na szczęście po zmianie władzy w Ministerstwie Kultury pojawił się Piotr Rypson, bardzo poważny i dobry człowiek. On jest współodpowiedzialny za nadzór nad muzeami w Polsce i próbuje coś z tym zrobić.

Dziesięć lat pisania listów i pojawiło się światełko w tunelu. Nie zniechęcasz się odmowami albo brakiem odpowiedzi?

– Dzięki współczesnej technologii coraz łatwiej być sygnalistą, protestować i alarmować. Chętnie z tych możliwości korzystam, choć nie zawsze się udaje. Na przykład rok temu była ta fatalna akcja z Grzegorzem Braunem i gaśnicą. Zrobił to chwilę po upamiętnieniu getta w Gdańsku, to odbiło się fatalnie na wizerunku Polski.

Było mi z tym tak bardzo źle, że poprosiłem prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkiewicz, żeby zrobiła w Urzędzie Miasta spotkanie chanukowe, zapalanie świec, żeby pokazać, że Gdańsk jest inny, że pamięta. Tego samego dnia dostałem od pani prezydent odpowiedź, że jutro robimy takie spotkanie z gminą żydowską. Jesteśmy miastem Pawła Adamowicza, który zginął przez prawicową mowę nienawiści, i moim zdaniem wiąże się z tym swego rodzaju zobowiązanie, pokojowe dziedzictwo. To dla nas bardzo ważne.

Po tym wszystkim prezydent zaprosiła mnie na spotkanie w sprawie upamiętnienia życia żydowskiego w Gdańsku. Zapytała: „Panie Grzegorzu, co jeszcze chciałby pan zmienić?”. Powiedziałem, że powinny być stolpersteiny, kamienie pamięci, i usłyszałem, że będą, nie ma sprawy. Jak widzisz, cuda się zdarzają, tylko trzeba o nie długo walczyć, czasem wiele, wiele lat. Nie wolno się poddawać. To dotyczy nie tylko pamięci, ale też poezji, muzyki, bycia tatą, każdej relacji. O wszystko trzeba dbać i wtedy będzie OK.

Współczesne wydarzenia nakładają na przeszłość nowe konteksty. Twoje wiersze, piosenki Trupa Trupa i twoje wykłady nabierają nowych znaczeń po Buczy, ale też po ataku Hamasu na Izrael i bezlitosnej na ten atak odpowiedzi. Czy to wpływa na odbiór tego, z czym przychodzisz?

– Jeśli ktoś łamie prawa człowieka, jeśli ktoś popełnia zbrodnie wojenne, nie można o tym milczeć. Na moich wykładach mówiłem i o terrorystycznym, brutalnym ataku Hamasu, i o tym, że Netanjahu jest odpowiedzialny za zbrodnie wojenne. Nikt nie protestował, nie próbował mnie kneblować czy nawet sugerować, że nie powinienem tego mówić, bo jesteśmy na wydziale judaistyki.

Dużo jednak się zmieniło. Do tej pory mieliśmy do czynienia z negacjonizmem, ktoś mówił, że nie było Holocaustu – i z tym walczono. Teraz pojawił się nowy problem, moim zdaniem większy, bo coraz więcej ludzi mówi tak: „Owszem, był Holocaust i zamordowano 6 mln Żydów, ale co nas to obchodzi? Przecież Żydzi mordują małe dzieci w Gazie...”. To wszystko wpływa na to, co robię.

W powieści „Idiota” Dostojewskiego jest książę Lew Myszkin. Jestem do niego podobny, w tym sensie, że wchodzę w jakieś środowisko i powoduję przepięcia zadając, prostolinijne pytania. Wydobywam na powierzchnię to, co ukryte

Nie jestem politologiem ani historykiem, ja próbuję w swojej sztuce opowiedzieć o mechanizmie przemocy. Robię to na przykładzie tego, do czego mi najbliżej, a więc historii rodzinnej. Jeśli sztuka jest dobra, nabiera uniwersalnych walorów i każdy może się w niej odnaleźć. Niezależnie od tego, czy opowieść jest o mordowaniu Żydów, Irakijczyków czy Czeczenów.

Swoją drogą, kto dziś pamięta o Czeczenach? Mam kolegę, Henry’ego Theriault, który był prezesem międzynarodowego stowarzyszenia naukowców zajmujących się ludobójstwem. Czasem piszę do niego, że mi serce pęka, że już nie mogę wytrzymać, dzieje się coś tak strasznego... „Rozumiem cię, ale to jest kwestia oka kamery, bo takie rzeczy dzieją się ciągle” – odpowiada i przesyła mi listę konfliktów, które aktualnie rozgrywają się na całym świecie. Podaje dane: ile ginie dzieci, ilu dorosłych. Tłumaczy mi, jak jesteśmy wybiórczy w swojej empatii i często protestujemy w jakiejś sprawie, bo akurat jest modna, inną, podobną zupełnie ignorując. Na przykład wojna w Ukrainie przestała być modna...

Choć moim zdaniem nie powinniśmy nikogo rozliczać z tego, czy i w jakiej sprawie zabiera głos albo jak to robi. Każdy rodzaj protestu przeciwko nienawiści i przemocy jest OK, nawet jeśli bierze się z koniunkturalizmu. Ludzie, którzy protestują, są błogosławieni.

Czy zajmowanie się najmroczniejszymi obliczami naszej cywilizacji może się odbywać bezkosztowo? Pewnie jesteś człowiekiem spełnionym, ale czy szczęśliwym?

– Jestem szczęśliwy. Mam 40 lat, dwóch wspaniałych synów, przepiękną i mądrą żonę. Mam superzespół, karierę muzyczną, uniwersytecką, literacką. Moje książki tłumaczone są na różne języki, mam za co żyć. Jestem zachwycony tym, że to wszystko mi się udaje.

Ale jednocześnie żyję z tym ciemnym piętnem, które przekazał mi dziadek. Jest we mnie strach. Mówiłem dzisiaj o tym, że wiele osób mnie nie akceptowało, że wiele osób mówiło mi: „nie da się”, „nie ma opcji”, „nie można”, ale pytanie brzmi, czy to pełna prawda, czy tylko ja to tak widziałem? Jeśli jesteś nastroszony i przerażony, to widzisz wokół siebie tylko złych ludzi. Jest we mnie duża chęć do podważania przede wszystkim samego siebie. Zaglądasz pod podszewkę i myślisz, co jest prawdą, a co nie. Czy to, co ci powiedziałem, jest prawdą, czy zmyśleniem i ochronną kreacją?

Myślę, że nie ma tutaj dobrych odpowiedzi, ale jest ruch i dynamika, i komunikacja. Dwóch ludzi, którzy się opukują, nasłuchują, testują i finalnie, zamiast się pobić i zabić, po prostu sobie rozmawiamy. ●

FOT. MARTYNA NIEĆKO

Grzegorz Kwiatkowski

• ur. w 1984 r. w Gdańsku. Poeta, muzyk i aktywista. Autor książek poetyckich poruszających tematykę historii, pamięci i etyki. Na Uniwersytecie Oksfordzkim współprowadzi warsztaty „Virus of Hate” i „What About Exclusion?”, z wykładami gościł na wielu innych prestiżowych uczelniach po obu stronach oceanu. Artysta rezydent Yale University w 2025 roku. Gra na gitarze i śpiewa w zespole Trupa Trupa specjalizującym się w ponurym, psychodelicznym rocku. Muzyka grupy ukazuje się na świecie z nalepkami znakomitych niezależnych wytwórni, m.in. Sub Pop, Glitterbeat i Lovitt Records, a recenzują ją – entuzjastycznie – największe media, nie tylko muzyczne. Ich utwór trafił na ścieżkę dźwiękową „Zielonej granicy” Agnieszki Holland. Najnowsze wydawnictwo Trupa Trupa to minialbum „Mourners” wyprodukowany przez Nicka Launaya, współpracownika m.in. Nicka Cave’a i Idles.

REKLAMA

Kraj/34363148

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

PERSPEKTYWA „BIAŁEGO ZDOBYWCY"

Emilia Dłużewska

Kenię obok Masaja reprezentuje Beach Boy. To tak, jakby Polskę opisać przez postać górala w kapelusiku z muszelkami i pana oferującego podróżującym PKP „piwo jasne pełne". Muzeum Etnograficzne usuwa eksponaty i zmienia wystawę

Dążymy do zmiany całej wystawy – mówi Magdalena Wróblewska, dyrektorka Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. – Ale jeśli zgłaszają się do nas widzowie, którzy uważają, że wystawa jest krzywdząca, to nie czekamy.

Warszawska instytucja nie jest jedyna. Swoje wystawy w ostatnich latach rewidowały muzea w Niemczech, Wielkiej Brytanii, USA, Holandii, we Francji, w Nowej Zelandii. To efekt debaty o eksponatach zagrabionych w czasach kolonialnych czy pozyskiwanych w wyniku skrajnie niekorzystnych umów. Raport francuskich badaczy Felwine'a Sarra i Bénédicte Savoy z 2019 r. ujawnił, że ponad 90 proc. materialnego dziedzictwa Afryki znajduje się w zbiorach poza tym kontynentem.

To się zmienia. Jednym z symboli tej zmiany stały się tzw. Brązy z Beninu – wyrafinowane rzeźby i płaskorzeźby z pałacu królestwa Beninu znajdującego się na terenie dzisiejszej Nigerii. Po koniec XIX w. jego stolicę po krwawej kampanii podbili Brytyjczycy. Większość zabytkowych artefaktów wywieźli do The British Museum, reszta trafiła na aukcje, a stamtąd na wystawy w innych krajach. W ciągu ostatnich lat Nigeria odzyskała część Brązów, negocjacje w sprawie innych trwają.

Z dyrektorką PME Magdaleną Wróblewską spotykam się na wystawie „Afrykańskie wyprawy, azjatyckie drogi" pod gablotą podpisaną „Brązy z Beninu". Zwrot akurat tych obiektów jest mało prawdopodobny. Jak wyjaśnia Wróblewska, nie pochodzą z królewskiego pałacu. Zostały wykonane przez lokalnych rzemieślników z terenów królestwa Beninu, ale są dużo młodsze i mniej wartościowe.

– W naszym przypadku kwestia restytucji nie jest głównym problemem, choć może ona dotyczyć wybranych obiektów. Problemem jest natomiast wiedza, którą muzeum przekazuje – tłumaczy.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Magdalena Wróblewska, dyrektorka Muzeum Etnograficznego, obok gabloty ze strojem obrzędowym ludu Bakuba, jednym z najceniejszych obiektów na wystawie. Jego opis np. kwestia pochodzenia także wymagała korekty**

Kolonialne marzenia Polaków

Wróblewska zarządza Muzeum Etnograficznym od listopada 2023 r., ale jego kolekcję zaczęła badać jeszcze za poprzedniego dyrektora Roberta Zydla. Wówczas jako akademiczka zajmująca się związkami między kolonializmem a muzeami.

To kwestia, która Polakom może wydawać się abstrakcyjna. W przeciwieństwie do Brytyjczyków, Niemców czy Holendrów Polska nie miała kolonii. W dodatku kolekcje, w tym Państwowego Muzeum Etnograficznego, zostały w czasie II wojny zniszczone lub zagrabione. Ale sprawa nie jest taka prosta. Bo choć Polska kolonii nie miała, podzielała kolonialne ambicje innych europejskich państw.

Etnograficzne powstało jako wyraz tych dążeń. Zalążkiem oryginalnej kolekcji stały się obiekty przywiezione z terenów dzisiejszego Kamerunu przez Leopolda Janikowskiego, który w latach 80. XIX w. wyruszył ze Stefanem Szolc-Rogozińskim na pierwszą polską ekspedycję do Afryki.

Polaków pchała tam nie tylko ciekawość. Kraj znajdował się pod zaborami, dysydenci marzyli o drugiej ojczyźnie. Wyprawę finansowali obywatele, m.in. Henryk Sienkie-

eprasa.pl 817e671fa2

▲ **Miejsce po pochodzącej z XV w. figurce „Wojownika/Pisarza”, z królewskich Brązów z Beninu. Była wypożyczona z prywatnej kolekcji i do niej wróciła** FOT. PRZEMYSŁAW WALCZAK/PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE

◀ **Ekspozycja „Afrykańskie wyprawy, azjatyckie drogi” została przygotowana dzięki dotacji unijnej i ma być pokazywana jeszcze dwa lata. Potem – jak zapowiada dyrektorka PME – zostanie zmieniona** FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

◀◀ **Maski podpisane: „Siły drzemiące w buszu”. To przykład instalacji wymagającej zmiany opisu. Pochodzą z różnych miejsc także tych, gdzie busz w ogóle nie rośnie** FOT. PRZEMYSŁAW WALCZAK/PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE

wicz. Podróżnikom udało się nawet kupić w Afryce ziemię, ale kolonialne plany spełzły na niczym, gdy tereny dzisiejszego Kamerunu zajęli Niemcy.

Wrócili do Polski bez sukcesów, za to z pozycją autorytetów. – Ani Janikowski, ani Szolc-Rogoziński nie byli etnografami. Ale w ich czasach sam fakt, że pojechali do Afryki, zobaczyli coś na własne oczy, wystarczył – tłumaczy Wróblewska.

Zwłaszcza że w XIX w., gdy powstawały muzea etnograficzne, opowiadanie o innych kulturach z perspektywy białego podróżnika było powszechne i przezroczyste. – Polacy sami znajdowali się poniekąd w sytuacji kolonialnej: ich kraj był okupowany przez sąsiednie imperia, a przez niemieckich etnografów byli orientalizowani. Ale nie widzieli tej analogii lub nie chcieli jej widzieć. Walczyli o miejsce w „białej” Europie między innymi przez otwieranie muzeów pokazujących sztukę afrykańską – zauważa dyrektorka.

Co drzemie w buszu

Od tamtych czasów minęło sto lat. Nasza wiedza o innych kulturach bardzo się zmieniła, podobnie jak praktyki muzealnicze, choć perspektywę „białego zdobywcy” nie tak łatwo wykorzenić. Wciąż pokutuje w kulturze popularnej, na podróżniczych blogach czy w telewizyjnych programach typu „Azja Express”.

To przypadki skrajne, są i subtelniejsze. W przypadku warszawskiej wystawy problemem nie jest to, co mówi, ale to, o czym nie wspomina. – Tekstu na wystawie jest niedużo, więc stereotypowe wyobrażenie nie jest łatwo czytelne. Co nie znaczy, że nie oddziałuje – mówi Wróblewska.

Jakie to stereotypy? Między innymi traktowanie Afryki jako jednolitego miejsca, pomijanie historycznych i współczesnych różnic między poszczególnymi państwami czy przenoszenie nacisku z kultury na naturę. Dyrektorka zwraca uwagę, że eksponaty w muzeum są opisane hasłowo, często bez wytłumaczenia, czym są i do czego służą. W efekcie są niezrozumiałe i niepokojące, budujące przekonanie o „magicznym” czy „dzikim” charakterze kontynentu. Jak w przypadku instalacji z masek podpisanej „Siły drzemiące w buszu”.

Wróblewska: – Obiekty pochodzące z różnych miejsc w Afryce są zgromadzone w jednym miejscu, bez opisu. Widz nie wie, jakie spełniały funkcje. Słowo „busz” przenosi to, co kulturowe, w obszar natury. Jakby nie były to obiekty wytworzone przez ludzi w konkretnym celu, lecz wytwory jakichś tajemniczych sił. Do tego, jak zauważyła Amy N. Muhoro, współkuratorka nadchodzącej fotograficznej wystawy „Afrotopie”, część masek pochodzi z regionów Afryki, w których busz w ogóle nie rośnie.

To niejedyna nieścisłość. Muzeum wie o tym od samych widzów. W 2023 r. do Roberta Zydla zgłosił się mieszkający w Warszawie kenijski aktywista Stanley Ndua, który zwracał uwagę na fragmenty dotyczące Kenii. I już wówczas PME zaczęło przyglądać się ekspozycji i pracować nad wprowadzeniem zmian.

Kiedy w listopadzie 2023 r. Zydel zrezygnował z funkcji, by kierować Fabryką Czekolady Wedel, zadanie przejęła Magdalena Wróblewska. Muzeum zaprosiło do dyskusji mieszkających w Polsce Afrykanów i osoby pochodzenia afrykańskiego. Efektem jest seria interwencji w wystawę.

Benińskie brązy tanio kupię

Na czym polegają? W dwóch przypadkach na zostawieniu na wystawie pustego miejsca. Elegancko oświetloną pustkę można oglądać m.in. w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się pochodząca z XV w. figurka z Beninu – jedyny eksponat faktycznie pochodzący z królewskiego dworu.

Figurkę opisaną jako „wojownik” PME wypożyczyło wraz z resztą brązów z kolekcji Ryszarda Bojarskiego, polskiego inżyniera, który pracował w Nigerii w latach 70. i 80. XX w. W 2017 r. dyrekcja muzeum odkupiła od niego część Brązów. Pieniędzy nie starczyło na „wojownika”, który zresztą po konsultacji z ekspertami zmienił się w pisarza – obiekt, który muzealnicy zinterpretowali jako miecz, okazał się piórem.

Jak to się stało, że gdy zachodnie muzea poważnie debatowały już o restytucjach, nasze kupiło do zbiorów figurki z Beninu? Wróblewska: – To przykład kolonialnego kompleksu Polski, jej specyficznego uwikłania: z jednej strony dominowało dość archaiczne wyobrażenie o kolekcji muzeum etnograficznego, z drugiej brakowało środków, by to wyobrażenie realizować.

Wojownik vel. pisarz wrócił do rodziny Bojarskich. Muzeum zgłosiło obiekt do publicznej bazy danych, więc niewykluczone, że kiedyś upomni się o niego Nigeria. Przy pustej półce zespół muzeum umieścił przypis wyjaśniający, co znajdowało się w tym miejscu i dlaczego zachodnie muzea oddają Nigerii benińskie brązy ze swoich kolekcji.

Masaj i Beach Boy

Z wystawy zniknęły figurki z kości słoniowej. Jak wyjaśnia Wróblewska, muzeum nie chce pokazywać kości słoniowej, by nie kreować na nią popytu. Przypis w tym miejscu tłumaczy, jak pozyskiwana jest kość słoniowa. Ale opowiada też szerzej o rabunkowej polityce prowadzonej w afrykańskich koloniach przez Europejczyków.

Strój obrzędowy ludu Bakuba ma nowy opis. Nie przywieźli go do Warszawy biali podróżnicy – w 1988 r. strój podarował go dyplomata z Konga. Dziennikarka Oliwia Bosomtwe, której ojciec pochodzi z Ghany, napisała dla muzeum tekst o relacjach między Polską a krajami afrykańskimi w czasach PRL.

Poprawek doczeka się też strój Masaja. Dziś brakuje w nim m.in. butów i biżuterii, która nie jest ozdobą, ale sygnalizuje status. Choć na terenie Kenii żyje 45 różnych grup etnicznych, oprócz Masaja kraj reprezentuje na wystawie tylko figura Beach Boya – młodego mężczyzny oferującego turystom wycieczki, pamiątki i inne usługi, w tym seksualne. To tak, jakby Polskę opisać przez dwie postaci: górala w kapelusiku z muszelkami i pana nielegalnie oferującego podróżującym PKP „piwo jasne pełne”.

Wróblewska: – Pewna kenijska reżyserka spytała nas, czemu społeczeństwo Kenii na wystawie reprezentuje akurat Beach Boy, a nie ktoś taki jak ona: badaczka pracująca na uniwersytecie, tworząca filmy, publikująca książki.

W przypadku ekspozycji w Muzeum Etnograficznym mniej ważna jest kwestia ewentualnego zwrotu. Problemem jest wiedza, którą muzeum przekazuje

Wystawa z terminem ważności

Na ile muzeum uda się przebić do świadomości widzów? Przypisy (również do azjatyckiej części wystawy) na razie dostępne będą na stronie muzeum i w formie kodów QR umieszczonych przy gablotach – po kliknięciu w nie aparatem w smartfonie pojawi się odnośnik do tekstu.

Nie wszyscy zwiedzający to zrobią: nie każdy ma smartfona, nie każdy będzie chciał zawracać sobie tym głowę. Muzeum planuje przewodnik i program dla najmłodszych widzów, ale nie wiadomo, kiedy będą one dostępne.

Dlaczego zamiast dodawać przypisy, po prostu nie zmienić wystawy? Na razie muzeum nie może tego zrobić. Ekspozycja „Afrykańskie wyprawy, azjatyckie drogi” została przygotowana za dyrekcji Adama Czyżewskiego i otwarta w 2020 r. Projekt dostał dofinansowanie z UE, zgodnie z podpisaną umową muzeum musi go pokazywać do końca 2027 r. Magdalena Wróblewska zapowiada po tej dacie gruntowną przebudowę.

– Nowa wystawa nie będzie pretendowała do przedstawienia całych historii tak wielkich, rozległych i złożonych kontynentów jak Azja i Afryka. Nie będzie o nich opowiadać z perspektywy polskich podróżników. Myślę, że skupimy się raczej na konkretnych obiektach, pokażemy ich złożone historie, pierwotne konteksty i późniejsze zmiany funkcji i znaczeń – opowiada.

Tymczasem niestereotypową wiedzę o Afryce mają przekazać wystawy czasowe. Pierwszego marca otwierają się pokazywane wcześniej na Miesiącu Fotografii w Krakowie „Afrotopie”, kuratorowane przez Amy N. Muhoro, Malaikę Nabilę i Witka Orskiego. A 2 kwietnia przygotowywane przez Orskiego i Wróblewską „Wybielanie” krytycznie przyglądające się narracji muzeum dotyczącej Afryki.

Magdalena Wróblewska: – Nie wszystko w tej wystawie jest błędne. Nam chodzi przede wszystkim o zaglądanie pod powierzchnię, konfrontowanie się z tym, co przyjęto za pewnik, a co okazuje się powtarzanym stereotypem. Chcemy niuansować treści, rozwijać je, tłumaczyć różne konteksty. To samo robimy także w innych częściach muzeum. ●

eprasa.pl 817e671fa2

• **Lekcje wychowania fizycznego są podobne do tych, które były 40-50 lat temu, a czasy się zmieniły. Konieczna jest rewolucja, na ewolucję nie ma już czasu – mówi prof. dr hab. Hubert Makaruk. Na zdjęciu: zajęcia na sali gimnastycznej w XV LO w Łodzi.** FOT. TOMASZ STAŃCZAK /AGENCJA WYBORCZA.PL

ZWOLNIENIE Z WF-U

Jeśli siłownia znajduje się w pobliżu szkoły, czemu nie zrobić tam lekcji?

Z **PROF. DR HAB. HUBERTEM MAKARUKIEM***
ROZMAWIA **WOJCIECH PODGÓRSKI**

Osobiste wspomnienie: wuefista rzucał piłkę i tyle go widzieliśmy na lekcji. Biegaliśmy 45 min po boisku i wracaliśmy na polski albo matematykę.
– Niestety, w dalszym ciągu ten schemat powtarza się zdecydowanie za często. Przykro to mówić, bo sam jestem nauczycielem, ale widzę, że dzisiejszej lekcji wychowania fizycznego brakuje powiewu świeżości, błysku, który uczyniłby ją bardziej atrakcyjną dla uczniów. Co więcej, ważną. Dodatkowo WF traktowany jest jak przedmiot drugiej kategorii, a przecież to fundamentalna lekcja dla naszego rozwoju i zdrowia. Zasmuca mnie również brak zrozumienia głównego celu WF, którym jest przede wszystkim przygotowanie do aktywnego i zdrowego życia, w drugiej zaś kolejności do rywalizacji sportowej.

„Czerwona lampka" świeci już od kilku lat. Polskie dzieci są jednymi z najszybciej tyjących na świecie, średnio spędzają po 5-6 godz. przed ekranem telefonu, niemal połowa nastolatków regularnie sięga po e-papierosy, a do tego niemalże wykładniczo narastają ich problemy psychiczne. Delikatnie mówiąc, nie jest dobrze. Aktywność fizyczna mogłaby znacznie poprawić wszystkie te statystyki. Tylko musimy ją umiejętnie zaszczepić w młodym pokoleniu, to jest wyzwanie na dziś. Zacznijmy jednak lekcje wychowania fizycznego traktować na poważnie.

Pod tego typu rozmowami większość komentarzy brzmi podobnie: „Szkolny WF tak mi obrzydził sport, że potem przez długie lata nie miałem ochoty na aktywność fizyczną". Czyli WF nie tylko nie zachęca, ale wręcz odstrasza od sportu.
– Też czytam te komentarze i bardzo mnie martwią. Traktuję je jak żółtą kartkę dla mojego środowiska kształcącego nauczycieli wychowania fizycznego. Świat pędzi i my powinniśmy się poruszać w jego tempie. Chociażby zrewidować relację uczeń – nauczyciel. Dystans między nimi skrócił się, nauczyciele powinni umieć odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości, a nie zawsze tak jest. Pokolenie Z mówi wprost, jeśli coś im się nie podoba. Dlatego powinniśmy szukać nowych form nauczania, system nakazów już nie będzie działał. Bez wsłuchania się w potrzeby uczniów WF dalej będzie wyglądał, jak wygląda i nadal będziemy czytać komentarze o traumatycznych wspomnieniach.

Trudno jednak powiedzieć, że młodzież w ogóle nie lubi aktywności fizycznej. Wystarczy pójść na niemal dowolną siłownię i zobaczyć, że nastolatków tam nie brakuje. Pytanie, dlaczego wybierają prywatną ofertę dbania o zdrowie, a nie państwową.
– Przyczyn może być kilka. Przede wszystkim nowoczesne siłownie oferują atrakcyjne formy treningu. Crossfit, spinning, trening funkcjonalny, joga... To bardzo modne formy promowane też w portalach społecznościowych. A wiemy, że właśnie tam żyje młodzież.

Do tego dochodzi dostęp do nowoczesnej infrastruktury i technologii. Współczesne siłownie oferują wiele atrakcji poza samym ćwiczeniem, przyciągają uwagę. W szkole większość zajęć WF odbywa na jednej sali lub boisku, a często po prostu na korytarzu.

Kolejny powód to potrzeba autonomii i poczucia sprawstwa. Na lekcjach WF uczeń robi to, czego oczekuje od niego nauczyciel. Na siłowni może robić to, co sam chce. To szczególnie ważne u nastolatków, którzy budują swoją tożsamość i nie chcą być oceniani lub krytykowani, co ma miejsce w szkole. Zyskują też poczucie przynależności do grupy osób, które chodzą na siłownię, bo tego chcą, a nie muszą.

Wróćmy do roli internetu. Rzeczywiście na siłowni łatwo dostrzec młode osoby, które nie korzystają z porad trenera, tylko oglądają filmik na YouTubie, jak należy wykonać ćwiczenie.
– Przede wszystkim trzeba odróżnić ekspertów od osób, które takich udają. Niestety, w internecie jest bardzo dużo śmieciowych informacji, także w aspekcie sportowym. Nie wszyscy internetowi „trenerzy" wiedzą, o czym mówią. Oczywiście wartościowych poradników też nie brakuje. Powiem więcej, technologie takie jak zegarki i aplikacje monitorujące nasze wyniki mogą być bardzo motywujące, absolutnie nie powinniśmy na siłę odciągać nastolatków od elektronicznych nowości.

To jednak powinna być kolejna rola lekcji wychowania fizycznego. By wskazywać młodzieży, które treści w internecie i technologie są wartościowe pod kątem dbania o swoje zdrowie i ciało, a które jedynie im zaszkodzą. Nauczyciel musi być biegły w tym zakresie, by móc odpowiedzialnie wprowadzać uczniów w ten świat, a nie obawiać się technologii. Jednocześnie powinien podkreślać, że w zakresie aktywności fizycznej ekran nie zastąpi obecności drugiego człowieka wyedukowanego w tym aspekcie, i to on powinien być dla młodzieży autorytetem.

Prowadzący zajęcia powinien mieć też wiedzę dotyczącą chociażby suplementowania, bo młodzież często to robi na własną rękę, na podstawie tego, co przeczytała w internecie. Innymi słowy, powinien być bardziej coachem znanym z siłowni, oferującym również wsparcie psychiczne niż typowym nauczycielem.

A może współczesna siłownia działa trochę jak Netflix lub Spotify? Młodzież jest przyzwyczajona do comiesięcznych abonamentów i po prostu lubi taką formę rozrywki?
– Może tak być. Siłownia jest dostępna o dowolnej godzinie, lekcja WF ma konkretny termin. Warto też pamiętać, że choć szkoła powinna zaszczepić nawyk dbania o kondycję przez całe życie, to uczeń nie

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

jest zainteresowany swoim zdrowiem za 10 lat, tylko tym, co jest tu i teraz. Siłownie dają takie poczucie szybkiego efektu, a lekcje WF nie.

Jeszcze jedno wspomnienie, tym razem z liceum: podczas lekcji WF siedzimy liczną grupą w szatni, sporo osób korzysta z e-papierosów. Paradoksalnie właśnie w tym momencie rozmawiamy, co będziemy robili dzisiaj na siłowni i kto podnosi więcej kilogramów na klatkę.
– To bardzo obrazowy przykład i, niestety, wciąż aktualny. Powtórzę: lekcje WF są podobne do tych, które były 40-50 lat temu, a czasy się zmieniły. Młodzież w pewnym wieku zaczyna dbać o swoje ciało. Chłopcy chcą mieć umięśnioną sylwetkę, a dziewczyny być szczupłe. Ale jeśli nie znajdują na zajęciach wychowania fizycznego niczego ich zdaniem atrakcyjnego, to szybko wybierają ciekawsze alternatywy. Czyli pozaszkolne zajęcia sportowe lub właśnie siłownie.

Mieliśmy wtedy znacznie więcej wymówek, by nie chodzić na WF. Chociażby zapach, kiedy tuż po 45 minutach sportu trzeba usiąść w ławce na lekcji matematyki.
– To normalne. Dlatego konieczny jest nie tylko rozwój infrastruktury sportowej w szkołach, ale też tej zwiększającej prywatność, aby każdy mógł się swobodnie umyć i przebrać. Zwłaszcza wśród starszej młodzieży, która bardziej wstydliwe patrzy na własne ciało i ma większą potrzebę dbania o higienę.

Nie mieliśmy też nigdy problemu ze zwalnianiem się z lekcji WF, korzystając z wymówki o przeziębieniu albo samemu podpisując się za rodziców.
– Niestety, około 30 proc. uczniów jest regularnie zwalnianych z lekcji wychowania fizycznego, co jest bardzo niepokojące. Zresztą uczniowie nie muszą oszukiwać, rodzice sami często bezrefleksyjnie ich zwalniają, bo oni również nie traktują WF-u poważnie. Wielu z nich dowozi też dzieci tuż pod szkołę, choć wcale nie mieszkają daleko, zabierając im nawet taką formę ruchu.

Jeśli rzeczywiście chcemy zmian dotyczących aktywności fizycznej wśród młodzieży, to rodzice również muszą zachęcać dzieci do sportu i zaszczepiać w nich nawyk dbania o ciało. Wiele obiektów oferuje dziś możliwość wspólnego ćwiczenia, np. dziecko może pójść popływać, a rodzic w tym czasie poćwiczy w sali obok. W ten

Polskie dzieci są jednymi z najszybciej tyjących na świecie

sposób przekazuje dobry wzorzec i buduje poczucie wspólnego obowiązku.

Wielokrotnie powtarzaliśmy też: po co się przebierać, jeśli poćwiczymy tylko chwilę i znowu trzeba będzie iść do szatni, aby wyrobić się ze wszystkim w 45 min i zdążyć na kolejną lekcję. Na siłowni takich ograniczeń czasowych nie ma.
– Dlatego warto rozważyć pomysł łączenia lekcji WF w bloki zajęć, aby trwały półtorej godziny. Wtedy nauczyciel rzeczywiście miałby czas na właściwe przeprowadzenie zaplanowanych zajęć i indywidualne porady podczas obserwowania wykonywanych przez uczniów ćwiczeń. Takie bloki mogłyby być organizowane na ostatnich lekcjach danego dnia, aby zlikwidować dyskomfort nienależytej higieny po wysiłku fizycznym podczas innych przedmiotów. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że nie wszystkie klasy mogą mieć WF w tym samym czasie i samo to rozwiązanie nie wystarczy.

Czy nie jest to jednak również sukces sieci siłowni? To przecież prywatne firmy, które chętnie się reklamują na billboardach czy w internecie. Może samą promocją wygrywają z państwową ofertą sportową?
– Zgadzam się. Aby to zmienić, państwo musiałoby zainwestować ogromne środki w edukację sportową, działania w lokalnych szkołach to za mało. Musielibyśmy uznać, że aktywność fizyczna jest priorytetem w naszym kraju. Niezależnie od tego, kto będzie rządził, to powinniśmy wyznaczyć wieloletni cel aktywizacji ruchowej młodzieży i trzymać się tej wizji.

Uważam również, że samorządy mogłyby lepiej wykorzystać potencjał współpracy z licznie powstającymi siłowniami, na przykład poprzez zawieranie umów między szkołami a sieciami klubów fitness. Jeśli siłownia znajduje się w pobliżu szkoły, warto rozważyć zorganizowanie tam skumulowanych zajęć WF – zwłaszcza w godzinach porannych, gdy obłożenie jest niewielkie. Z perspektywy szkoły uczniowie zyskaliby dostęp do nowoczesnej infrastruktury sportowej i z pewnością w takim układzie możliwe byłoby wynegocjowanie korzystnych warunków cenowych.

Siłownie by się na to zgodziły? Patrząc na ich liczbę i tempo powstawania, raczej nie narzekają na kłopot finansowy.
– Ale na pewno mogłyby radzić sobie jeszcze lepiej. Zwłaszcza że przyjmowanie grup uczniów mogłyby traktować jako budowanie sobie klientów na przyszłość.

Co jeszcze powinno się zmienić w organizacji lekcji WF-u?
– Uważam, że konieczna jest rewolucja. Na ewolucję nie ma już czasu, patrząc chociażby na wspomniane wyniki dotyczące otyłości dzieci w Polsce. Powiem więcej: uważam, że WF powinien być najważniejszą lekcją w szkole, pod warunkiem że będzie odpowiednio prowadzony. W skali Europy mamy naprawdę dużo godzin WF-u w szkole, tylko niewiele z tego wynika. Bo chodzi o ich jakość, a nie liczbę.

Co to oznacza w praktyce?
– Musimy rozgraniczyć etapy edukacyjne. W klasach 1-3 powinniśmy wyposażać dzieci w fundamentalne umiejętności ruchowe. Czyli nauczyć dzieci biegać, skakać czy chwytać piłkę. Ale nie poprzez grę w berka czy spacer, ale przemyślane, celowe i w dalszym ciągu atrakcyjne ćwiczenia. W klasach 4-6 warto uczyć dzieci najbardziej popularnych gier sportowych, jak piłka nożna, koszykówka czy siatkówka, aby później w dorosłym życiu mogły wybrać to, co same chcą uprawiać.

W klasach 7-8 młodzież zaczyna myśleć o swojej sylwetce, wtedy można próbować ćwiczeń siłowych, oczywiście z odpowiednią kontrolą. Tak aby te lekcje przypominały zajęcia pozaszkolne, a nie stereotypowy WF. Choć na każdym etapie edukacji zajęcia te powinny być atrakcyjne, to musimy też pamiętać, że celem powinno być przygotowanie do całożyciowej aktywności fizycznej.

Dobrze byłoby również wprowadzić jakąś formę weryfikacji pracy nauczyciela wychowania fizycznego. W przypadku innych przedmiotów są nią wyniki z egzaminu ósmoklasisty czy matury. Egzaminów z WF-u nie, więc mało kto przejmuje się oceną z tego przedmiotu.

Wierzy pan, że coś realnie się zmieni w najbliższych latach?
– Chciałbym powiedzieć, że widzę światełko w tunelu. Chociażby za sprawą powstającej nowej podstawy programowej. Trzeba poczekać i zobaczyć, jak będzie ona wyglądała. Z drugiej strony nawet najlepsze zapisy nie wystarczą, jeśli nie będą w praktyce realizowane w szkołach. Te obecne często nie są, o czym świadczą wyniki naszych badań.

Pewną szansę widzę w pomyśle zorganizowania w Polsce igrzysk olimpijskich. Nie ze względu na same zawody, ale byłaby to świetna okazja do systemowego poprawienia kondycji fizycznej wszystkich pokoleń Polek i Polaków, nadania aktywności fizycznej wyższego priorytetu. Między innymi poprzez zmianę kultury sportowej naszego kraju w zakresie sportu powszechnego.

Muszę przyznać, że byłoby miło zobaczyć nagłą zmianę polityki państwa, w której aktywność fizyczna zyska kluczowe znaczenie. Na razie jednak wydaje się, że wciąż brakuje spójnej wizji i determinacji – zarówno na poziomie lokalnym, jak i krajowym. Ale kto wie? Może wkrótce spotkamy się ponownie, by omówić nie tylko kolejne wyniki badań dotyczących kondycji fizycznej młodzieży, ale także pierwsze oznaki pozytywnych zmian. ●

***Prof. dr hab. Hubert Makaruk**

• dziekan Wydziału Wychowania Fizycznego i Zdrowia Akademii Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie, Filia w Białej Podlaskiej. Autor licznych badań dotyczących aktywności fizycznej dzieci i młodzieży w Polsce.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34364473

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ”

MENOPAUZA I DIETA

• Jaką dietę najlepiej stosować w czasie menopauzy?
• Fitohormony. Co to jest i gdzie ich szukać?
• Suplementacja przed i po menopauzie. Co warto dodać do diety?

DODATEK SPECJALNY

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAGAZYN wyborcza

Tworzymy go my i Wy: dziennikarze i Czytelnicy

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje. **Zawsze prawdziwe.**

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy

Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

MAGAZYN wyborcza | szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

eprasa.pl 817e671fa2

ADAMMICHNIK POLECA

Martin Pollack (1944-2025)

Cisza po Martinie

Będę go słyszał, dopóki moja własna pamięć nie wygaśnie.

Christoph Ransmayr*

Pamiętam zimne, czarne rury i zimny, czarny kaloryfer w zimnym pokoju hotelowym w Przemyślu w województwie podkarpackim na ukraińsko-polskiej granicy. Nawet przy zamkniętym oknie słychać było huk lodu pękającego na Sanie, matowej, czarnej rzece, która dzieliła miasto na dwie nierówne części. Lody dopiero ruszyły, a przecież astronomicznie wiosna zaczęła się już dawno.

Słyszałem, jak Martin na korytarzu rozmawia z kierownikiem hotelu, najpierw po polsku, potem po ukraińsku. Omawiał ważną kwestię: „Czy jeszcze dzisiaj możemy spodziewać się ciepłej albo przynajmniej letniej wody?”, i usłyszałem, jak obaj się wtedy roześmiali.

Dotarliśmy tutaj tego dnia bocznymi drogami, po oblodzonych szosach miejscami zasypanych śniegiem, czasami tak wyboistych, że dla ostrzeżenia przed pułapkami w głębsze dziury zatknięto gołe choinki bożonarodzeniowe.

Przyjechaliśmy z ukraińskiego obwodu lwowskiego, aby w drodze do masowych grobów, pól bitewnych, ruin obozów koncentracyjnych, miejsc niepohamowanego ani tutaj, ani nigdzie w Europie barbarzyństwa poznać w najdalszym południowo-wschodnim zakątku Polski kulisy zapomnianej utopii: Przemyśla.

•

Z inspiracji Martina, w oparciu o jego archiwum i jego zdawało się nieograniczoną wiedzę o historii i kulturze Europy Wschodniej, napisałem rok wcześniej jesienią „Lekcję środkowoeuropejską”. Był to krótki esej o „Wolnej Republice Przemyskiej”, którą w dniu Wszystkich Świętych 1918 r. proklamował pewien miejscowy socjaldemokrata, adwokat o nazwisku Lieberman, kiedy doprowadzona przez Habsburgów do upadku legła w gruzach naddunajska monarchia.

Lieberman, przemawiając w chwiejnym świetle pochodni na przemyskim rynku, wyraził nadzieję, że Republika ta mogłaby się stać przykładem, wzorem dla Europy. Monarchia wyparła się swojej słowiańskiej większości, zamiast na pokojową wspólnotę ludów postawiła na haniebną piramidę narodów z tzw. wiodącym narodem państwowym: Niemcami. Tak więc zdaniem mówcy rolą następnego pokolenia jest zbudowanie na gruzach monarchii nowej, zjednoczonej Europy, która doświadczywszy wojny jako konsekwencji nacjonalistycznego zaślepienia, teraz uwolniona z dynastycznej klatki, powinna dążyć do jedności.

– I co? – spytał mnie Martin wtedy, tamtej jesieni, w rok po naszej pierwszej rozmowie o „przemyskim cudzie”, przeglądając rocznik jakiejś gazety z tamtych czasów. – I co się stało?

Wolna Republika Przemyska nie przetrwała nocy ze Wszystkich Świętych na Dzień Zaduszny 1918 r. Jeszcze przed nastaniem dnia do miasta wdarli się ukraińscy chłopi, robotnicy rolni i rzemieślnicy z okolicznych wsi, nacjonaliści z Wysocka Wyżnego, Jaksmanic, Poździacza, Stanisławczyka i Kormanic. Niektórzy z bronią, inni bez broni, wtargnęli do Przemyśla, by protestować przeciwko wielonarodowemu państwu: Przemyśl – Peremyszl zawsze przecież był ukraiński. I zawsze taki pozostanie!

Taki był koniec Wolnej Republiki. Był równie przewidywalny, jak koniec wszystkich innych walk o utopię.

Polacy oczywiście nie mogli ścierpieć tego, że Przemyśl może się dostać w ukraińskie władanie. Po dwóch tygodniach narastającego chaosu i codziennych walk pomiędzy dwoma obozami do miasta wszedł oddział polskiego wojska pod dowództwem generała Roi. Wyparł Ukraińców i zmusił ich do powrotu na wieś.

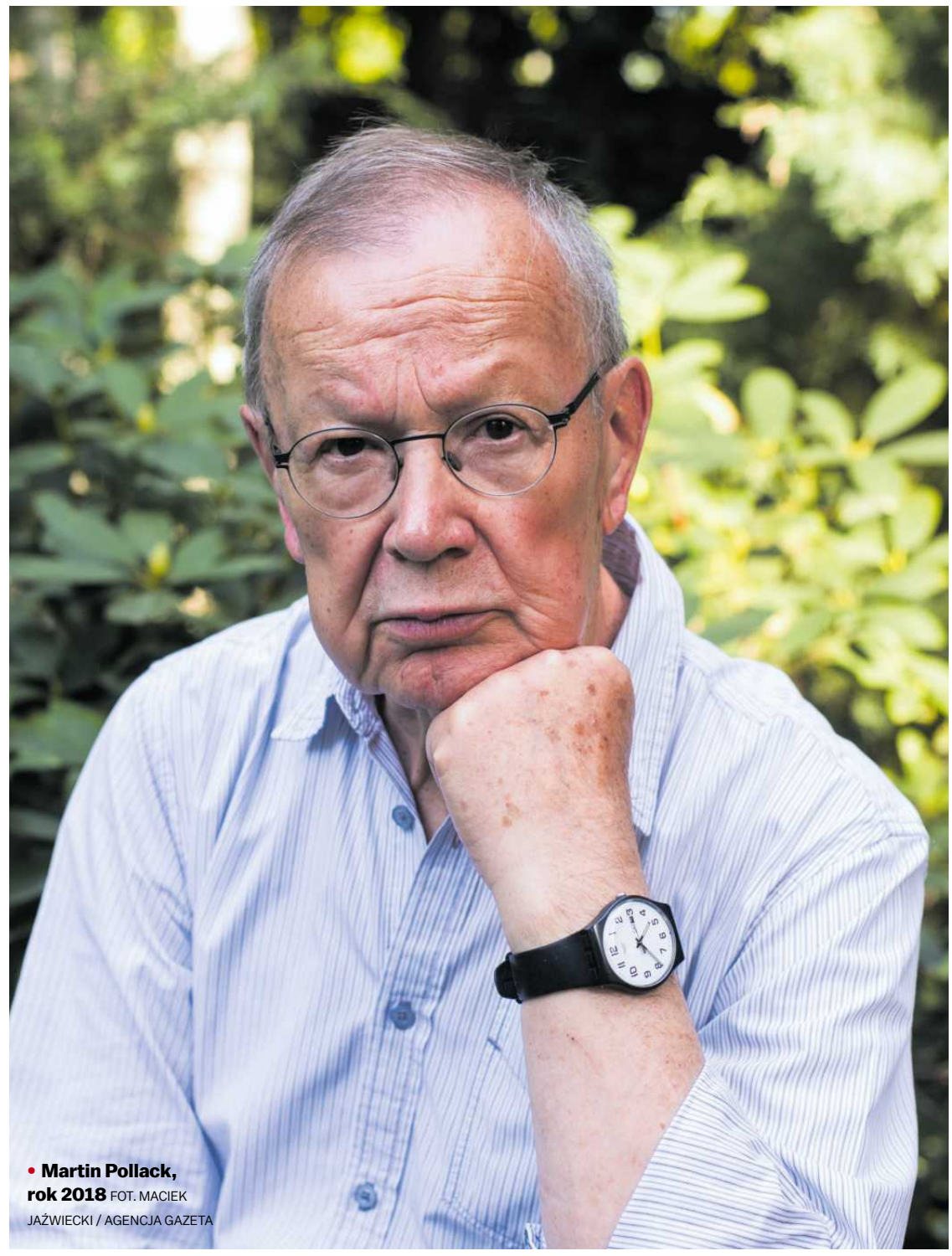

• **Martin Pollack, rok 2018** FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA GAZETA

Na brzegu Sanu na Wrzosowisku Szajbówce i na Nabrzeżu Franciszka Józefa padły strzały. Zginął tylko jeden człowiek, polski Żyd Ludwik Uiberall. Pewien chłop z Bałyczy, który załadowany piaskiem rzecznym zaprzężony w woły wóz prowadził ze żwirowego brzegu rzeki do Nabrzeża, widział, jak Uiberall upadł na twarz po dwóch następujących po sobie strzałach.

•

Owej czarnej, wiosennej nocy w Przemyślu ciepłej wody w hotelu nie było. Kiedy Martin i ja usiedliśmy wraz z Tadeuszem, kierownikiem hotelu, przy żeliwnym piecu z trudem ogrzewającym pomieszczenie, które gdzie indziej może nazywałoby się lobby, Martin zaczął przywoływać z pamięci historię tego miasta. Jego opowieści były tak zajmujące, że nie wiedzieć kiedy przeniosłem się z zimnej teraźniejszości w fascynującą przeszłość.

Być może ta noc nad brzegiem Sanu, dopełniana trzaskiem łamiącej się na nim kry, umocniła nas w postanowieniu, by choć w pewnej części kontynuować w przyszłości naszą wspólną pracę, nasze wspólne opowiadanie.

I tak chłopska zagroda, wiejski dom Martina usytuowany w pagórkowatym krajobrazie południowego Burgenlandu, stała się naszą bazą wypadową wspólnych wypraw na daleki wschód Europy.

Mimo że to węgierska i słowacka granica znajdowały się w wygodnej, bliskiej odległości, ruszaliśmy zawsze z tego miejsca przez otwartą na południe bramę zagrody Martina w stronę lasów i gór Polski, Ukrainy czy Rosji. Wyruszaliśmy do zarośniętych dawnych pól bitewnych, masowych grobów, ruin obozów, które zostawili po sobie tamci barbarzyńcy, a których dzieci i potomkowie bez skruchy, bez jakiegokolwiek odruchu współczucia wobec niewypowiedzianego cierpienia i śmierci milionów ofiar ich duchowych ojców zasiadali wtedy w europejskich ławach rządowych.

Kiedy na wewnętrznym podwórku zagrody Martina sypał gęsty śnieg, lał ulewny deszcz czy też latem przez otwarte okna dobiegał nas wieczorny śpiew kosa albo kiedy spłoszone przez nas sarny wy-

eprasa.pl 817e671fa2

dawały z siebie donośny głos, który w języku myśliwych nazywa się szczekaniem, my obaj, pisząc, przedzieraliśmy się w naszej wyobraźni przez wysokie trawy i zaśnieżone bagna, przez wypalone, unicestwione artyleryjskim ostrzałem lub zniszczone bombami miasta, podążaliśmy do przesiąkniętych kadzidlanym dymem pielgrzymich sanktuariów czy też zapuszczaliśmy się w rewiry wilków w polskich Bieszczadach.

Wcześniej oczywiście przemierzyliśmy, zjeździliśmy, poznaliśmy podczas długich wędrówek wszystkie te miejsca naszych opowieści. Kiedy jednak pochyleni nad maszyną do pisania, zmieniając się co jakiś czas przy klawiaturze, zamienialiśmy w słowa wszystko to, co widzieliśmy i czego doświadczyliśmy, odżywały w nas te przeżycia z niesłychaną mocą.

Martin do dzisiaj pozostaje dla mnie jedyną osobą, z którą to, co często pośród autorów uważa się za niemożliwe, stało się możliwe: wspólne pisanie, wspólne formułowanie zdań, z których w końcu powstawały nasze wspólne opowiadania publikowane w różnych czasopismach, takich jak „GEO" albo „TransAtlantik", eleganckie pismo naszego wspólnego przyjaciela Hansa Magnusa Enzensbergera.

Te opowiadania nie mieściły się ani w pisarstwie czy też stylu Martina, ani w moim, ale dawały zaistnieć czemuś szczególnemu, niesamowitemu: trzeciemu głosowi. Czasami nawet ten trzeci głos odrywał się od nas, sam zaczynał przemawiać i coś dopowiadać, kiedy obaj zamilkliśmy.

Ciągle słyszę głos Martina, jego śmiech. Próbuję zliczyć imiona, jakimi przywoływał szeptem zwierzęta w swoim ogrodzie, słyszę jego zdania

Wszystko jedno, czy szybko, czy po wielodniowej jeździe samochodem docieraliśmy do geograficznego celu naszej podróży, zebrane tam doświadczenia, obrazy i dźwięki często stawały się czymś szczególnym dopiero wtedy, kiedy powróciliśmy do domu Martina i do jego biurka. Ale zdarzało się tam także, że po powrocie skażone krajobrazy, przesiąknięte krwią miejsca pamięci traciły na długie godziny lub dni coś ze swej okropności.

Bywało, że wczesnym latem wracaliśmy z naszych wypraw do domu Martina drogami wijącymi się pośród winnic na węgierskiej lub słoweńskiej granicy. Wtedy ropuchy rozpoczynają swoje wędrówki, a my zabieraliśmy je z jezdni, żeby nawet za cenę przesiedlenia uratować je od śmierci.

Martin niczym kierowca karetki ostrożnie prowadził samochód, a ja pilnowałem uchylonej klapy schowka, gdzie umieściliśmy naszych wędrowców, żeby zapewnić im dostateczną ilość powietrza i pozwolić wyprostować im nakrapiane kończyny. Schowek sprawiał wrażenie piwnicznego okna w podziemiach, przez które więźniowie chcieliby się wydostać na wolność, wznosząc kończyny, błagają o szansę, którą rzeczywiście potem dostawali w okalającym dom Martina sadzie.

Martin, przy całej swojej wyrozumiałości dla wszystkiego, co ludzkie, i miłości do najważniejszych w jego życiu ludzi nie rzucał się nigdy do całowania rączek ani nie obdarzał swego najbliższego otoczenia standardowymi uściskami. Imponująca różnorodność pieszczotliwych imion, jaką słyszałem z jego ust przez ponad 40 lat naszej przyjaźni, odnosiła się do zwierząt, z którymi w jego rozumieniu nie tyle nie dzielił się swym domostwem, łąką i sadem, ile je po prostu z nimi „zamieszkiwał".

Najczęściej już po pierwszych dźwiękach rozpoznawał śpiew i nawoływania „jego" ptaków, znał ich bajecznie kolory i wzory upierzenia, rozmawiał szeptem z kretami i szukającymi u niego schronienia jeżami. Widziałem nawet, jak w wystającym murze ogrodzenia karmił szerszenie.

Pomimo otchłani barbarzyństwa i okropności, które Martin widział, pomimo mrocznej historii jego własnej rodziny, mimo odradzającego się w Europie zła, o którym mówił i przeciw któremu protestował w swoich książkach, mowach i artykułach, z niewieloma ludźmi z mojego otoczenia tak dużo się śmiałem jak z Martinem.

Nie zapomnę też zaciekłej debaty na uroczystości jubileuszowej czasopisma „TransAtlantik" i kłótni na temat obozów stalinowskich, która mogłaby doprowadzić nawet do rękoczynów. Zanosiło się na to, że nasz pijany oponent, zwolennik dyktatury proletariatu, przejdzie zaraz do bitki.

Martin przyglądał mu się z pewnym politowaniem i uciął sprawę pytaniem, czy tamten rano nie zauważył, że założył dwie całkiem różne skarpety. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nasz oponent zamilkł i rozejrzał się po sobie: skarpetki były nie tylko w zdecydowanie innych kolorach, ale także różnej długości i w inne wzory. Wtedy ochrzciliśmy takie przyobleczenie stóp, wedle chińskiej tradycji dynastii Tang, „skarpetami niebiańskiej radości".

Teraz śmierć. Było mi dane razem z kochającą go całe życie i kochaną całe życie przez niego jego żoną Ingrid oraz z synem Jakobem spędzić ostatnie dni życia Martina przy jego łóżku na prowadzonym z wielką, ludzką życzliwością oddziale paliatywnym w wiedeńskim szpitalu AKH.

Nawet kiedy silne środki uśmierzające ból, które mając działanie narkotyczne, mieszały jego zazwyczaj klarowne zdania i myśli, zamieniając je w majaczenie, Martin pozostawał obecny, niekiedy nawet pogodny, aż do czasu, kiedy dwa dni przed śmiercią stracił przytomność, a jego życie zdawało się składać tylko z rzadszych, głębszych oddechów. Podczas długich, coraz dłuższych przerw pomiędzy kolejnymi pojawiała się cisza, która i jego, i nas czekała.

– Nie ściskajcie go tak mocno – upominała nas od czasu do czasu Ingrid, kiedy my, Jakob po lewej, ja po prawej stronie łóżka, trzymaliśmy go za ręce. – Nie ściskajcie go tak mocno. On tego nie lubi.

Wiedzieliśmy o tym, ale wiedzieliśmy również, że to my się go mocno trzymamy. Nie chcieliśmy, by odszedł. Baliśmy się tego.

W pewnej zadziwiająco krzepiącej chwili Martin uniósł głowę i powiedział cicho, ale niezwykle trzeźwo i klarownie: – Muszę odejść.

Wziął w swoją dłoń moją rękę, trzymał ją długo i powiedział: – Jak dobrze jest trzymać twoją rękę. – I po ponownej pauzie dodał: – To jest piękne pożegnanie.

Słowa umierającego są z pewnością cenniejsze niż wiele innych, które słyszało się w ciągu życia, bo po następującej po nich ciszy wszystko staje się wspomnieniem. Ale mnie ta cisza nie wydała się wcale ciszą szpitalnego pokoju, z oknem, za którym rozciągało się nasze wielkie szare miasto, lecz bezgraniczną, wykraczającą poza czas bezdźwięcznością, która wypełnia przestrzeń gwiazd: ciszą nieskończonych miliardów gwiazd, w której nawet spiralne galaktyki zderzają się ze sobą bezdźwięcznie, bo kosmos nie emituje dźwięku, tylko fale światła.

W tej bezgranicznej ciszy słyszę głos Martina, słyszę jego śmiech, próbuję zliczyć imiona, jakimi przywoływał szeptem zwierzęta w swoim ogrodzie, słyszę jego zdania.

Będę go słyszał, dopóki moja własna pamięć nie wygaśnie. ●

przeł. Karolina Niedenthal

FOT. HEIKE HUSLAGE-KOCH/CC BY-SA 4.0

*Christoph Ransmayr

• pisarz austriacki, rocznik 1954. Autor wielu książek i zbiorów opowiadań przetłumaczonych na ponad 30 języków. W Polsce ukazały się m.in. jego powieści oraz napisany wspólnie z Martinem Pollackiem i opublikowany przez wydawnictwo Czarne zbiór opowiadań „Pogromca wilków. Trzy duety literackie".

Tekst to mowa wygłoszona podczas pogrzebu Martina Pollacka, zmarłego 17 stycznia 2025 r. wybitnego austriackiego pisarza, dziennikarza i tłumacza. Tytuł – „Wyborcza"

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wadim Jegorow*

Mistrz

Pamięci Michaiła Bułhakowa

Gdy w tym czterdziestym strasznie gorzkim roku
przedśmiertne tchnienie wydał w beznadziei,
Woland i Fagot nawiedzili pokój,
i piąty prokurator ziem Judei.
Tęskniąc za dawnym życiem koczowniczym,
chrapały konie maści niesłychanej,
a Woland szepnął: „Mistrzu, my czekamy",
ale Mistrz milczał z kamiennym obliczem.
Bogowie, co do woliście chodzili,
panując sprawiedliwie i surowo –
tak późnoście, tak późnoście przybyli
do tego, który wam tę moc darował.
Gdzie byłeś wtedy, wszechwidzący Messer,
gdy do żywego żądlili i bodli,
kiedy był goły, przegrany z kretesem,
tak – był przegrany i współczucia godny.
Kiedy dosłownie do muru przyparty
wołał o pomoc – i w tym cały sens jest! –
do tego, który ludzkie losy zręcznie
tasował tak, jak tasuje się karty.
Ach, jakie ono wprost przedpotopowe,
to odgrywane wciąż misterium Boże,
gdzie zawsze wiodą prym terminatorzy,
gdzie wegetują prawdziwi mistrzowie
i wygrażają pięścią nadaremnie,
i opuszczają twarze poszarzałe...
Przeklęte – wlecze się wręcz nieskończenie
i tak daleko jeszcze do finału!
Żegnaj, mój Mistrzu – cześć Tobie i chwała!
Przywrócić by Cię – aleś nieuchwytny,
jak tamten zachód nad Moskwą niezwykły,
gdy burza jak w Jeruszalaim szalała.
Pioruny niebo dzieliły na dwoje
i mrok grasował w stygnącym już ciele,
gdy nad nim płaszcze rozpostarli swoje
jedyni wierni jego przyjaciele.
Przyszli go w śmierci wesprzeć wielkodusznie,
przynosząc inne życie, inne imię –
I wstał. I poszedł natychmiast za nimi.
I nas porzucił. I postąpił słusznie.

przeł. Zbigniew Dmitroca

***Wadim Jegorow** - ur. w 1947 r., rosyjski poeta i bard. Autor pięciu tomików wierszy i ponad 200 pieśni. Nagrodzony m.in. złotym medalem Bard Rosji i nagrodą im. Jewgienija Jewtuszenki „Poeta w Rosji to więcej niż poeta".

Michaił Bułhakow zmarł 10 marca 1940 r. w wieku 49 lat, za dwa dni przypada 85. rocznica jego śmierci.

FOT. LPPETROVA/CC BY-SA 3.0

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; **PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:** Roman Imielski; **ZASTĘPCY:** Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Więzień Putina

POETA I OBYWATEL ARTIOM KAMARDIN

W ostatnim słowie mówił, że sztuka nie jest przestępstwem. Ale wsadzanie do więzienia za wiersze – na pewno

Grzegorz Przebinda*

„Gdyby Rosja została założona/ przez Annę Achmatową, gdyby/ Mandelsztam był prawodawcą/ a Stalin tylko marginesową/ postacią w zaginionym gruzińskim/ eposie, gdyby Rosja zdjęła swoje/ nastroszone niedźwiedzie futro,/ gdyby mogła żyć w słowie, a nie/ w pięści, gdyby Rosja, gdyby Rosja”

(Adam Zagajewski z tomu „Jechać do Lwowa i inne wiersze”, Londyn 1985)

Dwudziestego ósmego grudnia 2023 r. sąd Twerski w Moskwie skazał poetę Artioma Kamardina (rocznik 1990) na siedem lat niewoli i grzywnę 500 tys. rubli, a współobwinionego z nim młodszego o dekadę też poetę Jegora Sztowbę (2000) na pięć i pół roku. Obu za publiczne czytanie wierszy podczas Recytacji Majakowskich pod pomnikiem poety na pl. Triumfalnym w Moskwie.

Takie recytacje odbywały się bez przeszkód już od ponad dziesięciu lat, przy czym młodzi poeci nawiązywali występami do chwalebnej tradycji ruchu opozycyjnego we wczesnobreżniewowskim ZSRR – do tzw. Majakowek.

Pierwsza z nich, nazwana potem „mityngiem głasnosti”, odbyła się w Moskwie już 5 grudnia 1965 r., a jej organizatorem był Aleksander Jesienin-Wolpin (syn poety Siergieja Jesienina) wspomagany przez Jurija Gałanskowa i Władimira Bukowskiego. Data 5 grudnia wybrana była świadomie, bo w ZSRR obchodzono wtedy co roku Dzień Radzieckiej Konstytucji, a uczestnicy owego mityngu z 1965 r. domagali się dodatkowo upublicznienia toczącego się wtedy procesu Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela skazanych za publikację swoich utworów na Zachodzie, m.in. po polsku u Jerzego Giedroycia.

Obaj poszli do łagrów. W 1993 r. żona Siniawskiego Maria Rozanowa mówiła w wywiadzie za Andrzeja Romanowskiego i moim pośrednictwem „Tygodnikowi Powszechnemu”:

„Siniawski siedział w łagrze razem z Litwinami, Łotyszami, Estończykami. Miał z nimi bardzo dobre kontakty, choć pochodził – by tak rzec – z narodu okupantów. Jednak Siniawski dawał im wszystkim wolną rękę. Wypuszczał ze Związku Radzieckiego na lewo i na prawo”.

●

Dzisiejsze Recytacje Majakowskie nabrały dynamiki 25 września 2022 r., kilka dni po ogłoszeniu przez Władimira Putina „częściowej mobilizacji”, bo obecni młodzi poeci określili ten publiczny występ jako „antymobilizacyjny”. Paru zostało zatrzymanych już na placu pod pomnikiem, a po innych putinowcy w mundurach przyszli do domów nazajutrz.

Potwornie wtedy ucierpiał Kamardin, który już w czerwcu 2015 r. występował pod pomnikiem Majakowskiego z antywojennym wierszem „Zabij mnie, ochotniku” skierowanym przeciw tzw. ochotnikom Donbasu, kontynuującym rozpętaną w 2014 r. krwawą wojnę we wschodniej Ukrainie.

Podczas rewizji Kamardin został ciężko pobity, a putinowskie policyjne „mienty” nagrały na wideo, jak klęczy i prosi o wybaczenie za to, że dzień wcześniej użył pod pomnikiem Majakowskiego znanego już i przedtem dobrze w przestrzeni publicznej, swoiście proukraińskiego, acz niewybrednego hasła „Sława Kijewskoj Rusi, Noworossija – sosi” („Chwała Kijowskiej Rusi, a Noworosji – do buzi”).

Towarzyszka Kamardina Aleksandra Popowa będąca tego ranka w jego mieszkaniu opowiadała: „Policjanci przyklejali mi do twarzy stickery [plastry], próbując zakleić usta, kopali, wyrywali włosy, grozili, że mnie w pięciu zgwałcą, pokazywali mi bez przerwy wideo z Artiomem, a jeszcze i dobrze słyszałam, co z nim samym robią”. W stosunku do Kamardina nie ograniczyli się do gróźb, ale zgwałcili go bestialsko z użyciem hantli.

Można by o tym wszystkim w imię tzw. delikatności nie wspominać, gdyby nie to, że tego bestialstwa dokonali sługusi obecnego reżimu, na czele z Putinem i patriarchą Cyrylem, którzy mają usta pełne frazesów o „obronie rodziny i tradycyjnych wartości”.

●

Na początku października 2024 r. sąd miejski w Moskwie odrzucił ostatecznie skargę apelacyjną Kamardina i Sztowby, utrzymując wobec nich ciężkie wyroki z grudnia 2023 r. Prokuratorka Julia Noskowa argumentowała, że akcje protestacyjne obu skazanych z poezją nie mają nic wspólnego: „Układanie słów w rymy nie oznacza jeszcze, że człowiek jest poetą”. Przywołała nawet znany każdemu Rosjaninowi ze szkoły cytat z wiersza „Poeta i obywatel” Nikołaja Niekrasowa (1821-87): „Poetą możesz nie być wcale,/ Ale obywatelem musisz”.

FOT. ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

• **Poeci Artiom Kamardin (z tyłu po lewej) i Jegor Sztowba w chwili ogłaszania wyroku przez sąd w Moskwie, 28 grudnia 2023 r.**

Już w 2015 r. występował publicznie z antywojennym wierszem „Zabij mnie, ochotniku”. Kierował go przeciw tzw. ochotnikom Donbasu kontynuującym krwawą wojnę we wschodniej Ukrainie

Poeta i obywatel Kamardin w ostatnim słowie podkreślał, że „sztuka nie jest przestępstwem”, a „wsadzanie do więzienia za wiersze – już tak”. Ostro napiętnował przestępców rzeczywistych – Noskową i jego oskarżycielkę z procesu pierwszego Swietłanę Berdaszkiewicz.

Noskowej warto by było przypomnieć, że cytowany przez nią fragment z Niekrasowa to jawne odniesienie do dedykacji zawartej w poemacie „Wojnarowski” autorstwa Konrada Rylejewa opowiadającego o sprawiedliwej wojnie ukraińskiego hetmana Mazepy z rosyjskim autokratycznym carem Piotrem I. W dedykacji dla Aleksandra Bestużewa zamieszczonej na początku poematu Rylejew konkludował: „Jam nie Poeta, jeno Obywatel”.

„Wojnarowski” ukazał się w 1825 r., a już w 1826 Rylejew jako jeden z pięciu heroicznych dekabrystów stracony został na polecenie cara Mikołaja I, bez wątpienia jednego z bardziej wyrazistych praojców Putina.

●

Gdy Noskowa jeszcze peroruje, kto nie zasługuje na miano poety, idzie wyraźnie, choć na pewno bezwiednie, śladem niegdysiejszej sędzi Jekatieriny Sawielewej, tej z procesu Josifa Brodskiego, odbytego w Leningradzie w sądzie rejonu nomen omen Dzierżyńskiego w 1964 r.

Gdy Brodski na pytanie sędzi: „A jaka jest w ogóle wasza specjalność?”, odrzekł: „Jestem poetą, poetą tłumaczem”, usłyszał: „Kto was zaliczył w poczet poetów?”. Zapis owego pamiętnego „dialogu” zakończonego nieśmiertelną frazą poety: „Myślę, że to od Boga”, długo krążył potem jako przykład zwycięstwa pisarza nad smokiem przypieczętowanego w 1987 r. literackim Noblem dla Brodskiego.

Przyznajmy, że w obliczu tego, co się wyprawia w sądach Rosji putinowskiej, stary wyrok na poetę: „Zesłać Brodskiego do miejscowości oddalonych na okres pięciu lat z zastosowaniem pracy przymusowej”, nie wydaje się aż tak okrutny. Tym bardziej że Brodski wyszedł na wolność po 18 miesiącach, także dzięki protestom przeciw jego uwięzieniu m.in. Paustowskiego, Szostakowicza czy Achmatowej wspartych wstawiennictwem wolnej opinii na Zachodzie.

Uczciwi ludzie w ZSRR bronili też odważnie Siniawskiego i Daniela – słychać było głosy znowu Paustowskiego, Igora Gołomsztoka, Iriny Rodnianskiej, Lwa Kopielewa, Igora Kwaszy, Lidii Czukowskiej i jej ojca Kornieja Czukowskiego, Ilji Erenburga, Wiktora Szkłowskiego, Władimira Wojnowicza, Arsienija Tarkowskiego i wielu innych, którzy poparli skazanych w Liście 62 skierowanym aż do samego prezydium KPZR.

Z Zachodu głośno protestowali: Alberto Moravia, Arthur Miller, Günter Grass, Graham Greene, Heinrich Böll, Wystan Auden, Hannah Arendt, William Styron, Philip Roth, a nawet bliski komunizmowi Louis Aragon.

Gdy autor genialnego „Cichego Donu”, acz człowiek i obywatel nędzny Michaił Szołochow w 1966 r. na XXIII Zjeździe KPZR wyraził z wysokiej trybuny żal, że Siniawskiego i Daniela nie spotkała, jak by to było w latach 20., kara śmierci, wspaniała Czukowska wystosowała doń m.in. w paryskiej „Russkiej Mysli” list otwarty, z takim finałem: „Literatura sama się za siebie zemści, tak jak mści się ona na wszystkich, którzy odstępują od nałożonej przez nią na nich powinności. Skaże ona Pana na najwyższy wymiar kary, jaki może tylko być dla artysty – twórczą bezpłodność. I żadne honory, pieniądze, ojczyste i zagraniczne nagrody nie zdejmą z Pańskiej głowy tego wyroku”.

Dzisiaj podobnej obrony – ani w Rosji, ani w Polsce – w ogóle, niestety, nie słychać.

●

Na początku 2025 r. prezydent Wołodymyr Zełenski udzielił trzygodzinnego, emocjonalnego wywiadu popularnemu amerykańskiemu blogerowi Lexowi Fridmanowi, podkreślając wielokrotnie, że Putin w wielu swoich działaniach kopiuje Hitlera. I dodał: „Nie szanuję ani przywódcy Rosji, ani narodu rosyjskiego”.

Odezwał się zaraz na to upadły prezydent Dmitrij Miedwiediew: „Naród rosyjski nie szanuje Zełenskiego”. Wszechobecny „Dima gadżeciarz” nie mówił jednak ani w imieniu Kamardina, ani Aleksieja Gorinowa, byłego polityka, członka rosyjskiej „Solidarności”, a zarazem miejskiego samorządowca, który odsiaduje od wiosny 2022 r. wyrok dziesięciu lat kolonii za antywojenną postawę. Oni na pewno prezydenta Zełenskiego szanują, choć pewnie nie sprawiają im radości takie nadmiernie emocjonalne wypowiedzi.

Poniekąd w ramach rekompensaty przytoczmy w ich obliczu słowa z powstałego po wybuchu powstania listopadowego „Hymnu” („Bogarodzico, Dziewico!”) Juliusza Słowackiego: „Wolności pieniem wzruszę/ Zimne granity Newy;/ I tam są ludzie – i tam mają duszę”. ●

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Grzegorz Przebinda**

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. W 2023 r. ukazał się w Znaku jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją”.

eprasa.pl 817e671fa2

ALE HISTORIA

Pomnik Matek Ginekologii odsłonięty w 2021 roku w Montgomery w Alabamie. Jego autorkę, Michelle Browder, zainspirowało określanie Amerykanów Jamesa Mariona Simsa mianem „ojca współczesnej ginekologii"

FOT. RANDY DUCHAINE / ALAMY STOCK PHOTO

Okrutne eksperymenty DOKTORA SIMSA

Nazwano go ojcem nowoczesnej ginekologii. Był pierwszym lekarzem, któremu Amerykanie postawili pomnik. Ale w 2018 roku monument w Central Parku został rozebrany przy aplauzie nowojorczyków.

Joanna Banaś

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Przez ponad sto lat James Marion Sims (1813-83) był otoczony powszechnym szacunkiem. Jednak pod koniec XX wieku jego eksperymentalne operacje prowadzone na na niewolnicach – bez znieczulenia i bez ich świadomej zgody – zaczęły być opisywane jako przykład systemowego rasizmu w medycynie.

Osiągnięcia Simsa stały się „doskonałym przykładem postępu w zawodzie lekarza dokonanego kosztem bezbronnej populacji”.

W 1808 roku prezydent USA Thomas Jefferson zakazał importu niewolników. Dla właścicieli plantacji na południu Stanów oznaczało to, że jeśli chcą mieć darmową siłę roboczą, to ich niewolnice muszą rodzić dużo dzieci. Tymczasem częstym powikłaniem wielogodzinnych porodów, była przetoka pęcherzowo-pochwowa skutkująca wyciekaniem moczu przez poranioną pochwę. Ówczesna medycyna była wobec niej bezradna. Łatwo sobie wyobrazić, jak upokarzająca była to przypadłość i jakie cierpienie powodowała. W krajach rozwiniętych przetoka jest dziś rzadkim powikłaniem, głównie pooperacyjnym, natomiast w krajach Trzeciego Świata nadal często występuje po ciężkich porodach siłami natury.

Amerykańscy plantatorzy raczej nie przejmowali się dyskomfortem swoich niewolnic. Chcieli tylko, żeby były one na tyle sprawne, by ciężko pracować, i na tyle zdrowe, żeby rodzić kolejne dzieci, powiększając majątek swoich panów.

LEKARZ, KTÓRY CHCIAŁ ZARABIAĆ

Gdy w czerwcu 1845 roku przedłużał się poród 17-letniej Anarchy, jej właściciel i prawdopodobny ojciec dziecka, plantator Westcott z Alabamy, posłał po najlepszego lekarza w okolicy.

Do rodzącej wezwano 32-letniego wówczas Simsa praktykującego od pięciu lat w Montgomery, stolicy Alabamy. Zajmował się wszystkim, od wyrywania zębów po leczenie dzieci. 10 lat wcześniej ukończył szkolenie medyczne na uczelni w Filadelfii. Trudno je nazwać studiami, bo trwało zaledwie półtora roku, ułamek czasu, który potrzebny jest dziś do uzyskania uprawnień lekarskich. W dodatku nie szło mu za dobrze, został opisany jako „nijaki student, który wykazywał niewielkie ambicje po otrzymaniu dyplomu lekarza”.

Od 1835 roku prowadził praktykę w rodzinnej Karolinie Południowej. Do Alabamy przeniósł się po śmierci dwóch swoich pacjentów.

Nie był lekarzem z powołania, nie miał też ambicji naukowych – chciał po prostu dorobić się majątku. Jako medyk na usługach właścicieli plantacji był na dobrej drodze: zarabiał nieźle, a zleceń miał tyle, że założył nawet miniszpital dla niewolnic z okolicy (Negro Women’s Hospital). Zaczynał od czterech łóżek, by wkrótce liczbę łóżek powiększyć trzykrotnie.

Nie planował też zajmowania się typowo kobiecymi przypadłościami. „Jeśli było coś, czego nienawidziłem, to było to badanie narządów kobiecej miednicy” – zanotował Sims w autobiografii „Historia mojego życia”.

NA KOLANACH I NA ŁOKCIACH

Doświadczeni położnicy mawiają, że słońce nie powinno dwa razy wschodzić nad rodzącą. Tymczasem Anarcha rodziła już trzecią dobę w asyście czarnej akuszerki. J. Marion Sims wezwany na plantację do wydobycia dziecka użył kleszczy, chociaż nie miał doświadczenia w ich zakładaniu. Po latach przyznał: „Nie miałem pojęcia, co robić. Jakbym wcale nie studiował medycyny”. Adekwatna samoocena, bo dziecko zmarło, a Anarcha wyszła z porodu potwornie okaleczona, z dwiema przetokami – pęcherzowo-pochwową i odbytniczo-pochwową. Z tego powodu kilkanaście dni po porodzie plantator Westcott wysłał ją do Simsa. Lekarz znów nie wiedział, co robić, i odesłał niewolnicę.

Jednak niedługo potem na sąsiedniej plantacji ten sam problem wystąpił u Betsey, niewolnicy plantatora Harrisa. Ją także Sims odesłał z kwitkiem.

I wtedy zgłosiła się do niego biała kobieta, która po upadku z konia cierpiała na silne bóle w dole brzucha. Sims poprosił ją, by uklękła, podpierając się łokciami. Oczywiście była przyzwoicie okryta, zgodnie z zasadami epoki wiktoriańskiej. Jednak Sims złamał zasadę, w myśl której lekarz (wiadomo, że mężczyzna) nie mógł oglądać intymnych części ciała pacjentki.

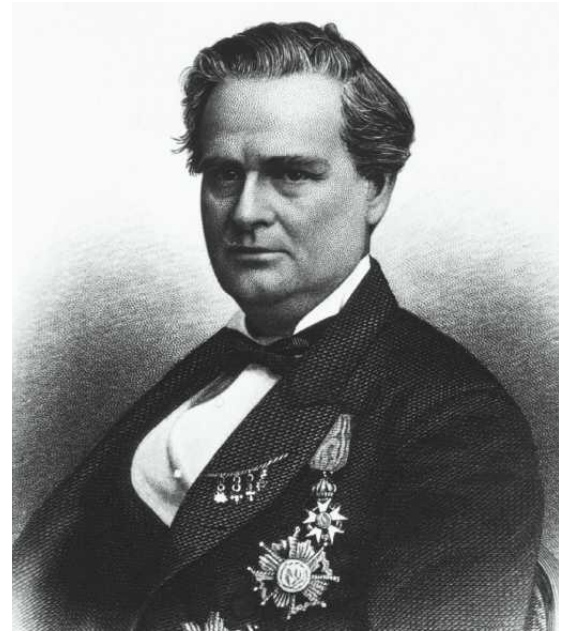

• **James Marion Sims (1813-83), ginekolog, który kroił „na żywca”**
FOT.THE NATIONAL LIBRARY OF MEDICINE

Zamiast, jak nakazywała ówczesna przyzwoitość, zasłonić sobie oczy, użył cynowej łyżki do zupy jako wziernika rozszerzającego pochwę, by widzieć, co robi.

Zorientował się wtedy, że organy wewnętrzne w pozycji kolankowo-łokciowej przemieszczają się i powstaje puste miejsce. Palcami przesunął nieprawidłowo ułożoną macicę cierpiącej pacjentki, co przyniosło jej ulgę. Wtedy pomyślał, że jest w stanie poradzić sobie także z przetokami.

ANARCHA, BETSEY I LUCY

W okolicy szybko znalazł trzecią niewolnicę z tą samą przypadłością – Lucy od Zimmermana. Wtedy dobił targu z właścicielami jej oraz Anarchy i Betsey: oni przekażą mu nieodpłatnie niewolnice na czas terapii (określony na pół roku), a on zapewni pacjentkom leczenie, wikt i opierunek. Ostro negocjował: plantatorzy mieli nadal płacić za nie podatki i kupować im ubrania.

„Nie wiadomo, co czuły Anarcha, Betsey i Lucy, ani czego doświadczyły. Nikt nie spisał ich relacji. Sims traktował je jak obiekty badań, w jego oczach nie były ludźmi. Wykorzystał je, aby udoskonalić procedurę i podbudować własną reputację” – pisze Elinor Cleghorn w książce „Wybrakowane. Jak leczono kobiety w świecie stworzonym dla mężczyzn” z 2021 roku.

Znamy imiona zaledwie trzech czarnych pacjentek, na których uczył się operować przetoki. Sims wymienił je w autobiografii, ale najprawdopodobniej było ich kilkanaście. Jedną z nich miał nawet odkupić od właściciela, który nie chciał udostępnić jej ciała do eksperymentów.

Opisując w 1853 roku swój eksperyment, Sims przemilczał fakt, że prowadził go na osobach zniewolonych, które nie wyraziły świadomej zgody, bo nie mogły decydować o swoim losie. Nie krył natomiast radości, że po stworzeniu nowej metody będzie mógł pomagać białym pacjentkom. I pomagał, a one płaciły za leczenie.

LEKCJE GINEKOLOGII DOKTORA SIMSA

„Testowanie nowych terapii na ciałach czarnych przed zastosowaniem ich na białych pacjentach było w Ameryce powszechną praktyką. Ciała niewolników nie miały ochrony prawnej, więc wykorzystywano je do przeprowadzania pokazowych operacji lub jako obiekty eksperymentów” – pisała w 2021 roku dr Colleen Campbell, prawniczka z Uniwersytetu Nowojorskiego.

Amerykańskie uczelnie medyczne przed wybuchem wojny secesyjnej wręcz konkurowały o studentów, chwaląc się dostępnością afroamerykańskich pacjentów. Savannah Medical College zapewniał, że jego czarni pacjenci dawali „obfite możliwości kliniczne do badania chorób”.

Wartość dydaktyczną miały też ciała zmarłych niewolników. W Medical College of South Carolina chirurgii uczono tylko na czarnoskórych. Francuski chirurg François Marie Prevost (1771-1848) po studiach w Paryżu pracował najpierw na Haiti, gdzie zainteresował się cesarskim cięciem, by przenieść się do Luizjany właśnie z powodu łatwego dostępu do ciał czarnych. Od 1830 roku przeprowadził 30 eksperymentalnych cesarskich cięć na niewolnicach, a jedynie siedem na białych pacjentkach.

J. Marion Sims każdą z niewolnic do operacji przetoki rozbierał do naga i kazał jej klęczeć, podpierając się na łokciach. Musiało to być dla nich tym bardziej upokarzające, że do obserwowania zabiegów zapraszał okolicznych medyków. Zasada ochrony przed wzrokiem obcych mężczyzn podczas zabiegów medycznych nie dotyczyła bowiem czarnych kobiet.

Sims operował niewolnice bez znieczulenia, choć każdy zabieg trwał około godziny. Nie był osamotniony w przekonaniu, że czarne kobiety są mniej wrażliwe na ból

CZY TO MUSIAŁO BOLEĆ?

Do połowy XIX wieku dobrym chirurgiem był szybki chirurg. Silny ból uśmierzano co najwyżej alkoholem lub wyciągami roślinnymi.

Sims zaczął naprawiać przetoki w drugiej połowie 1845 roku, gdy narkozy jeszcze nie stosowano. Wprawdzie amerykański chirurg Crawford Long (1815-78) już 30 marca 1842 roku bezboleśnie usunął spory wrzód z użyciem eteru jako środka znieczulającego, jednak wyniki swoich badań opublikował dopiero w 1849 roku.

Kilka miesięcy wcześniej, 10 grudnia 1844 roku, amerykański dentysta Horace Wells (1815-48) prezentował rozweselające działanie podtlenku azotu na świątecznym jarmarku. Gdy jeden z ochotników na radosnym rauszu w ogóle nie poczuł, że wskutek upadku mocno rozciął sobie nogę. Wells odkrył znieczulające właściwości gazu i już nazajutrz bez bólu usunął swojemu pacjentowi ząb mądrości.

Natomiast jego wspólnik z praktyki dentystycznej William Morton (1819-68) wolał eksperymentować z eterem. 16 października 1846 roku publicznie zaprezentował w Bostonie swoje znieczulenie podczas zabiegu usunięcia narośli na skórze. Jego metoda błyskawicznie rozeszła się po świecie (do Polski dotarła ledwie kilka miesięcy później), a eter na sto lat został najlepszym przyjacielem chirurgów, którzy odtąd mogli spokojnie operować nieprzytomnych pacjentów. No, może nie całkiem spokojnie – wczesne środki znieczulające były znacznie bardziej niebezpieczne niż preparaty stworzone w XX wieku: niedostateczna dawka nie zabijała bólu, a przedawkowanie mogło uśmiercić pacjenta.

PRYMITYWNE MACICE

Sims operował niewolnice bez znieczulenia, choć każdy zabieg trwał około godziny. Nie był osamotniony w przekonaniu, że czarne kobiety są mniej wrażliwe na ból. Znany szkocki położnik James Young Simpson (1811-70), skądinąd gorący orędownik i pionier znieczulenia podczas porodu, także uważał, że czarne kobiety nie cierpią tak jak białe, więc żadnego analgetyku nie potrzebują. W XIX wieku rozpowszechnił się wręcz pogląd, że mają one „odporność położniczą” lub „prymitywną miednicę”.

Jürgen Thorwald w książce „Ginekolodzy” pisze, że dopiero po zabiegu Sims „nakarmił niewolnicę Lucy opium, by sparaliżować jelita, stłumić głód i pragnienie, a zamiast bólu zapewnić jej przyjemne sny”. Jako następną operował Betsey, którą po zabiegu „trzymał dwa tygodnie na opiumowym rauszu”. Ani słowa o tym, dlaczego ból pacjentek zdecydował się uśmierzyć dopiero po zabiegu.

eprasa.pl 817e671fa2

Kilka lat później Sims zapewniał podczas wykładu w New York Academy of Medicine, że nigdy nie stosował znieczulenia do operacji przetoki, ponieważ procedura „nie była wystarczająco bolesna, aby uzasadnić ryzyko jej podania". A jednak używał potem zarówno podtlenku azotu, jak i chloroformu, wykonując ten sam zabieg, tyle że u białych pacjentek.

CENA SUKCESU

W szpitaliku w Montgomery niewolnice miały przebywać sześć miesięcy, ale ich pobyt się przeciągał. Sims powtarzał zabiegi po wielekroć, bo jedwabne nici, których używał, powodowały infekcje. Lucy spotkało najgorsze: Sims włożył jej do pochwy gąbkę, która miała absorbować krew. Tyle że ta, zamiast pomóc, zaszkodziła – przykleiła się do ciała i została wylęgarnią niezwykle bolesnej infekcji. Sims pisał po latach: „Cierpienie Lucy było ekstremalne. Była całkowicie wyczerpana i myślałem, że umrze. Minęły miesiące, aż wyzdrowiała".

Sukces przyszedł dopiero po czterech latach wraz ze zmianą nici na cieniutki srebrny drucik. W tym czasie Anarcha była operowana 30 razy, Betsy – 25, a Lucy – 28.

Z czasem zabiegi przestały być interesujące dla kolegów po fachu Simsa. Jedynie Anarcha, Lucy i Betsey miały nie tracić nadziei. Według Thorwalda były nawet asystentkami lekarza podczas kolejnych prób i pomagały mu z entuzjazmem. Ale wynika to wyłacznie z opisu Sims, prawdy nie poznamy nigdy.

Ostatecznie wszystkie trzy fizycznie zdrowe, choć uzależnione od opium, mogły wrócić na plantacje. Anarcha została później pielęgniarką, wyszła za mąż i urodziła sześcioro dzieci. Nie wiadomo, jak potoczyły się losy Lucy i Betsey.

J. Marion Sims osiągnął sukces: właściciele plantacji wysyłali mu kolejne niewolnice, by operował ich przetoki. Oczywiście za pieniądze. Po udanych zabiegach pojawiły się także białe pacjentki. Miały szczęście – w 1850 roku do Alabamy dotarła narkoza eterowa.

NIE BAŁ SIĘ RAKA

W 1853 roku Sims z rodziną przeniósł się z Alabamy do Nowego Jorku. Dwa lata później otworzył 30-łóżkowy Woman's Hospital of New York, który – nie licząc szpitaliku w Alabamie – był pierwszą kliniką dla kobiet w Stanach. Naprawiał w nim głównie przetoki pęcherzowo-pochwowe. Choć nowojorscy lekarze nie przyjęli go życzliwie, a wręcz namawiali pacjentki, by nie korzystały z jego usług, władze stanu przyznały szpitalowi 50 tys. dolarów na nową siedzibę, a miasto przekazało działkę. Pierwszy pawilon został ukończony w 1866 roku, drugi – 6 lat później. W nowym szpitalu Sims organizował pokazowe operacje na niezamożnych kobietach, które obserwowali liczni adepci medycyny i koledzy po fachu.

Po wybuchu wojny secesyjnej (1861) wyjechał na dłużej do Europy. Leczył tam, m.in. z pochwicy, arystokratyczne pacjentki, ponoć także cesarzową Francji Eugenię, co pozwoliło mu znacznie podnieść stawki.

Po powrocie do Nowego Jorku w Women's Hospital zaczął operować nowotwory narządów rodnych, i to w czasie, gdy rak był uważany za chorobę niższych klas społeczno-ekonomicznych. Niektórzy obawiali się, że jest zaraźliwy, a nawet przenoszony drogą płciową. Rada Kobiet szpitala stanowczo sprzeciwiła się leczeniu nowotworów. Ograniczono Simsowi także liczbę obserwatorów operacji – Rada uznała za obrazę kobiecej skromności, aby więcej niż 15 chirurgów płci męskiej obserwowało narządy płciowe kobiety podczas leczenia.

Skonfliktowany z władzami szpitala Sims złożył rezygnację. Później odegrał kluczową rolę w założeniu pierwszego w Ameryce szpitala onkologicznego, New York Cancer Hospital, który jednak został otwarty już po jego śmierci.

• **Nowy Jork, 17 kwietnia 2018 rok. Przy aplauzie aktywistów pomnik „ojca współczesnej ginekologii" zostaje usunięty z Central Parku**

FOT.ANDREW LICHTENSTEIN\CORBIS VIA GETTY IMAGES

OJCIEC NOWOCZESNEJ GINEKOLOGII

Chociaż na życzenie mężów wycinał ich żonom łechtaczki, co rzekomo miało leczyć je z niepohamowanej żądzy, a wcześniej prowadził nieetyczne eksperymenty nie tylko na niewolnicach, ale także na czarnych niemowlętach, Sims okazał się naprawdę innowacyjnym lekarzem. Nazwano go „ojcem nowoczesnej ginekologii". Leksykon medycznych eponimów Lindy Perlińskiej i Janusza Krzyżowskiego wymienia: operację Simsa (nacięcie woreczka żółciowego – jako pierwszy przeprowadził taką operację w 1878 roku), pozycję Simsa (na lewym boku z prawą nogą zgiętą i podciągniętą do brzucha, do badania ginekologicznego), przyrząd Simsa (wziernik do badania wnętrza macicy), szew Simsa (srebrny, zapobiegający posocznicy) oraz sondę Simsa (do pomiaru wysokości dna macicy).

W 1876 roku Simsa jednogłośnie wybrano na prezesa Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego. Był wtedy prawdopodobnie najbardziej znanym lekarzem w kraju. W 1880 roku został prezesem Amerykańskiego Towarzystwa Ginekologicznego, które współzakładał. Postawiono mu kilka pomników w różnych amerykańskich miastach. Najsłynniejszy – w Nowym Jorku – powstał w pracowni Ferdinanda Millera, wieloletniego dyrektora monachijskiej Akademie der Bildenden Künste. Początkowo stał w Bryant Parku w centrum Manhattanu, ale w związku z budową metra w 1934 roku został przeniesiony do Central Parku, naprzeciwko siedziby Nowojorskiej Akademii Medycznej.

Od 1939 roku pomnik Simsa stoi też na trawniku przed siedzibą władz stanowych Alabamy. Na monumencie w Columbii, stolicy Karoliny Południowej (powstał w 1929 roku), Sims określony został jako „pierwszy od wieków chirurg w służbie kobiet", który leczył „zarówno cesarzowe, jak i niewolnice".

INNE SPOJRZENIE

Jako pierwszy dorobek Simsa zakwestionował w 1976 roku historyk Graham J. Barker-Benfield z Uniwersytetu Stanowego Nowego Jorku. W książce poświęconej męskim postawom wobec kobiet i seksualności w XIX-wiecznej Ameryce napisał, że „niezwykle aktywna polityka chirurgicznej ingerencji w kobiece narządy płciowe" wynikała jedynie z ambicji Simsa, który uznał ginekologię za przepustkę do sławy i fortuny.

Książka wzbudziła emocje. Podczas dorocznego spotkania Amerykańskiego Towarzystwa Ginekologicznego jego członkowie gorąco bronili dobrego imienia Simsa. Przedstawiciel Uniwersytetu Medycznego Południowej Karoliny ogłosił nawet zbiórkę środków na ufundowanie katedry jego imienia. „Kobiety z przetokami stały się wyrzutkami społecznymi". (...) Na dłuższą metę miały powody do wdzięczności, że Sims wyleczył je z wycieku moczu" – argumentował dr Irwin Kaiser z nowojorskiego Albert Einstein College of Medicine.

Jednak krytyka eksperymentowania na zniewolonych kobietach się nasilała. Kontestatorzy osiągnięć Simsa twierdzili, że wolał eksperymentować, niż leczyć, i że spowodował niewypowiedziane cierpienie, działając na podstawie rasistowskiego przekonania, że czarni nie odczuwają bólu.

Historia ta stała się na tyle znana, że obok eksperymentów z Tuskegee (przez 40 lat nie leczono chorych na kiłę czarnoskórych mieszkańców tej miejscowości, bo pseudonaukowcy woleli obserwować terminalne stadia choroby) oraz przypadku Afroamerykanki Henrietty Lacks (bez zgody pacjentki użyto jej komórek rakowych do hodowli linii nieśmiertelnych ludzkich komórek, do dziś używanych w badaniach naukowych) stała się przykładem tego, jak amerykański system medyczny przez lata wykorzystywał Afroamerykanów.

W 1993 roku dr Durrenda Ojanuga ze School of Social Work przy Uniwersytecie Alabamy napisała w „Journal of Medical Ethics": „Jego sława i fortuna były wynikiem nieetycznych eksperymentów na bezsilnych czarnych kobietach".

PRAWDA CZASU I CZAS PRAWDY

W XXI wieku obrońcą spuścizny Simsa był L. Lewis Wall, chirurg i antropolog z Washington University w St. Louis. „Współcześni krytycy Simsa lekceważyli ogromne cierpienie doświadczane przez ofiary przetoki – pisał w artykule w „Journal of Medical Ethics" (2006). – Dowody sugerują, że pacjentki Simsa były chętnymi uczestniczkami chirurgicznych prób wyleczenia ich dolegliwości – stanu, dla którego w tamtym czasie nie istniała żadna inna realna terapia". Wall argumentował, że operacja przetoki na niezniecznulonych pacjentkach wymagałaby współpracy z ich strony i nie byłaby możliwa, gdyby pacjentka aktywnie stawiała opór. Bronił również Simsa przed zarzutem, że odmówił podania znieczulenia tylko czarnoskórym pacjentom. Zdaniem Walla lekarze, którzy się szkolili, zanim znieczulenie stało się powszechnie stosowane, czasami woleli, aby ich pacjenci byli przytomni.

A jednak w tym samym roku Uniwersytet Alabamy usunął obraz przedstawiający Simsa.

Nacisk aktywistów z organizacji Black Youth Project 100 na usunięcie nowojorskiego pomnika Simsa nasilił się po opublikowaniu w 2007 roku książki Harriet A. Washington „Medical Apartheid: The Dark History of Medical Experimentation on Black Americans from Colonial Times to the Present" (Medyczny apartheid: mroczna historia eksperymentów medycznych na czarnoskórych Amerykanach od czasów kolonialnych do współczesności), której Sims był jednym z antybohaterów.

Aktywiści musieli jednak długo czekać na reakcję władz na swoje postulaty. W sierpniu 2017 roku pomnik Simsa w Central Parku został zdewastowany – napisano na nim sprayem słowo „rasista".

Przełom nastąpił w 2018 roku. W lutym Uniwersytet Medyczny Południowej Karoliny usunął nazwisko Simsa z nazwy katedry ginekologii. „Decyzja została podjęta w uznaniu kontrowersyjnego i polaryzującego charakteru tej historycznej postaci, pomimo jej wkładu w dziedzinę medycyny" – potwierdził rzecznik uczelni na pytanie dziennikarki „The Atlantic".

Natomiast w kwietniu burmistrz Nowego Jorku Bill de Blasio nakazał likwidację pomnika Simsa nazajutrz po tym, gdy Komisja Projektów Publicznych Nowego Jorku jednomyślnie zagłosowała za jego usunięciem. Świadkowie usuwania z cokołu figury Simsa wiwatowali. Została ona umieszczona na cmentarzu Green-Wood na Brooklynie, obok grobu lekarza.

Historyczka Deirdre Cooper Owens, prof. Uniwersytetu Connecticut, postawę moralną Simsa proponuje traktować w sposób zniuansowany, nie tylko jako „ojca ginekologii" albo „gnębiciela czarnych kobiet". Jej zdaniem Sims, żyjąc w społeczeństwie opartym na niewolnictwie, wyrażał swoim postępowaniem seksizm i rasizm, które były uważane za normalne w jego czasach. Zauważa jednak hipokryzję jego wypowiedzi. – Jeśli uważał, że czarni nie czują bólu, to dlaczego opisywał, jak podczas operacji pacjentki muszą być przytrzymywane. Czemu miałyby się wyrywać, skoro je nie bolało? – mówiła w telewizji PBS.

POMNIK MATEK GINEKOLOGII

Pomysłodawczynią projektu upamiętnienia w stolicy Alabamy niewolnic operowanych przez Simsa była Michelle Browder, artystka i działaczka społeczna. Jej ojciec był pierwszym czarnym kapelanem więziennym w Alabamie, a ciotka Aurelia jedną z kobiet aresztowanych za zajęcie w autobusie miejsca przeznaczonego tylko dla białych – sprawa Browder vs. Gayle doprowadziła w 1956 roku do wydania przez Sąd Najwyższy orzeczenia o niezgodności z konstytucją segregacji w autobusach międzystanowych.

Michelle Browder, zainspirowana przez określenie Simsa „ojcem ginekologii", w 2021 roku stworzyła w Montgomery pomnik Matek Ginekologii. Przedstawia on postaci trzech kobiet wykonane ze złomu. To nawiązanie do określenia użytego przez Simsa w autobiografii: opisał operowane eksperymentalnie niewolnice jako „przedmioty, które wymagały naprawy".

Artystka wykorzystała metalowe przedmioty: łańcuchy rowerowe, nożyczki, narzędzia ginekologiczne, w tym i te określane od nazwiska Simsa. Figura stojącej Anarchy ma ponad 4,5 m wysokości, a w miejscu łona – otwór, w którym tkwi róża. Za nią klęczą Betsey i Lucy.

Budynek, w którym mieścił się szpitalik Simsa dla niewolnic, został przez Browder zamieniony w Health and Wellness Museum and Clinic. Docelowo ma tu działać muzeum z kliniką położniczą i przestrzenią szkoleniową dla studentów medycyny, ginekologów, doul (kobiet towarzyszących rodzącym) i położnych.

Co ciekawe, gdy biali właściciele dawnej siedziby szpitala Simsa dowiedzieli się, co Browder chce w nim urządzić, stwierdzili, że są z niej dumni, i sprzedali nieruchomość za ułamek wartości. ●

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2

Jasne strony dziejów

Siła lojalności

Jeśli postawa „Polityki” w marcu 1968 roku sprawiła, że choć kilku Żydów zostało w Polsce, warto wymieniać jej redaktorów wśród tych, którzy zachowali się, jak trzeba.

Brzeziecki

Kolejna rocznica Marca’68. Choć w sumie nie wiadomo, czy wraz z upływem lat oddalamy się, czy przybliżamy do ówczesnej atmosfery. Minęło ponad pół wieku, a problemy wciąż te same. Zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i w Polsce. Z tą jedynie różnicą, że Żydów zastępują Ukraińcy.

Pod hasłem Marzec’68 właściwie należy rozumieć czas od czerwca 1967 roku do opuszczenia ostatnich marcowych emigrantów w bodajże w roku 1970. Bo przecież szykanowanie Żydów w Polsce zaczęło się po izraelskim zwycięstwie nad państwami arabskimi.

Kwestia żydowska splątała się ze sprawą wolności słowa i buntem studentów. Partia szczuła przeciw syjonistom, studentom, pisarzom i innym inteligentom. Niektórzy chętnie przyłączali się do tego szczucia. Nie był to chwalebny okres polskich dziejów, ale nawet wtedy znajdywali się ludzie, którzy potrafili się zachować przyzwoicie. Niektórzy protestowali, inni nie przyłączali się do nagonki, choć tego od nich oczekiwano.

Z marca zapamiętano głównie protest studentów oraz postawę posłów ruchu Znak, którzy domagali się wyjaśnienia przyczyn pobicia młodzieży po wiecu na Uniwersytecie Warszawskim i którym w późniejszej debacie sejmowej partia zgotowała lincz. Ale posłowie Znaku związani byli z „Tygodnikiem Powszechnym”, a to środowisko po 1945 roku było impregnowane na antysemityzm.

Zdecydowana większość polskich mediów zaangażowała się w antysemicką nagonkę. Wyjątkiem była „Polityka” kierowana przez Mieczysława F. Rakowskiego. Gdy jakiś czas temu spytałem niedawno zmarłego Mariana Turskiego, co – jego zdaniem – sprawiło, że Rakowski zachował się wówczas przyzwoicie, ten wskazał kilka możliwych przyczyn. Rakowski jako młody chłopak, otrzymał spory kredyt zaufania i sporą dawkę edukacji od starych żydowskich działaczy komunistycznych. Możliwe więc, że wdzięczność wobec nich sprawiła, iż nie wplątał się w działania wymierzone w syjonistów.

Inną, niewykluczającą pierwszej, podpowiedzią może być jego małżeństwo ze znaną skrzypaczką, Wandą Wiłkomirską, która „ucywilizowała” Rakowskiego do tego stopnia, iż brzydził się antysemityzmem. W jej rodzinie i środowisku dominowali ludzie szczepieni na antysemityzm.

Prawdą jest, że Rakowski, syn wielkopolskiego zamożnego chłopa, miał wszelkie dane ku temu, by przyłączyć się do obozu Mieczysława Moczara – naczelnego wówczas polskiego antysemity i nacjonalisty. A jednak przetrzymał naciski partii. Z „Polityki” już wcześnie uczynił głos polskiej liberalnej inteligencji. Przyznam, że wychowany w kulcie „Tygodnika Powszechnego” i legendy KOR lekceważyłem dorobek inteligencji bardziej lub mniej związanej z elitami PRL. Zwłaszcza jeśli w tym związku trwali do 1989 roku.

W 1968 roku Polska straciła wielu wybitnych obywateli – ludzi kultury i nauki, którzy porobili kariery na Zachodzie. Część z nich utrzymywała kontakt z polską opozycją i wspierała ją. Inni zachowali uraz do państwa, które je wyrzuciło.

Marian Turski także miał propozycję, by dostatnio żyć w USA. Odmówił, kierując się lojalnością wobec zespołu „Polityki”. Uważał, że skoro ci ludzie ryzykowali swoje kariery w geście solidarności m.in. z nim, to on teraz nie może ich opuścić.

W ten sposób Rakowski przysłużył się do pozostania w Polsce co najmniej jednego mądrego człowieka. Turski do końca pozostał lojalny wobec Rakowskiego, za co przyszło mu potem płacić, gdy naczelny „Polityki” na dobre wszedł w politykę, gdy stracił nimb liberała, gdy kojarzył się głównie z rzeczywistością stanu wojennego i kryzysem gospodarczym.

Turski nie zaangażował się w opozycję – widziano w tym koniunkturalizm. Wybór komunizmu po piekle Auschwitz był dla wielu zrozumiały (Turski zresztą identyfikował się z tą ideą już wcześniej), ale formalne trwanie przy PZPR, gdy znikły już wszelkie złudzenia, nie.

Można nie popierać politycznych wyborów Turskiego, zarazem można być mu wdzięcznym za tę naukę przyjaźni i lojalności. To w trudnych czasach też wartość. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Antypolityka historyczna

W obronie eskapizmu

Jacob Burckhardt lękał się tego, co przyniesie nowoczesność. Czy słusznie?

Janowski

„Kultura odrodzenia we Włoszech” szwajcarskiego historyka Jacoba Burckhardta od ponad 160 lat zachowuje popularność, jeśli nie w oczach specjalistów, którzy zwykle nie tracą czasu na czytanie starych książek, to u tych wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś ciekawego o epoce renesansu. Książka w pewien sposób zbudowała nasze, aktualne do dziś, rozumienie tamtej epoki. Burckhardt podkreśla, że „wynalazkiem” renesansu jest nowoczesny indywidualizm, odkrycie wartości jednostki. Zwraca uwagę na pojawienie się nowego typu państwa – świeckiego, bezwzględnego i amoralnego („Państwo jako dzieło sztuki” – brzmi wielokrotnie cytowany tytuł pierwszego rozdziału). Wiele fragmentów, na przykład analiza pojawienia się nowego typu poczucia humoru, po dziś dzień uderza świeżością.

Burckhardt był rozdarty w swej ocenie renesansu. Nie lubił owego nowoczesnego państwa i bał się go. Choć sam niereligijny, nie uważał zeświecczenia polityki za jednoznaczne błogosławieństwo, bo osłabienie autorytetu religii pozbawia władców jednego z nielicznych hamulców ich postępowania. Miał głębokie przekonanie, że „władza jest sama w sobie zła, obojętnie, kto ją wykonuje. Nie jest ona dążeniem do utrzymania istniejącego stanu rzeczy, ale pożądaniem czegoś nowego (»kein Beharren, sondern eine Gier«), a więc *eo ipso* jest nie do nasycenia; jest sama w sobie nieszczęśliwa i innych czyni nieszczęśliwymi” („Weltgeschichtliche Betrachtungen”, cz. III, rozdz. 2).

Nie wierzył w postęp, a w każdym razie nie wierzył w możliwość odgadnięcia reguł rozwoju historycznego, skoro przyszłości – a więc czegoś, czego jeszcze nie ma – nie da się w żaden sposób poznać, zanim się nie wydarzy. Jest w tym niemal wyjątkowy na tle XIX-wiecznych intelektualistów, którzy, jak Karol Marks (obaj z rocznika 1818), często myśleli, że poznali naukowe prawa rządzące historią.

Zaznajomił się w Bazylei z Fryderykiem Nietzschem. Nie przejął od niego koncepcji nadczłowieka ani woli mocy, ale dzielił z nim przekonanie o fałszu i głupocie coraz bardziej rozpychającego się niemieckiego nacjonalizmu. W powstałym w 1871 roku po wojnie z Francją Cesarstwie Niemieckim dokonało się, pisał Nietzsche, „wyniszczenie ducha niemieckiego na rzecz Rzeszy niemieckiej” (po niemiecku jest tu coś w rodzaju gry słów: „die Extirpation des deutschen Geistes zugunsten des deutschen Reiches”). Burckhardt uważał zupełnie tak samo.

Ów lęk przed wszechmocą państwa skłaniał Burckhardta do sceptycznego spojrzenia na kulturę odrodzenia.

A z drugiej strony – i tutaj właśnie było owo rozdarcie – Burckhardt był zachwycony sztuką renesansu włoskiego. Jej piękno pochodzi bowiem – tak sądził – nie z tanich efektów, lecz z harmonii barw i kształtów; z matematycznie wyliczonych, obiektywnych proporcji. To piękno jest dlań schronieniem przed nieprzewidywalnością i zmiennością świata. Ta sztuka może choćby w części odkupić zło polityki, sprawia, że świat nie jest tak całkiem godny potępienia.

Zaproponowano mu objęcie katedry historii na Uniwersytecie Berlińskim, najbardziej prestiżowej katedry historii w ówczesnej Europie. Odmówił, między innymi z niechęci do nacjonalistycznej atmosfery ówczesnych Niemiec. Katedrę objął Heinrich von Treitschke, słaby, choć bardzo popularny historyk i gorliwy nacjonalista. „Na zdrowie mu” – skwitował Burckhardt.

Został do końca życia w Bazylei. Na świetnym zdjęciu (dostępnym m.in. przy biogramie Burckhardta w niemieckiej Wikipedii) widzimy go z góry, jakby patrząc przez otwarte okno na ulicę, jak idzie szybkim, zdecydowanym krokiem, wyprostowany, z siwymi, krótko przystrzyżonymi włosami widocznymi spod czarnego kapelusza; mija właśnie gotyckie przypory katedry w Bazylei, trzymając pod pachą wielką tekę z fotografiami dzieł sztuki, które będzie pokazywał studentom na wykładzie. Ta teka może się kojarzyć z tarczą obronną, w czym jest coś niezwykle symbolicznego. Burckhardt lękał się tego, co przyniesie nowoczesność. Czy słusznie? – każdy sam oceni. Ale ten lęk zaowocował dziełem życia fascynującym, niezwykle subtelnym, głębokim, refleksyjnym, które po dziś dzień może stanowić fundament refleksji o przemianach świata. Nie byłoby dobrze, gdyby wszyscy byli eskapistami, ale czasem – właśnie w tym wypadku – eskapizm przynosi skutki błogosławione. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku

eprasa.pl 817e671fa2

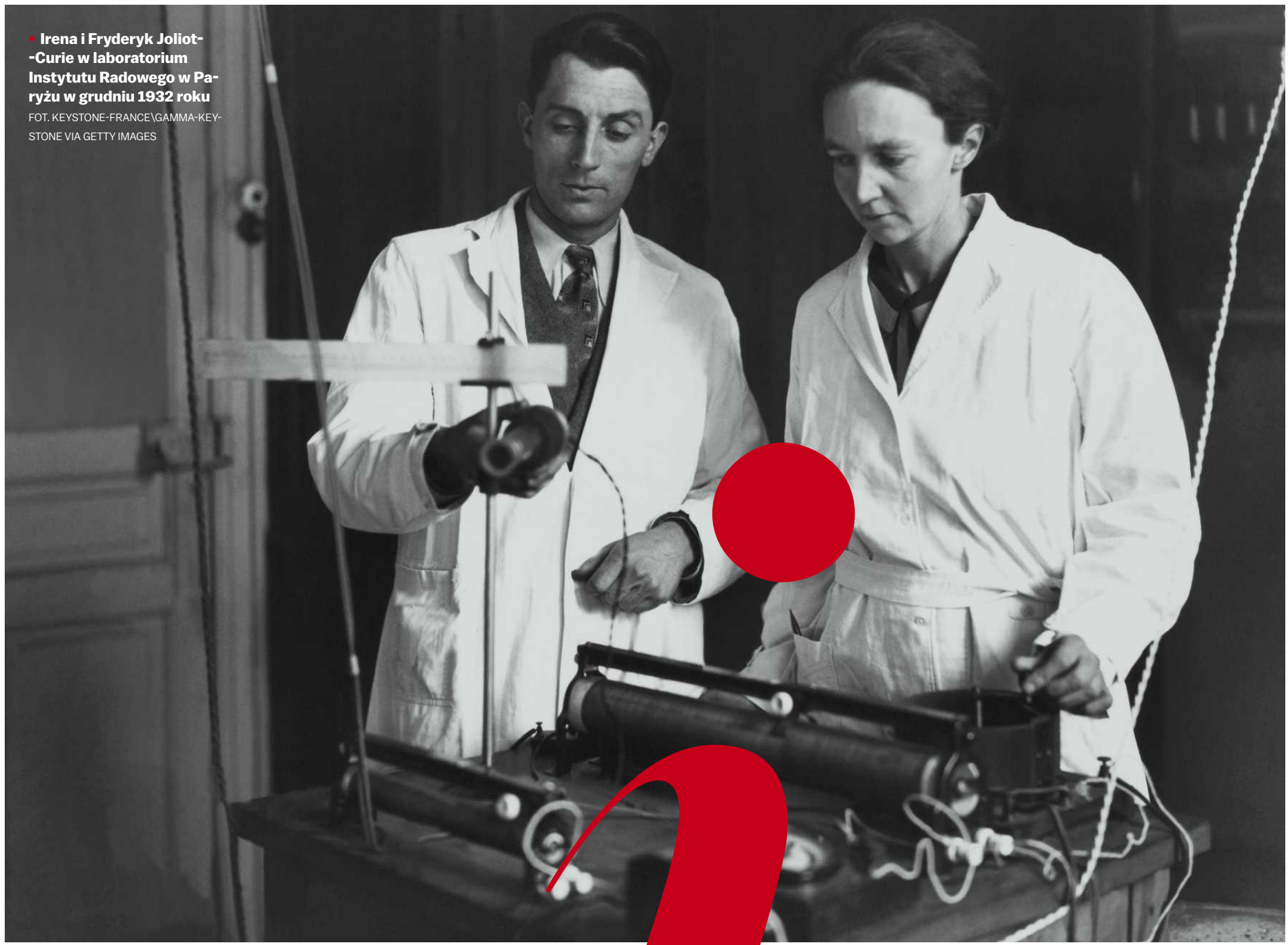

Irena i Fryderyk Joliot-Curie w laboratorium Instytutu Radowego w Paryżu w grudniu 1932 roku
FOT. KEYSTONE-FRANCE\GAMMA-KEYSTONE VIA GETTY IMAGES

IRENA i FRED

„Tęsknię za tobą, mimo że jesteś strasznie apodyktyczna” – pisał do żony Fryderyk Joliot-Curie.

Dorota Ronge-Juszczyk

Oboje byli pacyfistami, kochali Francję, pasjonowali się nauką i uprawianiem sportów. Byli też wrażliwi na niesprawiedliwość i krzywdę ludzką. Wszystko inne ich dzieliło. Ona zawsze spokojna, milcząca, trzymająca dystans, on impulsywny, skory do żartów, wszędzie lubiany, szybko nawiązujący kontakty. Przystojny, elegancki, podobający się kobietom. Ona niezbyt lubiana, czym się nie przejmowała, podobnie jak i tym, jak wygląda. Ta miłość nie miała prawa się zdarzyć.

FRYDERYK

Był onieśmielony. Zależało mu na tej pracy, ale madame Curie nie wydawała się zachwycona. Szukała ludzi z dyplomem uniwersyteckim, a ten młody człowiek raptem skończył Szkołę Fizyki i Chemii Przemysłowej w Paryżu, do której przyjmują bez matury. Jednak polecił go Paul Langevin, stary przyjaciel, zapewniając, że chłopak jest zdolny i pracowity, więc nie mogła odmówić.

I tak w 1925 roku inżynier Fryderyk Joliot, lat 25, został asystentem w Instytucie Radowym w Paryżu, którego założycielką i dyrektorką była Maria Skłodowska-Curie, a najbliższą współpracowniczką córka Irena. I to jej Maria zleciła przyuczenie nowego laboranta. Irena Curie miała 28 lat, gotowy doktorat i o promieniotwórczości wiedziała niemal tyle, co matka. On się nie zdradził, że ma o tym mgliste pojęcie, tylko wziął się do pracy. Zarabiał 550 franków miesięcznie – w przemyśle miałby cztery razy więcej – toteż ciągle musiał dorabiać.

Pochodził ze skromnej rodziny. Ojciec zajmował się handlem i amatorsko muzyką. Matka, protestantka z Alzacji, prowadziła niewielką piekarnię, co pozwoliło rodzinie z czworgiem dzieci wieść spokojne życie. Fryderyk wyniósł z domu szacunek do ludzi, miłość do sportów i przyrody. Lubił wędkowanie z ojcem, grał na pianinie i dobrze rysował. Jego kolegami były dzieci z proletariackich rodzin nierzadko korzystające ze stypendiów, by móc się uczyć. Wojna i śmierć ojca znacznie zubożyły życie rodziny i Fryderyk musiał szybko zdobyć zawód i pracę.

A teraz nowa szefowa oczekiwała, że jeszcze zrobi studia uniwersyteckie. Pięć lat potrzebował, by zdać maturę, zdobyć dyplom Sorbony i obronić doktorat z fizyki. „Praca genialna” – ocenili recenzenci, a rząd przyznał mu dotację naukową. „To było straszliwie trudne i wyczerpujące” – wyznał po latach. Pierwszą pracę naukową dedykował matce.

W laboratorium pod okiem Ireny pracował całe dnie. Lubił to, choć córka szefowej nie była sympatyczna. Nikt nie kwestionował jej wiedzy i kompetencji, jednak uważano ją za osobę wyniosłą i pozbawioną uczuć. Rzadko się odzywała, czasami zapominała nawet powiedzieć „dzień dobry”. „Nie wiem, czy tu wytrzymam. Córka szefowej zachowuje się okropnie. Jak księżniczka korony” – zwierzał się matce.

IRENA

Pochodziła z innego świata. Wyrastała w środowisku wybitnych naukowców. Przyjaźniła się z ich dziećmi. Lubiła się uczyć, wędrować po górach i czytać. Znała poezję, języki i miała piękną kartę wojenną; jako nastolatka razem z matką ratowała życie żołnierzy na frontach pierwszej wojny światowej. Być może to doświadczenie, a wcześniej w dzieciństwie strata ojca, rozmowy z dziadkiem o filozofii, przyrodzie i życiu spowodowały, że zawsze była nad wiek poważna. Nie marnowała czasu na czczą gadaninę, nie przywiązywała wagi do strojów ani do tego, co myślą o niej inni.

„Nawet nie pomyślałem, że kiedyś będziemy małżeństwem – wspominał Fryderyk. – Ale obserwowałem ją i zobaczyłem w tej młodej dziewczynie nie twardą skałę – jak wszyscy dookoła – tylko niezwykłą istotę, o niesłychanej wrażliwości. Podobną do ojca. Dużo czytałem i słyszałem o Piotrze Curie, w jego córce znalazłem tę samą szczerość, dobroć i spokój”.

Czy dostrzegł, że była również niezależna i że jako kobieta uważała, iż jest równa mężczyznom? Nie tylko w nauce.

Ten nowy asystent coraz bardziej ją interesował. Widać, że jest utalentowany, bystry i wytrwały w badaniach. Potrafił też w minutę naprawić zepsute urządzenie. Dużo rozmawiali, czasami pozwalała się odprowadzić do domu, aż po

eprasa.pl 817e671fa2

kilku miesiącach zdali sobie sprawę z tego, że bez siebie nie mogliby już żyć. Irena zaskoczyła matkę, oświadczając, że zaręczyła się z Fryderykiem Joliot, „najświetniejszym i najnamiętniej zakochanym w nauce pracownikiem Instytutu Radowego".

Za młody, za przystojny, do tego flirciarz i... to tylko laborant – myślała zszokowana noblistka i wymogła na córce, aby przed ślubem podpisali intercyzę dotyczącą dziedziczenia majątku, nie tylko prywatnego. Ta miłość z pewnością nie potrwa długo, a rad nie może trafić w ręce kogoś spoza rodu Curie.

Irena i Fryderyk wzięli ślub cywilny w październiku 1926 roku, po obiedzie... udali się do laboratorium, by popracować. Maria długo nie ufała zięciowi i przedstawiała go innym jako „młodego człowieka, który ożenił się z Ireną".

Po roku młodzi zostali rodzicami Heleny, po sześciu latach – syna Piotra. Mieszkali w apartamencie ofiarowanym przez Marię, która uwielbiała wnuki i chętnie je odwiedzała. Coraz życzliwiej spoglądała na zięcia i nawet zaczęła mu mówić po imieniu.

„Jak dotąd na nic nie mogę się skarżyć. Mam matkę, którą kocham, i żonę, którą uwielbiam" – pisał Fryderyk do matki.

PAŃSTWO JOLIOT-CURIE

Tę idyllę mąciła szeptanina, że ożenił się dla kariery, nazwiska i pieniędzy. Czuł się upokorzony. Z bezradności zapewniał wszystkich dookoła, że kocha żonę. „Traktowano go jak Księcia Małżonka, którego księżniczka wybrała na swego życiowego partnera, (...) a przecież wybrała geniusza – zauważył Lew Kowarski, fizyk pracujący z Joliotami. – Wiedział, że jest bardziej utalentowany od ludzi, którzy z niego szydzą i to rodziło w nim gorycz".

Inny fizyk Bertrand Goldschmidt dodaje: „Całe życie miał kompleks niższości. Prawdopodobnie dlatego, że nie należał do układu i ożenił się z córką szefowej".

Czasami miał dość: „Jestem trochę urażony tonem Twojego listu. Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem na Twoje rozkazy" – pisał do Ireny. Joliot miał doktorat, własne znaczące osiągnięcia, publikacje i patenty, nagrodę Nobla, a i tak jeszcze w 1948 roku usłyszał, że ożenek z panną Curie był trampoliną do kariery. Irena nigdy się tym gadaniem nie przejmowała, tylko skupiała na pracy. Razem zajęli się badaniem radioaktywności i niektóre publikacje podpisywali dwoma nazwiskami. Paul Langevin zaczął o nich mówić Joliot-Curie i tak już zostało, co znowu wywołało lawinę komentarzy.

„Są mężowie, którzy mają w portfelu fotografie swych żon. A Fred nosi tam fotografię pięknego szczupaka, którego kiedyś złowił" – kpiła sobie Irena. Byli dobrym, partnerskim i kochającym się małżeństwem – zgadzają się liczni biografowie. Żaden nie trafił choćby na aluzję, że on miał romanse, choć okazji było aż nadto. Często żyli z dala od siebie; Irena od młodości chorowała na gruźlicę i każdego roku wiele miesięcy spędzała w alpejskich sanatoriach, Fryderyk zaś zostawał z dziećmi. „Brakuje mi ciebie, najdroższa. Bez listu od ciebie jestem nieszczęśliwy – pisał do żony. – Jeszcze dwanaście dni musi minąć, zanim cię zobaczę. (...) Smutno mi, że jestem sam bez mojej najdroższej Ireny. Tak mało byliśmy razem w tym roku.(...) Wróć. Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. (...) Tęsknię za Tobą, mimo że jesteś strasznie apodyktyczna. A może właśnie za tym tak tęsknię".

„Nie pal tak dużo, jeśli chcesz, bym Cię kochała – madame Joliot nie traciła formy. – Czekam, kiedy znowu będę mogła wtulić się w Twoje ramiona i potargać Ci włosy".

Tęskniła za mężem, tęskniła za dziećmi. Kiedyś Fred zachwycony efektem eksperymentu wykrzyknął, że jest to najpiękniejsze zjawisko na świecie. „Tak kochanie, byłoby to najpiękniejsze zjawisko na świecie, gdyby nie narodziny dziecka" – odparła spokojnie.

NAGRODA NOBLA

„Wielkie odkrycie nie wyskakuje z mózgu naukowca gotowe niczym Minerwa w pełnej zbroi z głowy Jupitera; jest raczej owocem narastania wyników pracy wstępnej" – to trafne spostrzeżenie Marii Skłodowskiej-Curie doskonale oddaje atmosferę, w jakiej Irena i Fred pracowali, od kiedy niemieccy fizycy Bothe i Becker w 1928 roku, bombardując polonem różne pierwiastki, zauważyli, że wywołuje to emisję wysokoenergetycznego promieniowania gamma. W wielu laboratoriach powtarzano eksperymenty i tak właśnie narastały wyniki pracy wstępnej. Odkryto neutron i pozyton.

Mimo że Irena cierpiała na anemię i była osłabiona, urodziło im się dwoje dzieci, Joliotowie dużo pracowali. W 1934 roku odkryli pierwsze sztucznie wytworzone atomy radioaktywne. Gdy Fred zrozumiał, co się stało, zaczął skakać i tańczyć po całej piwnicy, gdzie był zesłany przez Marię, gdyż „palił jak komin fabryczny". Irena często tam schodziła, by zabrać go na obiad albo do domu. On się ociągał, bo zawsze była praca, jednak ona tak długo nad nim stała, aż w końcu z nią wychodził.

Odkrycie sztucznej promieniotwórczości rok później przyniosło im Nagrodę Nobla. Maria już tego nie doczekała; zmarła w lipcu 1934 roku. Irena na pytanie, czy jest dumna z tak prestiżowego wyróżnienia, odparła w swoim stylu: „W naszej rodzinie jesteśmy przyzwyczajeni do zaszczytów". Francuska prasa zauważyła, że w Sztokholmie nie miała na sobie biżuterii, a przecież kobiety zawsze w takich sytuacjach ją zakładają. Poza tym z trudem panowała nad emocjami, wciąż oglądała swój dyplom i medal. Jak to kobieta! Nagroda, około 41 tys. dolarów, pozwoliła im spełnić marzenie o domu z ogrodem na wsi pod Paryżem. W 1936 roku podczas wizyty w Warszawie 12 tys. złotych przekazali Instytutowi Radowemu, za co zakupiono potężny elektromagnes.

FEMINISTKA I MĘSKA DUMA

Irena i Fred, podobnie jak Maria i Piotr, nigdy nie opatentowali swego odkrycia. Uważali, że naukowcy i ich dzieła winny służyć dobru ludzkości.

Obsypano ich zaszczytami. W Collège de France specjalnie dla Fryderyka utworzono Katedrę Chemii Jądrowej ze świetnie wyposażonym laboratorium. Został dyrektorem Państwowego Funduszu Naukowego, co wykorzystał w ten sposób, że w Ivry rozpoczął tworzenie Laboratorium Syntezy Atomowej. Wkrótce sam zbuduje tam pierwszy we Francji cyklotron.

Irenie pozwolono objąć po mężu profesurę na Sorbonie i powołano ją na urząd sekretarza stanu ds. badań naukowych w rządzie socjalisty Leona Bluma. „Przyjęłam to stanowisko ze względu na francuski ruch feministyczny, choć zupełnie nie miałam ochoty" – pisała do przyjaciółki.

> Maria długo nie ufała zięciowi i przedstawiała go innym jako „młodego człowieka, który ożenił się z Ireną". Z czasem coraz życzliwiej spoglądała na zięcia i nawet zaczęła mu mówić po imieniu

Helena zapamiętała, że w domu był to czas kryzysu: „Zbuntowała się męska duma Freda, który uważał, że jest lepiej od Ireny przygotowany do tej roli". Ona sama miała nadzieję, że wywalczy więcej pieniędzy na naukę; odeszła po trzech miesiącach, bo i tak o wszystko musiała pytać mężczyzn.

Fryderyka z honorami przyjęto do Francuskiej Akademii Nauk. Dla Ireny podobnie jak kiedyś dla Marii – nie było tam miejsca.

Oboje angażowali się w działalność polityczną i nie ukrywali komunistycznych poglądów. Po podróży Fryderyka do ZSRR razem wychwalali państwo radzieckie, że tak dba o rozwój nauki. A we Francji? „Za cenę jednego krążownika bojowego można by zbudować i utrzymywać przez pół wieku dziesięć instytutów naukowych" – krytykowała noblista.

Zostali członkami Komitetu Czujności Przeciwko Faszyzmowi, Irena, wojująca feministka, uczestniczyła w pracach Światowego Kongresu Kobiet przeciwko Wojnie i Faszyzmowi. Zauważała, że kobiety sowieckie mają już prawa wyborcze, a Francuzki ciągle nie. Przewodniczyła Unii Intelektualistów Francuskich. W 1936 roku założyła w Paryżu pierwszy klub ju-jitsu.

MAMA BY NIE WYJECHAŁA

Do swych laboratoriów przygarniali coraz więcej naukowców uciekających przed nazistami. Przybywało też wyników pracy wstępnej. Irena z zespołem zaobserwowali zjawisko nazwane później rozszczepieniem jądra uranu. Zaś Fryderyk z pracownikami (Halbanem, Kowarskim i Perrinem) odkryli, że w reakcji rozszczepienia jąder uranu generowane są swobodne neutrony, co może spowodować niekończącą się reakcję łańcuchową. Rozumieli, jakie mogą być tego konsekwencje.

Nie interesowała ich budowa bomby, tylko elektrowni jądrowej dla przemysłu. Potrzebowali rządowych pieniędzy. Joliot więcej czasu spędzał w gabinetach polityków niż w laboratorium. Sporządził listę niemieckich fizyków, którzy, jak przypuszczał, mogli pracować nad tym samym i przekonał rząd do wykupienia od Norsk Hydro całego światowego zapasu – około 200 kg – ciężkiej wody, zanim zrobią to Niemcy (po wojnie nakręcono o tym film, w którym Joliot zagrał samego siebie). Francuzi ostrożnie kontynuowali swój eksperyment, przestając publikować wyniki, a kiedy Niemcy napadli na Francję, program naukowy stał się tajemnicą wojskową.

Kilka dni przed haniebną kapitulacją Francji w czerwcu 1940 roku, zdemontowano laboratorium, spakowano aparaturę, ciężką wodę, tony uranu, grafitu, naukową dokumentację i w 400 ciężarówkach wywieziono na południe kraju. Joliotowie w swoim peugeocie 402 wieźli rzecz najcenniejszą – gram radu.

„Jest możliwe, że przez jakiś czas będziemy od siebie rozdzieleni – napisała Irena do trzynastoletniej córki. – (...) Jesteśmy zajęci organizowaniem laboratoriów, w których będziemy pracować dla obrony narodowej. Studiuj muzykę, uprawiaj gimnastykę codzienną (...). Ściskam Cię, moja ukochana mała córeczko. PS Nakłaniaj swego małego braciszka do wchodzenia do wody, ale tylko wtedy, gdy patrzysz".

Kowarski z Halbanem na ich polecenie odpłynęli wkrótce do Wielkiej Brytanii, zabierając ciężką wodę i „przepis na produkcję" bomby, by wspólnie z Anglikami prowadzić dalsze badania. Joliotowie odmówili opuszczenia Francji. Odpowiedź Ireny była krótka: „Mama by nie wyjechała".

„Ktoś musi tu pozostać" – pomyślał Fred. Zostawił żonę w sanatorium, dzieci były pod opieką niani w Bretanii, a sam wrócił do Paryża.

ROZŁĄKA I KOKTAJLE JOLIOT-CURIE

Niemcy uprzejmością i komplementami próbowali go zjednać. Złożyli hołd jego geniuszowi i pozwolili, by prowadził badania, ale tylko dla potrzeb nauki, a nie wojska. Musiał też zgodzić się na obecność w laboratorium pięciu fizyków niemieckich. Wśród nich jedynego, który mówił po francusku – Wolfganga Gentnera, z którym dobrze się znali. Dawny student Marii Curie nie był nazistą. Wiele ryzykując, stał po ich stronie, informował, co planują jego rodacy, załatwiał przepustki dla Ireny, wyciągał z gestapo aresztowanych.

Fryderyk wstąpił do Frontu Narodowego, podziemnej organizacji ruchu oporu stworzonej przez Francuską Partię Komunistyczną. Miał pseudonim „Adrian". Irena jako „Gabriela" była przy nim. Zimą 1942 r. zanotował: „W sypialni temperatura wynosi 1 st. C, w jadalni dochodzi do 9. Piotr ma różyczkę i świnkę. Helena różyczkę, a Irena bronchit".

Napisał testament, w którym jedyną spadkobierczynią uczynił żonę. Nadal dzielił czas między pracę a opiekę nad dziećmi, gdyż choroba Ireny wymagała częstych pobytów w sanatorium, nawet półrocznych. Jej leczenie finansowała amerykańska przyjaciółka rodziny Missy Maloney. Mimo choroby Irena dużo pracowała, pisała artykuły, przygotowywała wykłady.

„Prześwietlono mnie, jest duży postęp, lepiej wyglądam i dobrze się czuję, ale wciąż kaszlę. (...) Kochany mój, dziś jest wspaniała pogoda, leżę na tarasie (...) i próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądasz – pisała w 1941 roku. – To dziwne, że człowiek zapamiętuje pewne obrazy, a inne zapomina (...). Szczególnie wyraźnie widzę diabolicznego Freda gotowego rzucić się na mnie i zmasakrować jak w czasie naszych bitew w sypialni".

„Najdroższa, zebraliśmy się wokół niewielkiej choinki (...). Jak się domyślasz, radość z prezentów miesza się ze smutkiem – żalił się w 1942 roku. – Pierwszy raz od czasów naszego małżeństwa nie spędzamy świąt razem. Strasznie za tobą tęsknię, Helenka również, ale nie okazujemy tego. (...) Kochanie moje, chciałbym Cię mocno przytulić, położyć głowę na Twoim ramieniu i moglibyśmy tak razem spać... do końca świata".

eprasa.pl 817e671fa2

Kilka razy aresztowali go francuscy żandarmi i oddali w ręce gestapo, które podejrzewało go o komunizm; wolność odzyskiwał dzięki Gentnerowi. A kiedy został odesłany do Niemiec, poczuł się zagrożony. Zaczął się ukrywać. Chciał wywieźć żonę z dziećmi do Szwajcarii, ale Irena uparła się, żeby Helena zdała najpierw maturę. Zdała po drodze w szkole w Besançon. Granicę ze Szwajcarią, matka z dziećmi przekroczyła pieszo, Fred wrócił do Paryża. Niepokoili się o niego. „Nie mam o Tobie żadnych wiadomości. Strasznie mi Ciebie brakuje, kochany" – pisała Irena.

On w Paryżu zmieniał wygląd, miejsca pobytu, teraz był inżynierem o nazwisku Jean Pierre Caumont. „Nie denerwujcie się o mnie (...), jestem ostrożny, ponieważ tak bardzo Was kocham (...) całą trójkę całuję z miłością. Jean-Pierre".

Nie był ostrożny. Robert Courrier, wybitny francuski biolog, zapamiętał, że kiedy w czerwcu 1944 roku kandydował do Akademii Nauk, poszukiwany przez policję prof. Fryderyk Joliot, całkiem odmieniony, przyszedł na głosowanie, by go poprzeć.

19 sierpnia 1944 roku w Paryżu wybuchło powstanie, a laureat Nagrody Nobla w kilku laboratoriach uruchomił linię produkcyjną „koktajli Joliot-Curie". W walizkach na rowerze rozwoził niezbędne ingrediencje i receptury. „Człowiek, który odkrył najważniejsze warunki wstępne konieczne do skonstruowania bomby atomowej, posługiwał się najprymitywniejszą bombą, jaką można sobie wyobrazić, do obrony barykad" – zauważył austriacki publicysta Robert Jungk.

FAŁSZYWE OSKARŻENIE

W wyzwolonym Paryżu Joliota odnalazła amerykańska misja wywiadowcza „Alsos" i zaprosiła do Londynu. Pojechał z nadzieją na współpracę dla dobra ludzkości, lecz przepytujący go uczeni i wojskowi interesowali się wyłącznie jego rzekomą kolaboracją z Niemcami. Jakie informacje przekazał Niemcom i na jakim etapie są ich prace dotyczące budowy bomby? Zapewnienia Fryderyka, że nie ma pojęcia i że nie robił niczego, co mogłyby się przydać wrogowi, niewielu przekonało.

Gen. Leslie Groves, dyrektor „Projektu Manhattan", jeszcze 20 lat później pisał, że Joliot to typowy francuski kolaborant, choć Samuel Goudsmit, naukowy kierownik misji, od początku był przekonany o uczciwości i prawdomówności Joliota. Robert Jungk pisze, że postrzegano go jako zdrajcę, bo wpuścił do laboratorium Niemców, ale przecież „laboratorium było arsenałem broni w Paryżu [dla ruchu oporu]. Pomieszczeń Joliota nigdy nie przeszukiwano, gdyż nikt nie podejrzewał naukowca o tak szaloną zuchwałość".

Francuscy fizycy stanęli w jego obronie. Louis Rapkin, biolog, który wyemigrował do USA i tam pomagał organizować życie zbiegłym z Europy naukowcom, postawił diagnozę: „Joliot jest doskonałym fizykiem, ale jest też trochę próżny. Z początku myślał: w końcu jestem Joliot, więc będą mnie traktować inaczej (...). On by nigdy nie kolaborował. Nigdy, nigdy, nigdy".

W Londynie Fryderyk zrozumiał, że w międzynarodowym programie badań nuklearnych nie ma dla Francji miejsca, choć oddała ona krajom alianckim ciężką wodę i dokumentację naukową. Francja musi odzyskać przedwojenny status potęgi w nauce – postanowił. Zadbamy o wykształcenie fizyków i sami stworzymy sobie program nuklearny!

Skończyła się wojna. Irena z dziećmi wróciła do domu i teraz tylko to się liczyło.

TYLKO DLA POKOJU

Niewielu ludziom ufam, ale panu ufam – powiedział jesienią 1945 gen. Charles de Gaulle, szef Rządu Tymczasowego, i podpisał powołanie Komisariatu ds. Energii Atomowej z Fryderykiem Joliot jako wysokim komisarzem. Wśród jego czterech zastępców była Irena. Miał pieniądze, aparaturę i pełnych entuzjazmu ludzi do pracy. W kwietniu 1948 roku skonstruowano pierwszy we Francji reaktor nuklearny o nazwie ZOE.

• Irena w laboratorium z mamą, Marią Skłodowską-Curie w 1925 roku
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Joliot pełnił też funkcję prezydenta Światowej Rady Pokoju i wciąż głęboko poruszony faktem zrzucenia bomb na Hiroszimę i Nagasaki zainicjował w 1950 Apel Sztokholmski, w którym wzywano do zakazu używania broni jądrowej do zabijania ludzi. On sam, gdzie tylko mógł, głosił, że nigdy nie zbuduje bomby: „Postępowi uczeni, komuniści nie dadzą nawet okruszka swej wiedzy na budowę bomby". A Francja potrzebowała tej broni. Premier Georges Bidault zdymisjonował wysokiego komisarza.

Czy tylko dlatego? Joliotowie od lat byli zafascynowani Związkiem Sowieckim i często tam jeździli, w czasach najczarniejszego stalinizmu Fryderyk przyjął Stalinowską Nagrodę Pokoju. Jak wielu francuskich intelektualistów i artystów dali się omamić „awangardą postępu społecznego", nie widząc tam zła i zbrodni. To wszystko spowodowało, że zaczęli być postrzegani jako naukowcy, którym nie można ufać. Przestano ich zapraszać na konferencje, nie wpuszczano do Stanów Zjednoczonych. Kilka razy odwiedzili Polskę, byli wśród najważniejszych gości Światowego Kongresu Intelektualistów Obrońców Pokoju we Wrocławiu w 1948 roku. Nigdy nie wyrzekli się swoich poglądów.

Irena odeszła pierwsza – 17 marca 1956 roku. „Nie boję się śmierci, miałam piękne życie" – mówiła do przyjaciółki. Lekarze opanowali gruźlicę, ale nie dali rady białaczce. „Mam dość sił, by znieść najcięższe ciosy, ale nie ten ból – żalił się Fryderyk Biquardowi. – Straciłem żonę, którą tak bardzo kochałem, wyjątkową partnerkę w pracy i także trochę matkę. Tak strasznie mi jej brakuje, chciałbym już mieć spokój".

Zmarł 14 sierpnia 1958 roku z powodu marskości wątroby.

Ich dzieci – Helena Langevin (ur. 1927), profesor fizyki jądrowej, i Pierre Joliot (ur. 1932), profesor biochemii – żyją w Antony i Sceaux pod Paryżem.

Francja jest obecnie jednym z dziewięciu krajów mających broń jądrową. Największe zagrożenie jej użycia płynie zaś dzisiaj ze strony, w którą Joliotowie przez całe życie byli naiwnie wpatrzeni. ●

Wybór bibliografii: Michel Pinault „Fredéric Joliot-Curie" (2000). Louis-Pascal Jacquemond „Iréne Joliot-Curie" (2014), Denis Brian „Rodzina Curie", tłum. Jan Hensel (2005), Tomasz Pospieszny „Radowa księżniczka" (2017).

WYBITNY HISTORYK O WYBITNYM POLAKU

„Niemiecka policja w obozie koncentracyjnym uczyła nas – w ślad za hitlerowską prasą, że istotnie **Polska miała jednego wielkiego człowieka, Marszałka, który do wojny i katastrofy by nie dopuścił".**

Stefan Niesiołowski

Władysław Konopczyński, autor niedawno wydanej książki „Piłsudski a Polska", zdaniem jej wydawcy i autora wstępu Macieja Giertycha, był najwybitniejszym historykiem swojego pokolenia.

Konopczyński podkreśla, że dystansuje się zarówno od hagiografii Marszałka w stylu Władysława Pobóg-Malinowskiego, jak i od historyków związanych z obozem Narodowej Demokracji. W ogóle nie odnosi się do historiografii komunistycznej, gdyż po pierwsze umarł w najczarniejszym okresie stalinizmu w 1952 roku, gdy historycy komunistyczni zajmowali się bardziej polityką i propagandą niż historią, a przebudzenie miało dopiero nadejść. A po drugie trudno było w tamtych latach o uczciwą polemikę. Konopczyński i tak przypłacił swoją niezależność usunięciem z Katedry Historii Polski Nowożytnej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ale oddzielając propagandę od historii krytyka ze strony komunistów i znacznej części lewicy była bardzo podobna do sformułowanej już przed wojną przez Narodową Demokrację. Pisał Konopczyński tę książkę w latach 1940-42 czasie szczególnym, po zwolnieniu z hitlerowskiego obozu, w którym został umieszczony razem z innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego.

„Wojna przeważyła szalę decyzji w kierunku pisania. Przede wszystkim najazd zniszczył na długo publiczne warsztaty mojej pracy, jak i warsztacik prywatny. Niemcy zasiedli na moich książkach i papierach. Jedynym polem badań pozostała, choć w zakresie bardzo ograniczonym, historia współczesna. Kataklizmy dziejowe wyrzucają na powierzchnię różne tajemnice, które leżałyby bardzo długo w ukryciu w czasach spokojnych. Opinia wstrząśnięta wrześniowym wypadkami zaczyna pytać: jak do tego doszło? Niejeden prostaczek wśród pogromu mówił ze łzami: nie doszłoby do tego, gdyby Dziadek żył jeszcze: widocznie naród sam sobie nie zawdzięcza ani odrodzenia, ani upadku, o wszystkim decydują zalety wodza. Niemiecka policja w obozie koncentracyjnym uczyła nas – w ślad za hitlerowską prasą, że istotnie Polska miała jednego wielkiego człowieka, Marszałka, który do wojny i katastrofy by nie dopuścił. Ta sama ręka, która zwaliła w Krakowie pomnik grunwaldzki, Kościuszki i Mickiewicza, ustawiła honorową wartę przy Krypcie Srebrnych Dzwonów na Zamku. Kto dożył takich rzeczy, musi myśleć o dniu wczorajszym w związku z jutrem. Jeżeli Piłsudski był wielkością, a Polska małością – to jaka będzie nasza przyszłość?"

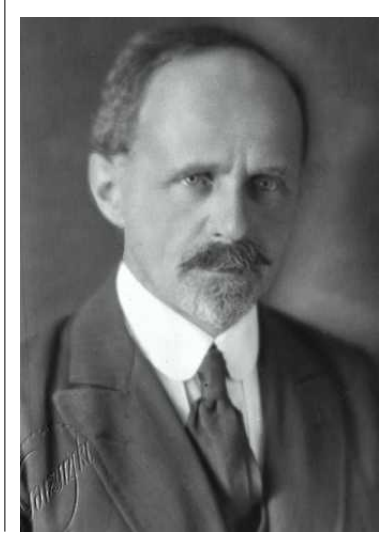

▶ Władysław Konopczyński (1880-1952), historyk, prawnik, endek
FOT.NAC

MÓJ IDOL PIŁSUDSKI

Miał Piłsudski zarówno w czasie samej politycznej walki, którą przez 50 lat prowadził, jak i dla utrwalenia się w historii ogromne szczęście. Komuniści uczynili z niego i z jego obozu głównego wroga i całe zło. Dlatego w okresie PRL nie tylko stał się automatycznie bohaterem i wzorem patriotyzmu, ale nie wypadało go atakować. Korzystał z tej samej taryfy ochronnej co Kościół i generalnie wszyscy przeciwnicy komunizmu.

Gdy budowałem wraz z Andrzejem Czumą podziemną organizację, która przeszła do historii pod nazwą Ruch, wzorowałem się na działaniach podziemnej PPS. I generalnie na działaniach Piłsudskiego. Zdobywanie powielaczy i maszyn do pisania w państwowych instytucjach, podziemne wydawnictwa nazywane tak samo jak w tamtych czasach – bibułą, napisy na murach,

eprasa.pl 817e671fa2

▲ **Marszałek Józef Piłsudski podczas V Zjazdu Legionistów w Kielcach w sierpniu 1926 roku. Trzy miesiące wcześniej Piłsudski przeprowadził zamach stanu i sanacja przejęła pełnię władzy w Polsce**
FOT. NAC

niszczenie symboli, niekończące się problemy z brakiem poparcia, ludzi, pieniędzy, sprzętu i przede wszystkim ze świadomością, że nasza walka jest odrzucana i co najwyżej cieszy się poparciem znikomej części społeczeństwa, bo większość świetnie się urządza w totalitarnym zależnym od Rosji państwie, a niepodległość mało kogo interesuje, działały przygnębiająco. Dlatego już w czasach tzw. opozycji przedsierpniowej, a przede wszystkim w epoce Solidarności był Piłsudski niekwestionowanym autorytetem wzorem i bohaterem.

Wielokrotnie spotykaliśmy się w miejscach i w dniach związanych z jego działalnością, a potem organizowałem mnóstwo akcji budowy pomników, odsłaniania tablic i uroczystości ku czci Marszałka. Chodziło o sprzeciw wobec komunizmu, a także o przypomnienie, że Piłsudski to odzyskanie niepodległości po 123 latach niewoli i pierwsza wojna wygrana od czasów bitwy pod Wiedniem w 1683 roku. Skoro Polsce od 300 lat, jak wyraził się obrazowo jeden z opozycjonistów, nie idzie karta, to jak raz już nam przyszła to na dobre. Podobnie mówił Jacek Kuroń o cudownym sposobie odzyskania wolności w 1989 roku. Co jakiś czas zdarza się w Polsce solidny cud i dzięki temu żyjemy. Takim cudem była wygrana wojna w 1920 roku, przynajmniej w świadomości i wyobrażeniu olbrzymiej większości społeczeństwa.

Konopczyński podważa tę narrację, może nawet obala, dołączając do dość elitarnego grona krytyków całej prawie działalności Marszałka, zwłaszcza już po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku.

BUNT MIAŁ W DUSZY

Patriotyzm wyniósł z domu, pod wpływem matki, a buntowniczą naturę dostał najpewniej w genach: „Chłopiec uczył się od niechcenia, wśród ciągłych zatargów z władzą, w przeciwieństwie do cichego zamkniętego Żmudzina, jakim był starszy brat jego Bronisław. Józef od młodych lat miał dużo pewności siebie i szczęścia (także u panien). Bunt niewątpliwie tkwił w jego hardej duszy, bunt pewno głębszy i gwałtowniejszy niż u ogółu kolegów. »Od lat najmłodszych myślałem o służeniu Polsce«, tymczasem nie pójdzie do kościoła w galówkę, nie zdejmie czapki przed przejeżdżającym gubernatorem, ani nie przeprosi tego księdza katechety, co ich uczy religii po rosyjsku”.

Brał udział w różnych protestach i zadeklarował się jako socjalista, ale był to socjalizm powierzchowny, chociaż w pewnym okresie używał określenia – towarzysz i tak do niego mówiono. Trochę przypadkowo wplątał się w grupę rosyjskich rewolucjonistów, którzy planowali zamach na cara Aleksandra III. W tej grupie był starszy brat Lenina Aleksander skazany na śmierć i stracony, Bronisław Piłsudski został skazany na 15 lat katorgi, a Józef na pięć lat zesłania we wschodniej Syberii.

Wrócił jako przekonany rewolucjonista łączący idee rewolucji socjalistycznej z niepodległością Polski. Towarzysz Wiktor wszedł do pierwszego Komitetu Robotniczego PPS i odtąd stale aż do rozłamu 1906 roku należał do centralnych władz PPS, stając się obok niezmordowanego redaktora kolportera i organizatora podziemia Stanisława Wojciechowskiego (późniejszego prezydenta obalonego w zamachu majowym), jednym z najwybitniejszych przywódców niepodległościowego podziemia.

Los Polski zależał w stopniu od sytuacji w Europie, a zwłaszcza od nadciągającego konfliktu między mocarstwami: „Piłsudski trzydziestoletni z ciemną, klinowato strzyżoną brodą i włosami na jeża, o wejrzeniu posępnym, a sięgającym do dna duszy, dość wymizerowany, już nieco pochylony, duchowo przedstawia się jako zjawisko wspaniałe. On jest duszą CKR i dyktatorem moralnym PPS. Służy świadomie proletariatowi polskiemu, podświadomie już całej Polsce. Spełnia pracę za setki i tysiące, narażając się na niezliczone razy”.

W trakcie przygotowań do walki przeciwko Rosji pojawia się projekt apelu do społeczeństwa o składki na pogotowie zbrojne, którego jednym z sygnatariuszy miał być Stanisław Wyspiański. Wyspiański poprosił o spotkanie z Piłsudskim, który przyszedł w towarzystwie Michała Sokolnickiego. Te drugi tak wspominał to dramatyczne spotkanie: „Przyjął nas w swojej świetlicy... wydał się nam smutnym, chłodnym, obserwującym, dalekim. Piłsudski przedstawił mu swoje plany, po czym Wyspiański zadał kilka rzeczowych zapytań. Rozmowa miała charakter wymiany informacji i faktów, charakter raczej suchy. Czuć było, że cele są, wiadomo i wspólne, i że chodzi tylko o porozumienie się co do środków i o dostarczenie dowodu siły lub ufności. Po rozmowie z nami nie wiem, czy bezpośrednio, czy w krótki czas potem, spisał on swój hymn do Ducha Świętego, zaczynający się od słów: »Przyjdź gołębico, zbożny duch«”.

Bierze aktywny udział w walkach rewolucji 1905 roku i osobiście kieruje najbardziej znaną chyba akcją ekspropriacji na pociąg przewożący dużą sumę pieniędzy pod Bezdanami koło Wilna. Kończy ona okres walki bojowców PPS i w zasadzie jest zamknięciem tego rozdziału życia Piłsudskiego.

KLAPA PIERWSZEJ KADROWEJ

Droga Piłsudskiego prowadzi odtąd do tworzenia siły zbrojnej, która przy boku armii austriackiej stanie się pierwszym polskim wojskiem od czasów powstania styczniowego. Przeciwko polskiej, „antysłowiańskiej” dywersji, protestuje zamordowany później w latach 30. przez Stalina wielki rosyjski poeta Osip Mandelsztam: „Polacy, chciałbym sens w tym dojrzeć! Czyn strzelców to szaleństwo, obłęd! Czy śniegi już nie będą padać, zimą okrywać w polu ostów, albo czy o Habsburgów kostur Polsce potykać się wypada? I ty kometo, ty słowiańska, w swoim błąkaniu się stuletnim, w cudzym się rozproszyłaś blasku”.

Nie przekonał Piłsudskiego, którego Legiony wyruszają z Krakowa w obrosłym legendą marszu pierwszej kadrowej kompanii przez Miechów do Kielc i potem dalej do Królestwa. Rozpoczyna się I wojna światowa.

Nie udaje się jednak rozpalić powstania przeciwko Rosji. Za tę próbę wielokrotnie krytykował Piłsudskiego Roman Dmowski, twierdząc, że powstanie uniemożliwiłoby odrodzenie Polski „na dobre, na długo” i było zbrodniczą proniemiecką dywersją. Piłsudski został skompromitowany, a jego wojsko oddane kontroli austriackich stronnictw politycznych tworzących Naczelny Komitet Narodowy (NKN).

Nieco łagodniej formułuje to Konopczyński: „Ten to sławny, a z czasem osławiony Enkaen miał wsprzęgać sprawę polską do rydwanu Habsburgów, ale w zamian za to ratować wojsko Piłsudskiego i pomagać do jego utrzymania. Później będzie się mówiło, że NKN sprzedawał Austrii Legiony. Czy słusznie? Naprawdę on je raczej wykupywał z położenia bez wyjścia, w jakie socjaliści wpakowali zapalną młodzież”.

Ale sytuacja jest dynamiczna, wojska państw centralnych z coraz większą dominacją Niemiec nad słabnącą Austrią wypierają armię rosyjską i po ponad stuletniej niewoli Polska jest wolna od obecności rosyjskiej armii na swoim terytorium. Nie licząc krótkiego epizodu w 1920, Rosjanie wkroczą do Polski jako sojusznicy Hitlera w 1939 roku, potem w 1944 i opuszczą nasz kraj w 1992 roku już chyba na zawsze.

TO ŚLĄZACY MIELI RACJĘ

W obliczu niemieckiej dominacji nad Polską Piłsudski trafnie uznaje, że to państwa Ententy będą decydowały o losach powojennej Europy, zwłaszcza po bolszewickim puczu zbrojnym niesłusznie nazywanym rewolucją październikową. Niektóre wypowiedzi Piłsudskiego z wiosny i lata 1917 roku o „wstrętnym sosie niemieckich dobrodziejstw” i „kameruńskich metodach stosowanych przez okupantów w Polsce”, mają jawnie antyniemiecki charakter. Odmowa podporządkowania Legionów Niemcom doprowadza do osadzenia Piłsudskiego 22 lipca 1917 roku w Magdeburgu. Odtąd pozycja jego zyskuje w miarę słabnięcia Niemiec.

Piłsudski przestawał być politykiem proniemieckim, co wypominał mu wielokrotnie, także w Wersalu Lloyd George, co z satysfakcją przytacza Konopczyński. Obejmuje rządy w Warszawie, wydaje piękną odezwę, informując świat o odrodzeniu państwa polskiego na podstawach demokratycznych. Wkrótce zaczyna się kolejna wojna, najpierw o granice, a potem o istnienie Polski. Konopczyński powtarza właściwie wszystkie dobrze znane zarzuty historiografii endeckiej i komunistycznej. Wraca do kwestii, że oferta bolszewicka była lepsza niż sojusz z przywódcą Ukraińskiej Republiki Ludowej Symonem Petlurą, a ofensywa na Kijów była niepowodzeniem: „Przed r. 1920 można było osiągnąć granice wschodnie znacznie korzystniejsze niż po nim. Dyplomacja i wojsko Piłsudskiego miały w tym udział – ujemny. Zalescy i Baranowscy podkopywali za granicą robotę Dmowskiego, legiony z konieczności pomagały do zwycięstwa Niemcom, toteż Lloyd George robotę polskich aktywistów i legionistów przytaczał w Wersalu, aby osłabić rewindykacje polskie. Sam też Naczelny Wódz ich o swoim stosunku do granicy zachodniej wyrażał się całkiem szczerze. »Braciom Ślązakom powiedział w okresie ich powstań. Śląska wam się zachciewa? To rzecz niemożliwa. Śląsk to stara niemiecka prowincja z większej części Wielkopolski i Prus Zachodnich rezygnuje«. Oto ci ludzie co mniej wąchali prochu, mniej maszerowali i bili przecież w wielu sprawach politycznych mieli racje i tym zdobywali zaufanie inteligentnego ogółu. Piłsudski to z czasem wyrazi po swojemu: po jednej stronie krew i róże, po drugiej referaty i smród; referaty oczywiście Dmowskiego na kongresie i dawniej Sikorskiego w Departamencie”.

NIE DOŻYŁ KLĘSKI

A potem był zamach majowy i rządy obozu Piłsudskiego nazywanego sanacją. Konopczyński nie pisze w zasadzie nic innego niż znane i bardzo często słuszne zarzuty pod adresem Piłsudskiego i jego obozu politycznego. Klęska we wrześniu 1939 roku jego ludzi i następców była efektem wielu zaniedbań i słabości Polski. Dyskusja czy Polska mogła uniknąć przegranej wojny z Niemcami, jest nierozstrzygalna. Z pewnością najgorsze co mogła zrobić to oddać Hitlerowi Pomorze i Śląsk i maszerować na wschód. Powinna poprzeć Czechosłowację, a nie przyłączać się do jej rozbioru.

Piłsudski nie dbał o modernizację armii, nie rozumiał chyba, na czym polega współczesne pole walki, pod wieloma względami był anachroniczny. Nasza kawaleria w 1939 roku była zbyt liczna, a czołgów i samolotów za mało. Plan obrony całych granic, rozciągnięcie armii, zamiast jak twierdzi wielu ekspertów koncentrować ją w kilku wybranych punktach, wynikał z przesłanek politycznych i wewnętrznych. Trochę to przypomina podłe dzisiejsze zarzuty PiS-owskich renegatów o oddaniu wschodniej Polski, zamiast mówić o skutecznej obronie i aspekcie militarnym.

Miał Piłsudski szczęście, że odszedł w porę, gdy Polska była niepodległa. Gdyby dożył września 1939 roku, najpewniej uciekałby razem z rządem do Rumunii, był tam internowany i wrócił do kraju dopiero w trumnie jak Józef Beck. Miał Marszałek wielki królewski pogrzeb na Wawelu i mało kto kwestionuje jego patriotyzm oraz zasługi, dlatego trudno zgodzić się z konkluzją wielkiego przecież historyka Konopczyńskiego: „Żył o kilkanaście lat za długo, i może lepiej by było, gdyby nie żył wcale”. ●

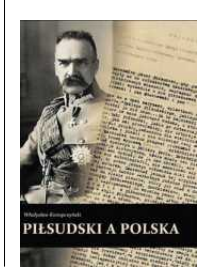

Piłsudski a Polska

Władysław Konopczyński
Wydawnictwo Giertych

eprasa.pl 817e671fa2

weekendówka 145

NIECH KAŻDY SIĘ DOWIE...

Zaczęło się to w Stuttgarcie, w 1907 roku, na pierwszej Międzynarodowej Socjalistycznej Konferencji Kobiet. Decyzją delegatek z 15 krajów świata współpraca z innymi niż socjalistyczne ruchami na rzecz zapewnienia kobietom praw wyborczych, nie była mile widziana.

Nie wszystkim się to spodobało, dlatego z inicjatywy Amerykanki, Theresy Malkiel, wezwano pod koniec 1908 roku do demonstracji popierających ruch sufrażystek. Pierwsza taka odbyła się 23 lutego 1909 roku, kolejna rok później i to wówczas, w nowojorskiej Carnegie Hall po raz pierwszy padło określenie Narodowy Dzień Kobiety.

Inicjatywa chwyciła, i w 1910 roku niemieckie działaczki, na czele z Klarą Zetkin, zaproponowały specjalny dzień, by corocznie celebrować Dzień Kobiet, choć nie padła żadna konkretna data.

Amerykanki celebrowały tradycyjnie w ostatnią niedzielę lutego, która w 2013 roku w Rosji, kiedy po raz pierwszy obchodzono tam Dzień Kobiet, wypadła wg kalendarza gregoriańskiego 8 marca. Także 8 marca świętowano w 1914 w Niemczech, podobnie jak w ZSRR, już po upadku caratu. 8 marca 1917 roku w Piotrogrodzie (Sankt Petersburg nie funkcjonował od wybuchu I wojny światowej) zastrajkowały pracownice zakładów odzieżowych. I już ten 8 marca jako Dzień Kobiet pozostał.

I teraz, trochę jak niezrównany Jerzy Dobrowolski, który po kolejnym podejściu do wykonania piosenki oznajmił widzom i akompaniatorce, że „proszę państwa, ja nie będę śpiewał" („Dygresje"), oznajmimy, że dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcimy kwiatom.

Suspens może nie jest porównywalny, bo wszak jednym z nieodzownych atrybutów Dnia Kobiet był kwiat, wręczany paniom z okazji ich święta. W latach PRL, obok pończoch czy kawy, obowiązkowo był to goździk, zapewne z racji tego, że – w odróżnieniu do innych kwiatów – był powszechnie dostępny i raczej tani. Co w niczym nie umniejsza jego walorów, wszak nazwa goździka, dianthus, wzięła się z greckich słów dios – bóg oraz anthos – kwiat. Goździków kupowało się sztuk jeden bądź trzy i często wręczało łodygą do góry. Co nieco wbrew przyjętemu kwiatowemu savoir-vivre.

Obecnie rolę goździków przejęły tulipany, bardziej kojarzone z wiosną, które prezentują też szerszą gamę kolorystyczną – co jak się okazuje nie jest bez znaczenia, bo np. żółte tulipany niekiedy można odczytać jako symbol nieodwzajemnionej miłości. Tak że tak.

Tradycyjnie powszechnym wyborem są róże, bo wiadomo, że róża zawsze się sprawdzi. Ale to z reguły celny strzał jeśli idzie o bliższą relację, dla ukochanej. W gronie rodzinnym podobnież lepiej sprawdzą się np. lilie. Albo gerbery. Ale generalnie po prostu warto o kwiatach pamiętać. Nie tylko w Dniu Kobiet.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

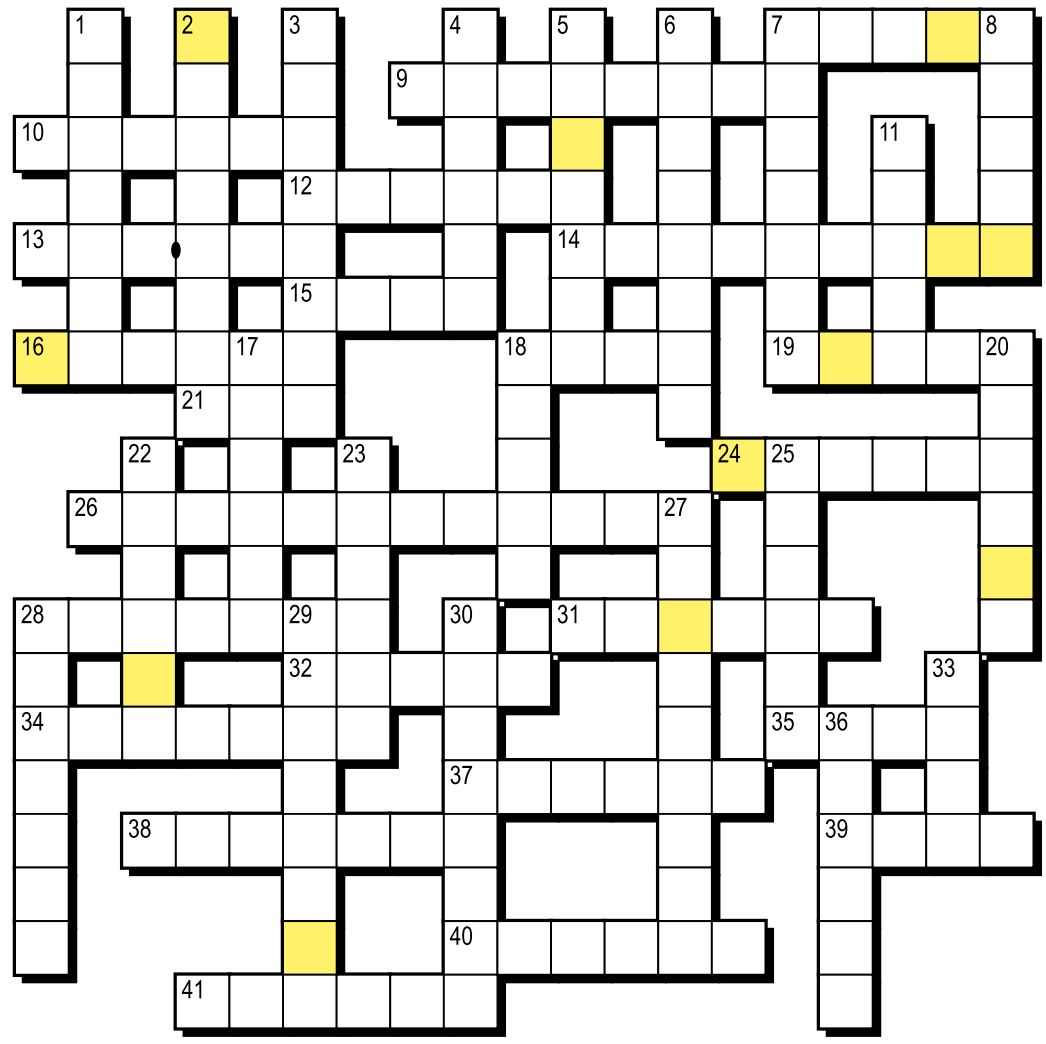

KWIACIARNIA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) wąska grządka kwiatowa
10) „Pani pachnie jak ..., to nastraja i to podnieca", w piosence Marka Grechuty do słów Juliana Tuwima
11) kwiat samozachwytu
12) „epistolografia" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego
13) bambusowa lub drewniana, przy wysokim kwiecie
14) synonim 15 pionowo
17) ... górska, zwana także kupalnikiem
19) doskonałe miejsce na doniczki z pelargoniami
21) króluje na cmentarzach w Święto Zmarłych
23) pij, kwiatuszku, pij...
24) nazwisko autora poematu „Kwiaty polskie"
26) dzwonkowate kwiaty cięte
27) część składowa ogrodowej lub szklarniowej deszczowni
30) ... kwiatowa, kupowana w sklepie ogrodniczym
34) klomb obsiany stokrotką, maciejką
35) sklepy, w których można kupić kwiat kalafiora
36) lekarka, która pomoże uczulonym na pyłki
39) synonim 21 poziomo
40) przydomowy ogródek z kamieniami, kwiatami górskimi
41) ogrody zimowe z roślinami tropikalnymi; pomarańczarnie

Pionowo:
1) Hiacynta z serialu komediowego „Co ludzie powiedzą"
2) słodki sok wydzielany przez kwiaty
3) w nim sto róż dostarczonych przez pocztę kwiatową
4) ... Riedel, był wokalistą Dżemu („Mała aleja róż")
5) „Zakwitały pąki ...", w żołnierskiej piosence (wpisujemy w mianowniku)
6) kwiat o „ząbkowanych" płatkach
7) inna nazwa zawilca
8) fiołek trójbarwny
9) dekorowanie czegoś np. kwiatami
15) synonim 14 poziomo
16) pąk – ... kwiatu (zalążek)
18) gatunek wierzby (kwiatostan: bazia)
19) z kwiatami i sadzonkami, na targowisku
20) ... majowa, roślina o białych kwiatach i dużych liściach
22) użyźnia glebę
25) kwiaty zwane również gladiolusami
26) roślina o dzwonkowatych kwiatach (anagram nazwiska „Funaki")
28) egzotyczna roślina o gigantycznych kwiatach wydzielających zapach padliny
29) kwiatuszki lubią, gdy świeci (zdrobniale)
31) ... barw, czyli wielkie bogactwo kolorów
32) kaczeniec – żółć, margerytka – ?
33) koliste wiązanki z kwiatów, liści
37) można w nim znaleźć kwiat paproci?
38) „... do kwiatów", obraz Renoira

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 144 z 1.03:

Poziomo:
7) Maria, 9) Berezyna, 10) Kapral, 12) gazety, 13) Sto Dni, 14) cesarzowa, 15) Jena, 16) nocnik, 18) pani, 19) Karol, 21) oda, 24) Rzecki, 26) bonapartysta, 28) Korsyka, 31) rydwan, 32) skała, 34) batalia, 35) herb, 37) Wagram, 38) siostra, 39) plac, 40) koniak, 41) fiołki.

Pionowo:
1) ciastko, 2) Borodino, 3) Belgijka, 4) Helena, 5) Letycja, 6) dynastia, 7) mazurek, 8) armia, 11) Piotr, 17) ideały, 18) Paryż, 20) luidor, 22) powrót, 23) tabaka, 25) zamach, 27) abdykacja, 28) kobiety, 29) Księstwo, 30) Słowacki, 33) Abba, 36) empire.

HASŁO:
BITWA NARODÓW

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl 817e671fa2